

**Hermann Hesse**

# **Demian**

**(Przełożyła Maria Kurecka)**

***Nie pragnąłem przecież nic więcej,  
niż żyć tym, co samo chciało ze  
mnie się wydobyć. Czemuż było to  
tak bardzo trudne?***

Chcąc opowiedzieć moje dzieje, muszę zacząć niemal od ich początku. Powinienem nawet, gdyby to było możliwe, cofnąć się jeszcze bardziej, aż do najwcześniejszych lat mego dzieciństwa, a ponad nimi przejść do odległej przeszłości – mego pochodzenia.

Powieściopisarze, tworząc swe dzieła, poczynają sobie zazwyczaj tak, jakby każdy z nich był Bogiem i mógł w całej pełni ogarnąć spojrzeniem historią życia jakiegoś człowieka, pojąć ją i przedstawić tak, jakby opowiadał ją bez żadnych osłonek sam wszechobecny Bóg. Ja tego nie potrafię, podobnie jak nie umięją tego i pisarze. Lecz moja historia jest dla mnie ważniejsza niż dla jakiegokolwiek twórcy jego opowieść – ponieważ jest moja własna i jest historią człowieka: nie wymyślonego, idealnego, czy w inny jakiś sposób nie istniejącego, lecz możliwego, prawdziwego, niepowtarzalnego, żywego człowieka. Dziś uprawdzie mniej niż kiedykolwiek docenia się, czym jest prawdziwie żywy człowiek, stąd też zabija się całe tłumy ludzi, choć każdy z nich jest cennym i niepowtarzalnym zjawiskiem natury. Lecz gdybyśmy nie byli czymś więcej, niż niepowtarzalnymi ludźmi i gdyby istotnie każdego z nas mogła doszczętnie zmieść ze świata kula karabinowa, opowiadanie tej historii nie miałoby już sensu. Każdy człowiek jest jednak nie tylko sobą: stanowi również jedyny, szczególny, w każdym wypadku ważny i osobliwy punkt, w którym krzyżują się ze sobą zjawiska tego świata, raz jeden tylko w ten właśnie sposób i nigdy więcej. Stąd też i historia każdego człowieka jest ważna, wieczna, boska, i dlatego każdy człowiek, dopóki tylko jakoś żyje i spełnia wolę natury, jest niezwykły i godzien najwyższej uwagi. W każdym bowiem duch przyjął jakąś postać, w każdym cierpi istota stworzona, w każdym zostaje ukrzyżowany Zbawiciel.

Niewielu dzisiaj zdaje sobie sprawę, czym jest człowiek. Lecz wielu czuje to, i dlatego lżej im umierać, jak i mnie będzie lżej umrzeć po napisaniu tej historii.

Nie mogę siebie nazwać wiedzącym. Byłem poszukującym i jestem nim dotąd, nie szukam już jednak w gwiazdach i księgach, zaczynam bowiem słyszeć nauki, którymi szmerze we mnie własna krew. Historia moja nie jest przyjemna, nie jest ckliwa i pełna harmonii, jak historie wymyślane, ma posmak nonsensu, pomieszania szaleństwa i marzeń, jak życie wszystkich ludzi, którzy nie chcą siebie już dłużej okłamywać.

Życie każdego człowieka jest drogą ku samemu sobie, próbą znalezienia drogi,

*zaznaczenia ścieżki. Żaden człowiek nie był nigdy w pełni samym sobą, lecz mimo to każdy ku temu dąży, jeden w mroku, inny w światłości, jak kto umie. Każdy aż do końca nosi z sobą szczątki, pozostałe od chwili jego stworzenia, resztki śluzu i skorup jakiegoś praświata. Poniekiedy nigdy nie staje się człowiekiem, pozostaje żabą, jaszczurką, mrówką. Niejeden jest na pół człowiekiem, na pół rybą. Każdy jednak jest przejawem natury na podobieństwo człowieka. Wszystkich nas wiąże wspólnota pochodzenia, matka, wszyscy dobywamy się z tej samej czeluści; każdy mimo to, próbą będąc, miotany z głębi ducha, zdąża do własnego celu. Możemy zrozumieć się nawzajem; lecz wyjaśnić samego siebie każdy może tylko sam.*

### ***Dwa światy***

Historię moją rozpoczynam od pewnego przeżycia z okresu, gdy miałem lat dziesięć i chodziłem do łacińskiej szkoły w naszym miasteczku.

Ileż zapachów z tamtych lat płynie teraz ku mnie, przenika wnętrze moje żalem i miłym dreszczem. Oto uliczki mroczne i jasne, domy i wieże, uderzenia zegarów i ludzkie twarze, izby zamieszkałe, przytulnie ciepłe, izby pełne tajemnic i głębokiego lęku przed widmami. Pachnie ciepłą cieśnią, królikami, służącymi, domową apteczką i suszem owocowym. Dwa światy mieszały się tam ze sobą, z dwóch biegunów nadchodziły dzień i noc.

Jeden świat stanowił dom ojcowski, lecz w istocie był on jeszcze ciaśniejszy: obejmował właściwie tylko moich rodziców. Świat ten był mi dobrze znany, zwał się matką i ojcem, miłością i surowością, przykładem i szkołą. Z nim związane były: łagodny blask, jasność i czystość, życzliwe słowa i dobre, umyte ręce, czysta odzież i piękne obyczaje. Tu śpiewano poranny chorał, tu obchodzono Gwiazdkę. W tym świecie istniały linie proste i drogi wiodące w przyszłość, obowiązki i przewinienia, wyrzuty sumienia i spowiedź, przebaczenie i mnóstwo dobrych postanowień, miłość i szacunek, słowa z *Biblii* i mądrość. Tego świata należało się trzymać, aby mieć życie jasne, czyste, piękne i pełne ładu.

Drugi świat natomiast rozpoczynał się już w samym wnętrzu naszego własnego domu i był całkiem inny, inaczej pachniał, inaczej mówił, obiecywał i domagał się innych rzeczy. W tym drugim świecie istniały służące i czeladnicy, historie o duchach i plotki o skandalach, całe mnóstwo barwnych, niesamowitych, pociągających, zagadkowych i strasznych rzeczy, takich jak rzeźnia i więzienie, pijacy i jazgocące baby, cielne krowy, przetracone konie, opowieści o włamaniach, morderstwach, samobójstwach. Wszystkie te piękne i ohydne, dzikie i okrutne rzeczy istniały wokół, na sąsiedniej ulicy, w sąsiednim domu, pełno tam było policjantów i włóczęgów, pijacy bili swoje żony, roje młodych dziewcząt wynurzały się wieczorem z fabryk, a staruchy mogły na każdego rzucić urok i spowodować chorobę, w lesie mieszkali zbójce, strażnicy polni chwyтали podpalaczy — wszędzie kwitł bujnie i pachniał ów drugi, gwałtowny świat, wszędzie, tylko nie w naszych pokojach, gdzie była matka i

ojciec. I bardzo to było dobre i cudowne, że tutaj, u nas, panowały spokój, ład i cisza, obowiązki i czyste sumienie, przebaczenie i miłość — i także cudowne, że istniało równocześnie to wszystko inne, krzykliwe i jaskrawe, ponure i pełne przemocy, przed którym można było przecież jednym skokiem uciec do matki.

A najdziwniejsze było to, w jaki sposób oba te światy ze sobą graniczyły, jak bardzo sobie były bliskie! Na przykład służąca nasza, Lina, gdy siedziała podczas wieczornego nabożeństwa przy drzwiach bawialni i wysokim głosem wraz z nami śpiewała pieśń, złożyłwszy umyte ręce na wygładzonym fartuchu, należała całkowicie do ojca i matki, do nas, do wszystkiego co jasne i dobre. Lecz zaraz potem w kuchni lub drewnitni, gdy opowiadała mi historię o człowieczku bez głowy albo kiedy kłóciła się z sąsiadkami w małym sklepiku rzeźniczym, stawała się już inna, należała do innego świata, była otoczona tajemnicą. I tak było ze wszystkim, a najbardziej ze mną samym. Zapewne, należałem do jasnego i dobrego świata, byłem dzieckiem moich rodziców, lecz dokądkolwiek zwróciłem oczy i uszy, wszędzie był ów inny świat, a sam także żyłem w tym innym, mimo iż wydawał mi się często obcy i niesamowity, mimo iż doświadczało się tam nieustannie wyrzutów sumienia i lęku. Niekiedy żyłem nawet chętniej w tym zabronionym świecie, a powrót do jasności — choć konieczny może i właściwy — wydawał mi się często niemal powrotem do czegoś mniej pięknego, nudniejszego, bezbarwnego. Chwilami wiedziałem: celem mego życia było stać się takim jak ojciec mój i matka, takim jasnym i czystym, tak doskonałym i porządnym; lecz do tego celu daleka wiodła droga, na razie należało przesiadywać w szkołach, studiować i przechodzić przez różne doświadczenia i próby, a droga prowadziła nieustannie obok tego innego, mrocznego świata i poprzez ów świat; bynajmniej też nie było wykluczone, iż wejdzie się i pozostanie w nim, że utonie się całkowicie. Istniały opowieści o synach marnotrawnych, których spotkał taki właśnie los, czytałem je chciwie. Powrót do ojca i do wszystkiego co dobre opisany był w nich zawsze tak wspaniale, jako chwila wyzwolenia, sam byłem przeświadczony, iż jest to jedyna słuszna, właściwa i dobra droga, lecz mimo to część owej opowieści, która toczyła się wśród ludzi złych i straceńców, okazywała się daleko bardziej pociągająca, a gdyby wolno było otwarcie to powiedzieć, żal wprost niekiedy ogarniał, że ów syn marnotrawny czynił pokutę i zostawał odnaleziony. Lecz takich rzeczy się nie mówiło, nawet nie myślało się o nich. Istniały jedynie w pewien sposób, jako przecucie, jako pewna możliwość, na samym dnie uczuć. Myśląc o diable, mogłem go sobie doskonale wyobrazić tam, na dole, na ulicy, przebranego lub występującego całkiem jawnie, na

jarmarku albo w szynku, lecz nigdy w naszym własnym domu.

Siostry moje również należały do jasnego świata. Były one, jak często mi się wydawało, z natury bliższe matce i ojcu, lepsze, bardziej zdyscyplinowane i obarczone mniejszą ilością wad niż ja. Posiadały pewne ułomności, przywary, lecz zdawało mi się, iż wszystko to nie sięga zbyt głęboko, nie jest takie jak u mnie, gdzie kontakt ze złem stawał się tak często dręczący i przykry, a mroczny ów świat był mi znacznie bliższy. Siostry, podobnie jak rodziców, należało otaczać względami i szanować, a gdy dochodziło z nimi do sprzeczki, było się później wobec własnego sumienia zawsze złym, tym, który zaczął i który musiał prosić o przebaczenie. W osobach sióstr obrażało się bowiem rodziców, wszystko co dobre i co sprawowało władzę. Istniały tajemnice, którymi gotów byłem znacznie chętniej podzielić się z najgorszymi ulicznikami niż z własnymi siostrami. W dni dobre, pełne jasności, gdy sumienie miałem czyste, sprawiało mi niekiedy wielką przyjemność bawić się z nimi, być dla nich grzecznym i miłym i widzieć samego siebie w glorii ładu i szlachetności. Takich uczuć doświadczało się zapewne będąc aniołem! Był to cel najwyższy ze wszystkich nam znanych i wyobrażaliśmy sobie, że słodko i cudownie jest być aniołem w promiennej aureoli dźwięków i woni, przypominającej Gwiazdkę i szczęście. Lecz jakże rzadko udawały się takie godziny i dni! Często nawet przy zabawie, przy dobrych, nieszkodliwych i dozwolonych grach popadałem w zły nastrój, stawałem się porywczy i gwałtowny, czego siostry niebawem znieść już nie mogły, i co doprowadzało do kłótni i nieszczęścia, bowiem gdy gniew mnie ogarniał, stawałem się okropny, czyniłem i mówiłem rzeczy, których ohydę, już nawet wówczas, gdy wypowiadałem je lub popełniałem, odczuwałem w sposób przejmująco głęboki. Potem następowały przykre, ponure chwile żalu i skruchy, a wreszcie żaloszny moment, gdy prosiłem o przebaczenie, później nadchodził znów promień jasności, ciche, niczym nie zmaczone i przepelnione wdzięcznością szczęście na kilka godzin czy tylko chwil.

Uczęszczałem do szkoły łacińskiej; synowie burmistrza i nadleśniczego byli moimi kolegami z tej samej klasy, odwiedzali mnie też czasami — dzikie chłopaki, należące mimo to jednak do dobrego, dozwolonego świata. Lecz utrzymywałem także bliski kontakt z chłopcami z sąsiedztwa, uczniami szkoły powszechnej, którymi zazwyczaj gardziliśmy. Od jednego z nich muszę rozpocząć moją opowieść.

W któreś wolne popołudnie — miałem wówczas niewiele ponad dziesięć lat — włóczyłem się z dwoma chłopakami z sąsiedztwa. W pewnym momencie podszedł do nas starszy, silny i brutalny chłopak, lat około trzynastu, uczeń szkoły powszechnej,

syn krawca. Ojciec jego był pijakiem i o całej tej rodzinie źle mówiono. Znałem tego Franza Kromera, bałem się go i wcale mi się nie podobało, że teraz się do nas przyłączył. Zachowywał się już jak mężczyzna i naśladował chód i sposób mówienia młodych robotników fabrycznych. Pod jego wodzą zeszliśmy obok mostu w dół, na brzeg i skryliśmy się przed światem pod pierwszym przęsłem mostu. Wąski skrawek ziemi pomiędzy sklepieniem łukiem mostu i ociążale płynącą wodą pokryty był odpadkami, skorupami i rupieciami, kłębami splątanego i zardzewiałego drutu kolczastego i różnymi innymi śmieciami. Czasami można tym było znaleźć rzeczy zdadne jeszcze do użytku; pod wodzą Franza Kromera musieliśmy przeszukać cały ten odcinek i pokazać mu każdą znalezioną rzecz. Wówczas albo ją zabierał, albo wyrzucał do wody. Kazał nam zwracać szczególną uwagę na przedmioty z łożu, mosiądzu lub cyny i wszystkie takie zabierał; schował także stary, rogowy grzebień. Czuję się w jego towarzystwie niesłychanie przygnębiony, nie dlatego, że wiedziałem, iż ojciec zabroniłby mi z nim przestawać, gdyby się o tym dowiedział, lecz ze strachu przed samym Franzem. Cieszyłem się jednak, że mnie zabrał i traktował na równi z innymi. Rozkazywał nam, a myśmy słuchali, jak gdyby to był dawno ustanowiony zwyczaj, choć ja sam byłem z nim razem po raz pierwszy.

W końcu usiedliśmy na ziemi. Franz pluł do wody przez zęby i wyglądał jak mężczyzna; zawsze też trafiał tam, gdzie celował. Zaczął z nami rozmawiać, a chłopcy jęli się przechwalać i chełpić najrozmaitszymi uczniowskimi wyczynami i złośliwymi psotami. Ja milczałem, choć bałem się, iż właśnie tym moim milczeniem zwrócę uwagę i ściągnę na siebie gniew Kromera. Obaj moi koledzy od początku już odsunęli się ode mnie i opowiedzieli się po stronie przywódcy, byłem wśród nich obcy i czułem, że mój ubiór i sposób bycia są dla nich wyzywające. Franz nie mógł mnie lubić, ponieważ byłem uczniem szkoły łacińskiej i pańskim dzieckiem, a dwaj pozostali, doskonale to czułem, gdyby zaszła potrzeba, zaparliby się mnie i porzucili.

Wreszcie i ja, wyłącznie pod wpływem strachu, zacząłem opowiadać. Wymyśliłem wielką, awanturniczą historię, czyniąc się jej bohaterem. Z pewnego sadu przy narożnym młynie, opowiadałem, ukradłem nocą wraz z jednym kolegą cały wór jabłek, i to nie takich zwykłych, lecz samych tylko renet i malinówek, w najlepszym gatunku. Z realnie istniejącego niebezpieczeństwa owej chwili uciekłem w tę historię, zmyślać bowiem i opowiadać umiałem doskonale. Nie chcąc zaś zbyt szybko skończyć i zostać wciągniętym w gorsze może jeszcze sprawy, zabłysnąłem całym moim kunsztem. Jeden z nas, opowiadałem, musiał stać na straży, podczas gdy drugi wlaził na



drzewo i zrzucił jabłka, a worek był tak ciężki, iż w końcu musieliśmy go na nowo otworzyć i połowę zostawić, ale po pół godzinie wróciliśmy i zabraliśmy także i tę resztę.

Skończyłem, żywiąc nadzieję na pewien aplauz, pod koniec bowiem zapaliłem się i upoiłem własnym fantazjowaniem. Dwaj młodsi chłopcy milczeli wyczekująco. Franz Kromer natomiast przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem zmrużonych oczu i zapytał z pogroźką w głosie:

— Czy to prawda?

— Tak — odpowiedziałem.

— Więc nie łiesz i nie kręcisz?

— Tak, nie łę i nie kręcę — potwierdziłem z uporem, choć wewnątrz dławiał mnie lęk.

— A możesz przysiąc?

Przeraziłem się okropnie, lecz natychmiast odparłem, że tak.

— No, to powiedz: Na Boga i zbawienie mojej duszy!

Powiedziałem:

— Na Boga i zbawienie mojej duszy.

— No tak — stwierdził i odwrócił się. Pomyślałem sobie, że na tym się skończy i byłem szczęśliwy, gdy niebawem wstał i ruszył w drogę powrotną. Gdy znaleźliśmy się na moście, oznajmiłem nieśmiało, że muszę teraz już wracać do domu.

— Chyba tak ci się nie spieszy — zaśmiał się Franz — idziemy w tę samą stronę.

Powoli szedł dalej, ja zaś nie śmiałem uciekać, lecz on istotnie zmierzał w kierunku naszego domu. Gdy doszliśmy tam, gdy zobaczyłem naszą bramę z grubą, mosiężną klamką, słońce połyskujące w oknach i firanki w pokoju matki, odetchnąłem głęboko. O chwilo powrotu! O dobra, błogosławiona chwilo powrotu do domu, do jasności i spokoju!

Gdy szybko otworzyłem drzwi i wsunąłem się do wnętrza, gotów bramę za sobą zatrzasnąć, Franz Kromer wcisnął się za mną. W chłodnej, ciemnej, płytami wyłożonej sieni, gdzie światło dochodziło jedynie z podwórza, stanął przy mnie, chwycił mnie za ramię i szepnął:

— Ty, nie śpiesz się tak!

Spojrzałem na niego z przerażeniem. Trzymał moje ramię mocno, jakby obcęgami. Zastanawiałem się, co by to mogło znaczyć i czy chce może znęcać się nade mną. Gdybym teraz zaczął krzyczeć, myślałem, krzyczeć gwałtownie i głośno, czy

znalazłby się na górze ktoś, kto szybko przyszedłby mi z pomocą? Lecz zrezygnowałem z tego zamiaru.

— Co takiego? — zapytałem. — Czego chcesz?

— Niewiele. Muszę cię jeszcze tylko o coś zapytać. A inni tego słyszeć nie potrzebują.

— Tak? A cóż mam ci jeszcze powiedzieć? Muszę już iść na górę, wiesz.

— Ale ty wiesz — powiedział cicho Franz — do kogo należy ów sad koło młyna?

— Nie, nie wiem. Chyba do młynarza.

Franz objął mnie ramieniem i przyciągnął teraz całkiem blisko do siebie tak, że musiałem widzieć jego twarz. Miał złe oczy, krzywy uśmiech, a twarz jego pełna była okrucieństwa i przemocy.

— No, chłopcze, już ja ci powiem, czyj to sad. Od dawna wiem, że kradziono tam jabłka i wiem też, że właściciel obiecał dwie marki temu, kto zdoła mu wskazać złodzieja.

— Boże święty! — wykrzyknąłem. — Ale ty mu przecież tego nie powiesz?

Czułem, że nie miałyby sensu apelowanie do jego poczucia honoru. Należał do innego świata i zdrada nie była dla niego zbrodnią. Czułem to doskonale. W tych sprawach ludzie z „tamtego” świata nie byli tacy jak my.

— Nie powiem? — zaśmiał się Kromer. — A cóż ty, bracie, myślisz, że jestem fałszerzem i sam potrafię fabrykować sobie dwumarkówki? Biedny jestem, nie mam bogatego ojca tak jak ty, i jeśli mam okazję zarobić dwie marki, to je zarobić muszę. A może zresztą da mi on nawet więcej.

Puścił mnie nagle znowu. Sień naszego domu nie pachniała już teraz bezpieczeństwem i spokojem, świat zapadł się wokół mnie. Złoży na mnie donos, jestem zbrodniarzem, powiedzą o tym ojcu, może zjawi się nawet policja. Zagrozały mi wszelkie okropności, wszelkie ohydy i niebezpieczeństwa zwróciły się przeciwko mnie. Fakt, że bynajmniej nic nie ukradłem, był absolutnie nieistotny. A w dodatku jeszcze przysięgałem! O Boże, wielki Boże!

Łzy napłynęły mi do oczu. Poczulem, że muszę się wykupić i zacząłem z rozpaczą przeszukiwać wszystkie kieszenie. Nie było w nich nic, nawet jabłka, nawet scyzoryka. Wtedy przypomniałem sobie o zegarku. Był to stary, srebrny zegarek, który nie chodził i nosiłem go „tylko tak sobie”. Był niegdyś własnością naszej babki. Wyciągnąłem go czym prędzej.

— Kromer, słuchaj — powiedziałem — nie powinienes na mnie naskarżyć,

nieładnie by to było z twojej strony. Podaruję ci mój zegarek, o, patrz: nic więcej, niestety, nie mam. Możesz go sobie wziąć, jest srebrny i mechanizm ma dobry, tylko z małą skazą, trzeba naprawić.

Uśmiechnął się i wziął zegarek w swą wielką łapę. Popatrzyłem na tę łapę i poczułem, jak bardzo jest brutalna i całkowicie wobec mnie wroga, jak gwałtownie sięga po mój spokój i moje życie.

— Jest srebrny — powiedziałem nieśmiało.

— Gwiżdżę na twoje srebro i na ten twój stary zegarek! — oznajmił z wielką pogardą. — Sam go sobie nieś do naprawy!

— Ależ, Franz — wykrzyknąłem, drżąc ze strachu, że gotów mi uciec — poczekaj chwilę! I weź ten zegarek! On jest naprawdę srebrny, nie łżę i nie bujam! A ja nic więcej nie mam.

Spojrzał na mnie chłodno i wzgardliwie:

— Więc wiesz już, do kogo pójdę. Albo mogę to zgłosić na policji, wachmistrza znam dobrze.

Odwrócił się do wyjścia. Przytrzymałem go za rękaw. Nie mogłem do tego dopuścić. Wolałbym sto razy umrzeć, niż znieść to wszystko, co nastąpiłoby nieuchronnie, gdyby on tak odszedł.

— Franz — zacząłem błagać, ochrypli z przejęcia — nie róbże głupstw! To przecież tylko żart, prawda?

— Aha, żart, ale może cię drogo kosztować.

— To powiedz mi, Franz, co mam zrobić? Gotów jestem na wszystko!

Przyjrzał mi się tymi swoimi przymrużonymi oczami i znowu się zaśmiał.

— Nie wygłupiaj się! — oznajmił z udaną dobroduszością. — Wiesz przecież doskonale, o co chodzi. Mogę zarobić dwie marki, a nie jestem takim bogaczem, że bym je miał wyrzucać, przecież wiesz. Ty za to jesteś bogaty, masz nawet zegarek. Daj mi tylko te dwie marki i wszystko będzie w porządku.

Pojmowałem tę logikę. Ale dwie marki! Była to dla mnie suma równie wielka i równie nieosiągalna jak dziesięć, sto lub tysiąc marek. Pieniądzy nie miałem. Istniała wprawdzie skarbonka, która stała w pokoju matki i w której z odwiedzin różnych wujków, czy innych takich okazji kołatało trochę monet po pięć, dziesięć fenigów. Ale więcej nie miałem nic. Kieszonkowego w tym wieku jeszcze nie dostawałem.

— Nie mam nic — powiedziałem ze smutkiem. — Nie mam wcale pieniędzy. Ale poza tym gotów jestem oddać ci wszystko. Mam książkę o Indianach i żołnierzy i

kompas. Zaraz ci przyniosę.

Kromer skrzywił swe zło, zuchwał wargi i splunął na ziemię.

— Przestań bredzić! — rozkazał. — Schowaj sobie te wszystkie śmieci. Kompas! Nie drażnij się ze mną jeszcze w dodatku, słyszysz, i dawaj pieniądze!

— Ależ ja nic nie mam, ja nigdy nie dostaję pieniędzy. Nic na to nie poradzę!

— W takim razie przyniesiesz mi jutro te dwie marki. Będę po lekcjach czekał na dole, koło rynku. I koniec. A jak nie przyniesiesz tych pieniędzy, to zobaczysz!

— No, ale skądże je wezmę? Boże święty skoro ci mówię, że nie mam...

— Forsy jest u was w domu dość. To już twoja sprawa. Więc jutro po szkole. I mówię ci: jak nie przyniesiesz...

Przeszył mnie straszliwym spojrzeniem, raz jeszcze splunął i znikł jak duch.

Nie mogłem pójść na górę. Życie moje było zrujnowane. Myślałem o tym, żeby uciec i nigdy już nie wracać, albo żeby się utopić. Nie były to jednak zbyt wyraźne wyobrażenia. Usiadłem w ciemności na najniższym stopniu naszych schodów, zwinąłem się w kłębek i zatopiłem we własnym nieszczęściu. Tam znalazła mnie we łzach Lina, gdy zeszła z koszykiem po drzewo.

Poprosiłem ją, żeby nic na górze nie mówiła i poszedłem, do domu. Na wieszaku obok oszklonych drzwi wisiał kapelusz mego ojca i parasol matki, domowa serdeczność płynęła ku mnie od wszystkich tych przedmiotów, powitałem ją błagalnie i z wdzięcznością, tak jak syn marnotrawny witał widok i woń dawnych domowych kątów. Lecz wszystko to teraz już do mnie nie należało, wszystko to było jasnym światem ojca i matki, ja zaś, pełen winy, pogrążony byłem głęboko w obcej toni, uwikłany w grzech i straszną przygodę, zagrożony przez wroga, żyjący w oczekiwaniu niebezpieczeństwa, hańby i lęku. Kapelusz i parasol, pocziwa, stara posadzka z płyt piaskowca, wielki obraz nad szafą w przedpokoju i dochodzący z wnętrza bawialni głos starszej mojej siostry, wszystko to było mi milsze, bliższe i cenniejsze niż kiedykolwiek, lecz nie stanowiło już pociechy ani trwałego dobra, przekształciło się jedynie w wyrzut. Wszystko to nie było już moje, nie mogłem brać udziału w tym spokoju i ciszy. Na nogach miałem błoto, którego nie mogłem przecież wytrzeć o słomiankę, i wnosiłem ze sobą do domu cienie, o istnieniu których domowy ten świat nic nie wiedział. Ileż to już tajemnic miewałem, ileż przeżyłem lęków, lecz wszystkie one były jedynie igraszka i zabawą w porównaniu z tym, co oto dzisiaj wnosiłem w te

ściany. Los mnie ścigał, wyciągały się po mnie ręce, przed którymi nawet matka nie była w stanie mnie obronić, o których nawet nic wiedzieć nie mogła. Nieważne zresztą, czy zbrodnią moją była kradzież czy kłamstwo (a czyż nie złożyłem fałszywej przysięgi na Boga i zbawienie własnej duszy?). Grzech mój nie polegał na tym lub owym, grzechem był sam fakt podania przeze mnie ręki diabłu. Czemuż z nimi poszedłem? Dlaczego słuchałem Kromera bardziej, niż kiedykolwiek słuchałem własnego ojca? Dlaczego nakłamałem, wymyślając całą historię z tą kradzieżą? Czemu chępiłem się przestępstwami, jak by to były bohaterskie czyny? I oto teraz diabeł trzymał mnie za rękę, a wróg mnie ścigał.

Przez chwilę nie czułem nawet lęku przed jutrem, lecz przede wszystkim straszliwą pewnością, że droga moja wiedzie odtąd coraz dalej w dół, po pochyłości i w ciemność. Czułem też wyraźnie, że z wykroczenia mego powstać muszą nowe z kolei wykroczenia, że pojawienie się moje przed rodzeństwem, powitanie i pocałowanie rodziców będą kłamstwem, że noszę w sobie los swój i tajemnicę, które kryję przed nimi wszystkimi.

Na chwilę zabłysła we mnie nadzieja i ufność, gdy spojrzałem na kapelusz ojca. Powiem mu wszystko, przyjmę na siebie jego wyrok i karę, uczynię go mym powiernikiem i wybawcą. Będzie to jedynie pokuta, jaką tak często już odbywałem, ciężka i gorzka chwila, przykra i pełna skruchy prośba o przebaczenie.

Jakże słodko to brzmiało! Jak niezwykle nęciło! Lecz nic z tego. Wiedziałem, że tego nie zrobię. Wiedziałem, że mam teraz oto tajemnicę i winę, którą sam tylko będę musiał odcierpieć. A może w tej właśnie chwili znalazłem się na rozdrożu, może właśnie od tej chwili na zawsze już, na zawsze należeć będę do złych, ze złymi dzielić tajemnicę, od nich zależeć, ich słuchać, im będę musiał stać się podobny. Odegrałem rolę mężczyzny i bohatera, a teraz musiałem ponosić wynikające z niej konsekwencje.

Ucieszyłem się, że w chwili, gdy wszedłem, ojciec zaczął mówić o moich przemoczonych butach. Odwróciło to uwagę, nie dostrzegł bowiem rzeczy gorszej, ja zaś słuchałem wymówek, które w skrytości serca uznałem za odnoszące się do tej innej sprawy. Odezwało się przy tym we mnie dziwne i nowe uczucie, złe, przejmujące, pełne sprzeczności: poczułem bowiem przewagę nad własnym ojcem! Czułem przez chwilę, choć krótko, pewną wzdargę dla jego nieświadomości, jego wymówki, dotyczące przemoczonego obuwia wydały mi się małostkowe. „Gdybyś wiedział!” — pomyślałem, i poczułem się jak zbrodniarz, którego przesłuchują z powodu jednej skradzionej bułki, podczas gdy mógłby przyznać się do popełnionych morderstw. Było

to brzydkie, ohydne uczucie, nie mniej jednak silne i pełne głębokiego uroku i bardziej niż jakakolwiek inna myśl przykuło mnie ono do mojej tajemnicy, do mojej winy. A może, myślałem, Kromer poszedł już na policję i złożył na mnie doniesienie i teraz burza nadciąga nad moją głowę, podczas gdy tutaj uważają mnie za małe dziecko?

Z całego tego przeżycia, na ile dotąd je zrelacjonowałem, ta chwila była najważniejsza i najbardziej trwała. Było to pierwsze naruszenie świętości ojca, pierwsze podcięcie filarów, na których spoczywało moje dzieciństwo, a które zniweczyć musi każdy człowiek, zanim zdoła stać się sobą. Z przeżyć tych, nieostrzegalnych dla nikogo, składa się wewnętrzna, najbardziej istotna linia naszego losu. Naruszenie takie i podcięcie zarastają znowu, zagojone zostają i zapomniane, lecz w najtajniejszej głębi nadal żyją i krwawią.

Sam przeraziłem się natychmiast tego nowego uczucia, gotów byłem zaraz potem całować nogi mego ojca, prosić go o przebaczenie. Nie można jednak przeprosić za żadną istotną sprawę, a dziecko czuje to i wie równie dobrze i głęboko jak każdy mędrzec.

Czułem potrzebę przemyślenia tej mojej historii, obmyślenia dróg na dzień jutrzejszy, lecz nie zdołałem tego uczynić. Przez cały wieczór zajęty byłem wyłącznie przyzwyczajaniem się do zmienionej aury w naszej bawialni. Zegar ścienny i stół, biblia i lustro, półka z książkami i obrazy na ścianie zegnały się oto ze mną i z zastygającym sercem patrzeć musiałem, jak ten mój świat, dobre, szczęśliwe moje życie stawały się przeszłością, odrywały się ode mnie, odczuwać musiałem, jak oto nowymi, chwytliwymi korzeniami zakotwiczony i zamocowany zostaję tam, na zewnątrz, w ciemnym, obcym świecie. Po raz pierwszy zakosztowałem śmierci, a śmierć gorzki ma smak, jest bowiem narodzinami, i strachem, i lękiem przed straszliwą nowością.

Szczęśliwy się poczułem, gdy wreszcie znalazłem się w łóżku! Przedtem jeszcze przeszedłem ostatnią, czyścicową próbę: wieczorne nabożeństwo, a śpiewaliśmy podczas niego pieśń, która należała do moich ulubionych. Ach, nie brałem udziału w tym śpiewie, każdy dźwięk owej pieśni, był dla mnie przepojony żółcią i octem. Nie brałem też udziału w modlitwie, gdy ojciec odmawiał błogosławieństwo, a gdy zakończył: „i z nami wszystkimi!” wstrząs jakiś wyrwał mnie z tego kręgu. Łaska boża była z nimi wszystkimi, ale już nie ze mną. Odszedłem zziębnięty i niezmiernie zmęczony.

W łóżku, gdy poleżałem już chwilę i gdy otoczyło mnie zaciszne ciepło, serce

moje, pełne lęku, cofnęło się raz jeszcze, zatrzepotało trwożliwie wokół minionych chwil. Matka, jak zawsze, powiedziała mi dobranoc, echo jej kroków dźwięczało jeszcze w pokoju, odbłask jej świecy migał jeszcze w szparze drzwi. Teraz, myślałem, teraz przyjdzie jeszcze raz — wyczuła to przecież, pocałuje mnie i zapyta, zapyta serdecznie i życzliwie, a wtedy będę mógł się wypłakać, wtedy stopnieje kamień, który czuję w gardle, wtedy się do niej przytulę i wszystko jej powiem, i wtedy będzie dobrze, nadejdzie ratunek! I gdy szpara w drzwiach już ściemniała, nasłuchiwałem jeszcze chwilę pewien, że to musi, musi nastąpić.

Potem powróciłem do rzeczywistości i spojrzałem memu wrogowi prosto w oczy. Widziałem go wyraźnie, przymrużył jedno oko, usta jego śmiały się brutalnie, a gdy nań tak patrzyłem, udręczony nieodwracalnym moim losem, stawał się coraz większy i brzydszy, a złe jego oko rzucało diabelskie błyski. Stał tuż koło mnie, dopóki nie zasnąłem, nie śniłem jednak o nim, ani o dniu dzisiejszym, lecz śniło mi się, że jedziemy łódką, rodzice, siostry i ja i otacza nas jedynie spokój i pogoda wakacji. Przebudziłem się w samym środku nocy, czując jeszcze posmak tego szczęścia, widząc jeszcze białe, letnie suknie moich sióstr, połyskujące w słońcu, i z całego tego rajku spadłem z powrotem we wszystko, co było, i znów znalazłem się naprzeciw mego wroga o złym spojrzeniu.

Rano, gdy matka moja nadeszła spiesznie, wołając, że już późno i dopytując, dlaczego jeszcze leżę w łóżku, wyglądałem mizernie, a gdy zapytała, czy źle się czuję, wymiotowałem.

Zdawało się, że dzięki temu coś jednak zyskałem. Lubilem bowiem być trochę niezdrów i móc tak leżeć przez cały ranek, popijając napar z rumianku, słuchać, jak matka sprząta w sąsiednim pokoju i jak Lina przyjmuje rzeźnika w sieni. Przedpołudnie bez lekcji miało w sobie urok, coś z baśni, słońce igrało w pokoju i nie było już tym samym słońcem, przeciw któremu spuszczano w szkole zielone zasłony. Ale dziś nawet to mi nie sprawiało przyjemności i miało jakiś fałszywy ton.

Ba, gdybym umarł! Ale byłem tak tylko trochę niezdrów, jak już nieraz, i nie dawało mi to żadnych korzyści. Chroniło mnie jedynie przed szkołą, lecz bynajmniej nie przed Kromerem, który o jedenastej czekał mnie na rynku. A życzliwość matki tym razem nie przynosiła mi żadnej pociechy: ciążyła jedynie i zadawała ból. Niebawem udałem, że śpię, i jałem się zastanawiać. Nic tu pomóc nie mogło, o jedenastej musiałem być na rynku. Dlatego też o dziesiątej wstałem po cichu, mówiąc, że czuję się już dobrze. Wtedy, jak zwykle w takich wypadkach, powiedziano, że albo

mam wracać do łóżka, albo muszę po południu iść do szkoły. Oświadczyłem, że chętnie pójdę do szkoły. Ułożyłem sobie bowiem pewien plan.

Bez pieniędzy nie mogłem iść do Kromera. Musiałem więc ściągnąć małą skarbonkę, która była moją własnością. Nie było w niej dość pieniędzy, o wiele nawet za mało, to wiedziałem; lecz trochę ich jednak tam było, a przecucie mówiło mi, iż trochę to zawsze lepiej niż nic i że Kromera należy przynajmniej udobruchać.

Nieprzyjemnie się czułem, gdy w skarpetkach wśliznąłem się do pokoju matki i zabrałem z jej biurka skarbonkę; nie było to jednak uczucie tak przykre jak wczoraj. Dławił mnie łomot serca, który nie ustał bynajmniej, gdy na dole, w sieni, stwierdziłem, iż skarbonka jest zamknięta. Łatwo ją było otworzyć, należało jedynie rozerwać cienką siatkę z blaszanych drucików, lecz szarpnięcie to sprawiało mi ból, gdyż dopiero wówczas popełniłem kradzież. Dotychczas ściągałem jedynie kawałki cukru lub owoce. Lecz oto teraz ukradłem, mimo iż były to własne moje pieniądze. Czułem, że znowu podsunąłem się o krok bliżej do Kromera i jego świata, że staczam się stopniowo, lecz nieuchronnie, i zaciąłem się w uporze. Żeby nawet diabli mnie teraz wzięli, odwrotu już nie było. Przeliczyłem pieniądze ze strachem, brzęczały w puszcze tak, jakby ich tam było dużo, lecz gdy trzymałem je w rękę, okazało się, iż jest ich bardzo niewiele. Sześćdziesiąt pięć fenigów. Schowałem puszkę na dole, w sieni, pieniądze zacisnąłem w garści i wyszedłem z domu, inaczej niż kiedykolwiek dotąd przechodząc bramę. Wydawało się, że z góry ktoś mnie woła; odszedłem czym prędzej.

Czasu miałem jeszcze wiele, przemykałem się przez zaułki odmienionego nagle miasta okólnymi drogami, pod obłokami, jakich nigdy dotąd nie oglądałem, pod domami, które na mnie patrzyły, obok ludzi, spoglądających na mnie podejrzliwie. Przypomniało mi się po drodze, że jeden z moich szkolnych kolegów znalazł pewnego razu całego talara na bydłowym rynku. Wielką miałem ochotę pomodlić się, aby Bóg dokonał cudu i pozwolił mi również znaleźć coś takiego. Ale nie miałem już prawa do modlitwy. I skarbonka też zresztą wcale by się wskutek moich modlitw nie zrosła.

Franz Kromer dostrzegł mnie już z daleka, podszedł ku mnie jednak bardzo wolno i zdawał się wcale na mnie nie zważać. Gdy był już tuż obok, dał mi rozkazujący znak, abym szedł za nim i nie oglądając się ani razu wędrował spokojnie dalej, ulicą Słomianą w dół, i przez jezdnię, zatrzymując się dopiero przy ostatnich domach koło jakiejś rozpoczętej budowy. Nie pracowano tam teraz, mury stały nagie, bez drzwi i okien. Kromer obejrzał się i przez drzwi wszedł do wnętrza, a ja za nim. Schował się za



ścianę, skinął na mnie i wyciągnął rękę.

— Masz? — zapytał chłodno.

Dobyłem z kieszeni zaciśniętą pięść i wysypałem pieniądze na jego płaską dłoń. Zliczył je, zanim jeszcze ostatnia piątka z brzękiem spadła.

— Tu jest sześćdziesiąt pięć fenigów — powiedział i spojrzał na mnie.

— Tak — odparłem nieśmiało. — To wszystko, co mam, i za mało, wiem. Ale to wszystko. Więcej nie mam.

— Myślałem, że jesteś bardziej rozgarnięty — zgromił mnie niemal łagodnie. — Ludzie honoru powinni być wobec siebie w porządku. Wcale nie mam zamiaru cię obrabowywać, wiesz przecież. Weź sobie z powrotem te twoje groszaki, no, bierz! Tamten, wiesz kto, nawet nie spróbuje ze mną się targować. On zapłaci.

— Ależ ja nie mam, nie mam więcej! To były moje oszczędności.

— To już twoja rzecz. Ale nie chcę cię krzywdzić. Winien mi jesteś jeszcze markę i trzydzieści pięć fenigów. Kiedy je dostanę?

— O, dostaniesz je na pewno, Kromer! Nie wiem jeszcze, może niedługo będę miał więcej, jutro albo pojutrze. Rozumiesz przecież, że ojcu nie mogę o tym powiedzieć.

— Nic mnie to nie obchodzi. Ale nie jestem taki, żebym chciał ci szkodzić. Mógłbym przecież dostać te pieniądze jeszcze przed obiadem, wiesz, a jestem biedny. Ty chodzisz ładnie ubrany, a na obiad też dostajesz coś lepszego niż ja. Ale nie powiem nic. Ostatecznie mogę jeszcze trochę poczekać. Pojutrze po południu na ciebie zagwizdę i wtedy to załatwimy. Znasz mój sygnał?

Zagwizdał, często to już słyszałem.

— Dobrze — odparłem — wiem.

Odszedł, jakbym wcale do niego nie należał. Odbyła się pomiędzy nami tylko transakcja, więcej nic.

Wydaje mi się, że gwizd Kromera przeraziłby mnie i dziś jeszcze, gdybym go nagle usłyszał. Słyszałem go odtąd tak często, iż wydawało mi się, że słyszę go niemal nieustannie. Nie było miejsca, zabawy, pracy, myśli, w które nie wdzierałby się ów gwizd, uzależniający mnie tak bardzo, będący obecnie moim losem. Przebywałem często w naszym małym, pełnym kwiatów ogródku, który bardzo lubiłem, szczególnie w łagodne i pełne barw popołudnia jesienne, i pod wpływem dziwnego, jakiegoś popędu podejmowałem teraz chłopięce zabawy z dawnych, minionych lat; bawiłem się niejako w chłopca młodszego ode mnie, chłopca, który był jeszcze dobry,

swobodny, niewinny i otoczony opieką. Lecz w połowie owej zabawy, zawsze oczekiwany, a jednak zawsze straszliwie przerażający i niespodziany, rozlegał się skądś gwizd Kromera, przerywał nić, niweczył moje fantazje. Musiałem wówczas iść, musiałem wędrować za moim dręczycielem na miejsca złe i brzydkie, musiałem zdawać mu sprawę i wysłuchiwać napomnień o pieniądze. Wszystko to trwało może parę tygodni, mnie jednak wydawało się, że trwa wiele lat, wieczność całą. Pieniądze miewałem rzadko, piątka lub grosze skradzione z kuchennego stołu, gdy Lina stawiała na nim koszyk po powrocie z targu. Za każdym razem Kromer łajał mnie i obrzucał słowami pełnymi wzgardy: ja to byłem tym, który go chciał oszukać i pozbawić tego, co słusznie według prawa mu się należało, ja byłem tym, który go okrada i krzywdzi! Rzadko kiedy w życiu miałem serce równie pełne udręki, nigdy zaś nie czułem równie wielkiej beznadziejności i zależności.

Skarbonkę napełniłem żetonami do gry i odstawiłem na dawne miejsce, nikt o nią nie zapytał. Lecz i ta sprawa mogła spaść lada dzień na moją głowę. Bardziej jeszcze niż brutalnego gwizdu Kromera lękałem się często własnej matki, gdy cicho ku mnie podchodziła — czy nie miała przypadkiem zamiaru zapytać o skarbonkę?

Ponieważ pojawiałem się przed tym moim diabłem wielokroć bez pieniędzy, zaczął mnie on dręczyć i wysługiwać się mną w inny sposób. Musiałem dla niego pracować. Kiedy miał pozalatawać dla swego ojca różne sprawy: ja musiałem czynić to za niego. Albo też kazał mi dokonywać różnych trudnych sztuczek, na przykład skakać przez dziesięć minut na jednej nodze, albo przyczepić komuś z przechodzących kawałek papieru do płaszcza. W snach w ciągu wielu nocy przeżywałem dalszy ciąg tych męczarni, zlany potem, prześladowany przez zmore.

Przez pewien czas chorowałem. Wymiotowałem często, marzłem łatwo, nocami jednak leżałem spocony i zgorączkowany. Matka czuła, że coś ze mną nie jest w porządku i okazywała mi wiele współczucia, które mnie męczyło, gdyż nie mogłem na nie odpowiedzieć zaufaniem.

Pewnego wieczoru, gdy już leżałem w łóżku, przyniosła mi kawałek czekolady. Było to przypomnienie dawnych lat, gdy wieczorami, jeżeli byłem greczny, dostawałem często takie smaczne kąski na pocieszenie przed zaśnięciem. Teraz stanęła przy łóżku i podsunęła mi ów kawałek czekolady. Ogarnęła mnie taka żalność, iż mogłem jedynie potrząsnąć głową. Zapytała, co mi jest, i pogłaskała mnie po głowie. Zdołałem tylko wykrztusić: „Nie! Nie! Ja nic nie chcę”. Położyła czekoladę na nocnym stoliku i odeszła. Gdy nazajutrz chciała mnie o to wypytać, udałem, że nic już

nie pamiętam. Raz przyprowadziła do domu doktora, który mnie zbadał i polecił obmywać mnie co rano zimną wodą.

Stan mój był w tym okresie czymś w rodzaju obłędu. Pod dachem naszego domu, pełnego spokoju i ładu, żyłem nieśmiały i udręczony upiornie, nie biorąc udziału w życiu innych, rzadko jedynie, na krótkie chwile, zapominając o wszystkim. Względem mego ojca, który nieraz, rozdrażniony, usiłował dociec, co się ze mną dzieje, byłem zamknięty i chłodny.

### ***Kain***

Wybawienie z tych moich męczarni nadeszło z całkiem niespodziewanej strony, a wraz z nim wtargnęło w życie moje coś nowego, czego wpływ przetrwał aż do dziś.

W naszej szkole łacińskiej pojawił się od niedawna nowy uczeń. Był to syn pewnej zamożnej wdowy, która przeprowadziła się do naszego miasta. Chłopiec nosił na rękawie żalobną opaskę z krepy. Chodził do klasy wyższej niż ja i był o parę lat starszy, lecz niebawem zwrócił na siebie uwagę zarówno moją, jak i pozostałych. Dziwny ten uczeń zdawał się być znacznie starszy, niż na to wyglądał, na nikim też nie sprawiał już wrażenia chłopca. Poruszał się wśród nas, dziecinnych jeszcze chłopców, obco i dorośle, jak mężczyzna, a raczej jak jakiś pan. Lubiany nie był, nie brał udziału w zabawach, a tym bardziej w bójkach, jedynie jego pełen pewności siebie i zdecydowania ton, jakim zwracał się do nauczycieli, podobał się innym uczniom. Nazywał się Maks Demian.

Pewnego dnia zdarzyło się coś, co niekiedy miało miejsce w naszej szkole; z pewnych powodów umieszczono w naszej bardzo obszernej klasie jeszcze jedną klasę. Była to klasa Demiana. My, malcy, mieliśmy lekcję historii świętej, starsi mieli pisać wypracowanie. Podczas gdy pakowano nam do głowy dzieje Kaina i Abła, spoglądałem często na Demiana, którego twarz fascynowała mnie w jakiś osobliwy sposób, i obserwowałem tę mądrą, jasną, niezwykle zdecydowaną twarz schyloną uważnie i pilnie nad zadaniem; nie wyglądał przy tym wcale na ucznia, odrabiającego lekcję, lecz na uczonego, śledzącego własne swoje problemy. W zasadzie nie było mi to miłe, przeciwnie, czułem względem niego jakiś sprzeciw, wydawał mi się przemądrzały i zbyt chłodny, wyzywająco pewny siebie, oczy jego zaś miały wyraz ludzi dorosłych — którego dzieci nigdy nie lubią — i były nieco smutne, z iskierkami drwiny. Mimo to musiałem, chcąc nie chcąc, ciągle ku niemu zerkać; ledwo jednak raz jeden i on też na mnie spojrział, cofnąłem wzrok z przerażeniem. Gdy zastanawiam się dzisiaj na tym, jak wyglądał on wówczas, jako uczeń, stwierdzić mogę jedynie, że pod każdym względem był inny niż wszyscy, był na wskroś sobą, naznaczony piętnem własnej osobowości, i dlatego tak się wyróżniał, choć jednocześnie czynił wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, nosił się i zachowywał jak przebrany książe, który

wśród wiejskich chłopców usiłuje ze wszystkich sił wydawać się do nich podobny.

W drodze powrotnej ze szkoły szedł za mną. Gdy inni już się rozbiegli, minął mnie i pozdrowił. I nawet to pozdrowienie, mimo iż naśladował w nim nasz uczniowski żargon, było bardzo dorosłe i uprzejme.

— Przejdziemy kawałek razem? — zapytał z życzliwością. Pochlebilo mi to i skinąłem głową. Potem opisałem mu, gdzie mieszkam.

— Ach, tam? — powiedział z uśmiechem. — Znam już ten dom. Nad waszą bramą jest taka jakaś dziwna rzecz, zaraz mnie to zainteresowało.

Nie od razu wiedziałem, o co mu chodzi, i poczułem się zaskoczony, że zdawał się znać nasz dom lepiej ode mnie. Na głównym kamieniu nad sklepieniem wjazdowej bramy znajdowało się wprawdzie coś w rodzaju herbu, lecz z biegiem czasu przyplaszczyło się to już i było często zamalowywane farbą, a z nami i naszą rodziną, o ile mi było wiadome, nie miało nic wspólnego.

— Nic o tym nie wiem — odparłem nieśmiało. — To jakiś ptak czy coś takiego i chyba bardzo stare. Ten dom należał dawniej podobno do klasztoru.

— Możliwe — kiwnął głową. — Przypatrz się temu kiedyś dokładnie! Takie rzeczy bywają czasami bardzo ciekawe. Wydaje mi się, że to krogulec.

Poszliśmy dalej, czułem się bardzo skrępowany. Nagle Demian roześmiał się, jakby mu się przypomniało coś wesołego.

— Aha, byłem dziś przecież na waszej lekcji — zawołał żywo. — Ta historia Kaina z piętnem na czole, prawda? Podobała ci się?

Nie, nader rzadko podobało mi się cokolwiek z tego, czego musieliśmy się uczyć. Lecz nie śmiałem tego wyjawić, wydawało mi się bowiem, że rozmawia ze mną człowiek dorosły. Odparłem więc, że historia ta podobała mi się, owszem.

Demian poklepał mnie po ramieniu.

— Wobec mnie nie musisz się zgrywać, mój kochany. Ale ta historia jest naprawdę raczej dziwna, wydaje mi się, że znacznie nawet dziwniejsza niż większość innych, o których mówi się w szkole. Nauczyciel niewiele zresztą na ten temat powiedział, tylko to, co zwykle się mówi o Bogu, o grzechu i tak dalej. Ale mnie się wydaje... — przerwał nagle, uśmiechnął się i zapytał: — Ale czy ciebie to interesuje? No, więc mnie się wydaje — mówił dalej — że tę historię o Kainie można też rozumieć w zupełnie inny sposób. Większość z tych rzeczy, których nas uczą, jest z pewnością prawdziwa i słuszna, ale można je wszystkie ująć w sposób całkiem inny, niż to robią nauczyciele, i wtedy mają one przeważnie znacznie więcej sensu. Bo trudno zadowolić

się tłumaczeniem choćby tej sprawy Kaina i piętna na jego czole. Nie sądzisz? Może się oczywiście zdarzyć, że ktoś w kłótni zabije własnego brata, i że potem strach go obleci i zmięknie, to też całkiem możliwe. Ale żeby go za tchórzostwo odznaczano jeszcze specjalnym orderem, który go chroni i wszystkim innym strachu napędza, to już dziwna jakaś sprawa.

— Racja — przytaknąłem z zainteresowaniem, bo temat ów zaczynał mnie wciągać. — Tylko jak inaczej wyjaśnić tę historię?

Znów klepnął mnie po ramieniu:

— Całkiem zwyczajnie! To, co istniało od samego początku i od czego zaczyna się ta cała historia, to właśnie znamię. Był więc człowiek, który miał na twarzy jakiś znak, coś, co lękiem przejmowało innych. Nie śmieli go tknąć, imponował im, on sam i jego dzieci. Może, a raczej nawet na pewno, nie było to jednak prawdziwe piętno na czole, takie jak stempel pocztowy, bo tak pospolicie w życiu się nie dzieje. Było to chyba raczej coś ledwie dostrzegalnego, a niesamowitego, spojrzenie bardziej śmiałe i przenikliwe, niż to, do jakiego ludzie przywykli. Ten człowiek miał władzę, tego człowieka się obawiano. Miał więc „piętno”. I można sobie to było tłumaczyć, jak się chciało. A „chce się” zawsze tego, co wygodne i co człowiekowi przyznaje rację. Lękano się dzieci Kaina, bo miały „piętno”. Ogłoszono więc, iż piętno to nie jest tym, czym było w istocie, wyróżnieniem, lecz jego przeciwieństwem. Stwierdzono, że faceci z tym piętnem są niesamowici, a byli nimi naprawdę. Ludzie odważni, z charakterem, zawsze wydają się innym ludziom groźni, niesamowici. Nader niewygodny był też fakt, że oto całe pokolenie nieulekłych a niesamowitych biega po świecie, dlatego też przyczepiono do tego pokolenia przezwisko i bajkę, żeby się na nim zemścić, żeby sobie trochę powetować ten cały strach. Rozumiesz?

— Tak, więc to znaczy, więc to znaczy, że Kain wcale nie był zły? I cała ta historia z *Biblii* właściwie nie byłaby zgodna z prawdą?

— I tak i nie. Te stare, prastare historie są zawsze prawdziwe, nie zawsze tylko są tak zapisywane i tak objaśniane, jak należy. Słowem, wydaje mi się, że ten Kain, to był świetny facet, i tylko dlatego, że go się bano, przyczepiono do niego tę historię. I cała ta historia była po prostu pogłoską, plotką, jak wiele innych, które ludzie roznoszą, a pod tym tylko względem była prawdziwa, że Kain i jego dzieci naprawdę miały swego rodzaju „piętno” i byli inni niż większość ludzi.

Byłem niesłychanie zdumiony.

— Myślisz więc, że z tym zabójstwem to też nieprawda? — zapytałem z

przejęciem.

— O, nie! To z pewnością prawda. Silny zabił słabszego. Można jedynie wątpić, czy to istotnie był jego brat. Ale to nieważne, bo w końcu wszyscy ludzie są braćmi. Silniejszy zamordował więc słabszego. Może to był zresztą czyn bohaterski, a może i nie. Ale w każdym razie wszyscy inni słabeusze byli wtedy przejęci strachem i narzekali okropnie, a gdy ich pytano: „A dlaczego wy go po prostu nie zabijecie?” to nie odpowiadali: „Dlatego, że jesteśmy tchórze” tylko mówili. „Nie można. On ma piętno. Bóg go nazaczył.” I chyba w ten sposób powstało całe to oszukaństwo. No, niepotrzebnie cię zatrzymuję. Do widzenia!

Skreślił w ulicę Starą, zostawiając mnie samego i zdumionego bardziej, niż byłem kiedykolwiek w życiu. Ledwo odszedł, wszystko, co mówił, wydało mi się na wskroś niewiarygodne! Kain szlachetnym człowiekiem, Abel tchórzem! Piętno Kainowe wyróżnieniem! Było to absurdalne, bluźniercze, haniebne. I gdzież w tym wszystkim Bóg? Czyż nie przyjął ofiary Abła, czyż Abła nie umiłował? Nie, brednie! Zacząłem podejrzewać, że Demian chciał zakpić sobie ze mnie i wystrychnąć mnie na dudka. Był wprawdzie cholernie inteligentny i umiał gadać, ale, mimo wszystko... nie, nie...

Nigdy jednak dotąd nie zastanawiałem się tyle nad jakąkolwiek biblijną lub inną historią. I od dawna już nie byłem w stanie tak całkowicie zapomnieć o Franzu Kromerze — przez całe godziny, przez cały długi wieczór. W domu przeczytałem całą tę historię raz jeszcze, tak jak zapisana była w *Biblii*, krótka i wyraźna, szaleństwem wydawało się szukać w niej utajonego, osobliwego znaczenia. Każdy morderca mógłby się wobec tego ogłosić człowiekiem szczególnie umiłowanym przez Boga! Nie, to brednie. Przyjemny był jedynie sposób, w jaki Demian potrafił mówić o wszystkich tych sprawach, tak ładnie i lekko, jakby wszystko zrozumiałe było samo przez się, a ponadto jeszcze z takim spojrzeniem!

Coś wprawdzie i u mnie było nie w porządku, a nawet w wielkim nieporządku. Żyłem niegdyś w świecie jasnym i czystym, sam byłem czymś w rodzaju Abła, a teraz tkwiłem głęboko w „tamnym”, upadłem i zapadłem tak nisko, choć przecież w istocie niezbyt tu zawiniłem! Jakże się to obecnie przedstawiało? Ach, tak, ocknęło się we mnie wspomnienie, od którego na chwilę dech mi zapało. W ów straszny wieczór, od którego zaczęła się cała obecna moja udręka, była ta historia z moim ojcem, wówczas, na krótką chwilę, przejrzałem jakby i odepchnąłem ze wzgardą cały jego jasny świat, jego mądrość! Tak, i wtedy ja sam, który byłem Kainem, noszącym piętno, ubrdałem sobie, że piętno to nie jest hańbą, lecz wyróżnieniem, a ja w mej złości i nieszczęściu

stoję wyżej niż ojciec, wyżej niż wszyscy pobożni i dobrzy.

Nie przeżywałem wówczas tej sprawy w postaci tak jasnej myśli, lecz wszystko to w niej się mieściło, choć było jedynie rozplóceniem uczuć i osobliwych doznań, bolesnych, a jednocześnie napęnlających mnie dumą.

Zastanawiałem się — jak dziwnie mówił Demian o tych nieulekłych i o tchórzach! Jak osobliwie objaśniał to piętno na czole Kaina! Jak niezwykle zabłysło przy tym jego oko, to dziwne oko dorosłego człowieka! I przez głowę przemknęła mi niejasna myśl: czy on sam, ten Demian, nie jest czymś w rodzaju Kaina? Dlaczego go broni, jeśli nie czuje się do niego podobny? Dlaczego ma tak władcze spojrzenie? Dlaczego tak szyderczo mówi o „tamtych”, lęklitych, którzy w istocie są przecież pobożni i podobają się Bogu?

Nie mogłem dojść do ładu z tymi moimi myślami. Kamień wpadł do studni, a studnią tą była młoda moja dusza. I przez długi, bardzo długi czas owa sprawa Kaina, zabójstwa i piętna stanowiła punkt wyjścia dla wszystkich moich prób poznania, krytyki i wątpliwości.

Spostrzegłem, że inni uczniowie również bardzo zajmują się Demianem. O owej historii z Kainem nie powiedziałem nikomu, lecz on sam zdawał się budzić zainteresowanie także innych kolegów. W każdym razie krążyło o tym „nowym” wiele pogłosek. Gdybym dziś umiał sobie je wszystkie przypomnieć, każda rzuciłaby na niego jakieś światło, każdą można by objaśnić. Pamiętam jedynie pierwszą plotkę, że matka Demiana jest bardzo bogata. Twierdzono także, że nie chodzi ona nigdy do kościoła, a i syn też nie. Ktoś inny dowodził, że to Żydzi, ale mogli być przecież także utajonymi mahometanami. Rozgłaszano ponadto bajki o fizycznej sile Maksa Demiana. Faktem było, że najsilniejszego chłopaka w swojej klasie, który wyzwiał go do bójki, a gdy odmówił, nazwał tchórzem, straszliwie upokorzył. Ci, którzy przy tym byli, opowiadali, iż Demian wziął go tylko jedną ręką za kark i mocno ścisnął, a chłopak zbladł, a potem powlókł się w kąt i przez wiele dni nie mógł poruszać ramieniem. Pewnego wieczoru rozeszła się nawet wieść, że umarł. Wszystkie te informacje rozgłaszano przez pewien czas, wszystkim wierzono, wszystko to wydawało się podniecające i cudowne. Potem na jakiś czas miano już tego dość. Lecz nieco później zaczęły wśród nas, uczniów, krążyć nowe pogłoski o tym, że Demian poufale przestaje z dziewczynami i „wszystko wie.”



Moja sprawa z Franzem Kromerem toczyła się tymczasem dalej dawnym, przymusowym trybem. Nie mogłem się od niego odczepić, gdyż mimo iż niekiedy przez kilka dni dawał mi spokój, byłem z nim jednak związany. Towarzyszył mi także jak cień w moich snach, a męczarnie, jakich nie zadawał mi w rzeczywistości, wyobrażenia moja kazała mu zadawać mi w snach, w których stawałem się absolutnym jego niewolnikiem. Żyłem tymi snami, a że zawsze miałem ich wiele, bardziej niż w rzeczywistości traciłem życie i siły w tym królestwie cieni. Śniło mi się też często między innymi, że Kromer pastwi się nade mną, że klęczy na mnie, że na mnie pluje, a co znacznie gorsze, doprowadza do popełnienia ciężkich zbrodni — a raczej nie doprowadza, lecz po prostu potężnym swoim wpływem zmusza. Najstraszliwszy z tych snów, z którego ocknąłem się na pół obłąkany, dotyczył morderczej zasadzki na mego ojca. Kromer wyostrzył nóż i dał mi go do ręki, staliśmy ukryci za drzewami w jakiejś alei i czyhali na kogoś, choć nie wiedziałem na kogo; dopiero gdy ów ktoś się pojawił i Kromer, ściskając moje ramię, dał mi znak, że to właśnie ten, którego mam zakłuć, okazało się, że to mój ojciec. Wtedy się obudziłem.

Przejęty tymi sprawami myślałem wprawdzie jeszcze nieraz o Kainie i Ablu, lecz znacznie mniej o Demianie. Gdy znowu do mnie się zbliżył, uczynił to w dziwny sposób, mianowicie również we śnie. Śniłem bowiem znowu o zadawanych mi męczarniach i przymusach, lecz zamiast Kromera klęczał tym razem na mnie Demian. I — a była to rzecz całkiem nowa i wywarła na mnie głębokie wrażenie — wszystko, co od Kromera znosiłem wśród cierpień i oporów, od Demiana przyjmowałem chętnie i z uczuciem, zawierającym tyleż lęku, co rozkoszy. Sen ten powtórzył się dwukrotnie, a potem Kromer znów powrócił na swoje miejsce.

Od dawna już nie potrafię dokładnie rozróżnić, co przeżywałem w tych snach, a co w rzeczywistości. W każdym razie niedobry mój kontakt z Kromerem trwał nadal i bynajmniej się nie zerwał, gdy spłaciłem chłopakowi wreszcie drogą licznym drobnych kradzieży sumę, jaką byłem mu winien. Nie, teraz wiedział on i o tych kradzieżach, gdyż zawsze mnie pytał, skąd owe pieniądze pochodzą, i bardziej niż kiedykolwiek miał mnie w ręku. Często groził, że powie o wszystkim memu ojcu, a strach mój był wówczas niemal równie wielki co głęboki żal, że sam od początku tego nie uczyniłem. Lecz mimo to i mimo całą moją udrękę nie wszystkiego jednak żałowałem, przynajmniej nie zawsze, a niekiedy wydawało mi się, iż czuję, że tak właśnie być powinno. Fatum jakieś nade mną zawisło i daremne były próby uniknięcia go.

Rodzice moi zapewne nie mała nad tym stanem moim cierpień. Ogarnął mnie obcy jakiś nastrój, nie pasowałem już do naszej społeczności, tak przecież serdecznej, za którą ogarniała mnie nieraz szalona tęsknota, niczym za utraconym rajem. Traktowano mnie, zwłaszcza matka, raczej jak chorego niż jak niegodziwca, lecz jak właściwie przedstawiały się sprawy, mogłem się przekonać najlepiej na podstawie zachowania się względem mnie obu moich sióstr. Zachowanie to, pełne troskliwości, lecz mimo to niesłuchanie dla mnie przykre, wyraźnie dawało do zrozumienia, że jestem czymś w rodzaju szaleńca, którego, z uwagi na jego stan, raczej należy żałować, niż gromić, w którym jednak zło obrało sobie siedzibę. Czułem, że się za mnie modlą inaczej niż dotychczas, pojmowałem też daremność owych modlitw. Często w przejmujący, pałący sposób tęskniłem do ulgi, do prawdziwej spowiedzi, z góry już jednak wiedziałem, że nie zdołam ojcu ani matce nic naprawdę powiedzieć i wyjaśnić. Uświadamiałem sobie, że przyjęto by mnie życzliwie, potraktowano z wielką troską, a nawet pożałowano, lecz nie rozumiano by mnie w całej pełni i uznano by rzecz całą za swego rodzaju wykolejenie, gdy w istocie był to przecież mój los.

Wiem, iż wielu nie zechce uwierzyć, aby niespełna jedenastoletnie dziecko mogło doznawać takich uczuć. Lecz nie dla nich o tej mojej sprawie opowiadam. Opowiadam ją tym, którzy lepiej znają człowieka. Dorosły, który nauczył się już przekształcać część swoich uczuć w myśli, dostrzega jedynie brak owych myśli u dziecka i sądzi wówczas, że nie miewa ono takich przeżyć. Ja jednak nader rzadko przez całe moje życie doznawałem tak głębokich przeżyć i cierpień jak wtedy.

W pewien deszczowy dzień dręczyciel mój kazał mi przyjść na plac Zamkowy, stałem tam więc i czekałem, grzebiąc nogami w mokrych kasztanowych liściach, spadających ciągle jeszcze z czarnych, wodą ociekających drzew. Pieniądzy nie miałem, schowałem jednak dwa kawałki ciasta i zabrałem je ze sobą, aby móc przynajmniej cośkolwiek dać Kromerowi. Przyzwyczailem się już od dawna stać tak gdzieś w jakimś kącie i czekać na niego, niekiedy bardzo długo, i pogodziłem się z tym tak, jak godzi się człowiek z nieuniknionym losem.

Wreszcie zjawił się Kromer. Nie zabawił długo tego dnia. Dał mi parę kuksańców w zębra, zaśmiał się, zabrał ciasto, poczęstował mnie nawet wilgotnym papierosem, którego jednak nie wziąłem, i był bardziej niż zazwyczaj życzliwy.

— Aha — powiedział odchodząc — żebym nie zapomniał, na przyszły raz mógłbyś przyprowadzić swoją siostrę, tę starszą. Jak ona ma właściwie na imię?

Nic z tego nie rozumiałem i nic też nie odpowiedziałem. Spojrzałem tylko na

niego ze zdziwieniem.

— Nie kapujesz? Masz przyprowadzić swoją siostrę.

— Ależ to niemożliwe, Kromer. Nie wolno mi tego zrobić, a zresztą ona wcale by ze mną nie przyszła.

Pewien byłem, że to jedynie szykana i pretekst. Często bowiem tak robił: żądał czegoś niemożliwego, napędzał mi strachu, upokarzał, a potem pozwalał stopniowo ze sobą pertraktować. Musiałem w takich wypadkach składać wykup w postaci paru groszy lub innych darów.

Ale tym razem wszystko było inaczej. Prawie wcale się nie rozgniewał na moją odmowę.

— No, dobra — powiedział lekkim tonem — zastanów się nad tym jeszcze. Chciałbym poznać twoją siostrę. Raz może ci się przecież uda. Weźmiesz ją po prostu na spacer, a ja potem się przyłączę. Jutro na ciebie zagwizdę, to jeszcze o tym pogadamy.

Gdy odszedł, zaświtała mi nagle, niejasna myśl, jaki był cel jego żądania. Byłem jeszcze na wskroś dzieckiem, z różnych pogłosek wiedziałem już jednak, że chłopcy i dziewczęta, z chwilą gdy stawali się nieco starsi, mogli robić wspólnie jakieś rzeczy tajemnicze, gorszące i zakazane. I oto miałem ja... — pojąłem to nagle i wyraźnie, jak straszliwej rzeczy ode mnie wymagano! Postanowiłem natychmiast, że nigdy tego nie zrobię. Nie śmiałem jednak nawet pomyśleć, co się wówczas stanie i w jaki sposób Kromer na mnie się zemści. Rozpocząła się dla mnie nowa udręka, wszystkiego było jeszcze mało.

Szedłem w rozpacz przez pusty plac, ręce wsunąłem w kieszenie. Nowe męczarnie, nowa niewola!

Wtedy zawołał mnie czyjś żywy i głęboki głos. Przestraszyłem się i zacząłem biec. Ów ktoś pobiegł za mną, jakaś ręka schwyciła mnie łagodnie za ramię. Był to Maks Demian. Poddąłem się.

— To ty? — powiedziałem niepewnie. — Tak mnie przestraszyłeś!

Spojrzał na mnie, a spojrzenie jego nigdy nie było bardziej dorosłe, pełne przewagi i przenikliwości. Od dawna już nie mówiliśmy ze sobą.

— W takim razie przepraszam — powiedział na swój sposób uprzejmie, choć jednocześnie bardzo zdecydowanie. — Ale słuchaj, nie można się dać tak nastraszyć.

— No cóż, to się przecież zdarza.

— Tak się tylko wydaje. Ale wiesz, gdy tak się przelęknie na widok kogoś, kto ci

nic nie zrobił, ów ktoś zacznie się zastanawiać. Zdziwi go to i zaciekawi. Ten ktoś pomyśli sobie, że jesteś dziwnie bojaźliwy, a potem pomyśli jeszcze: tak zachowuje się tylko ktoś, kto się boi. Tchórze boją się zawsze; ale mnie się wydaje, że tchórzem to ty właściwie nie jesteś. Prawda? No, oczywiście, bohaterem także nie jesteś. Istnieją rzeczy, których się boisz; istnieją także ludzie, których się boisz. Ale tak nigdy nie powinno być. Nie, ludzi nie trzeba się nigdy bać. Mnie się chyba przecież nie boisz? Co?

— O, nie. Wcale.

— No, widzisz. Ale istnieją ludzie, których się boisz?

— Nie wiem... Dajże mi spokój, czego ty ode mnie chcesz?

Dotrzymał mi kroku — ruszyłem szybciej, myśląc o ucieczce, i czułem, że patrzy na mnie z ukosa.

— Wyobraź sobie — zaczął znowu — że po prostu dobrze ci życzę. A bać się mnie w każdym razie nie potrzebujesz. Chciałbym przeprowadzić z tobą pewien eksperyment, bardzo zabawny, przy którym możesz się zresztą czegoś pożytecznego nauczyć. Uważaj! Wiesz, próbuję czasami takiej sztuki, która nazywa się odczytywaniem myśli. To nie są żadne czary, tylko jeśli się nie wie, jak to trzeba robić, sprawa wygląda niekiedy bardzo dziwnie. I można tym ludzi niesłychanie zaskoczyć. No, spróbujmy tego teraz. A więc lubię cię, czy też interesuję się tobą i chciałbym dojść, jak tam u ciebie w środku wszystko wygląda. Pierwszy krok w tym kierunku już zrobiłem. Przestraszyłem cię — a więc jesteś lękliwy. Istnieją więc rzeczy i ludzie, których się obawiasz. Skąd się to bierze? Nie trzeba się nikogo bać. A jeśli ktoś się kogoś boi, to dlatego, że udzielił temu komuś jakiejś władzy nad sobą. Zrobił na przykład coś złego, a tamten o tym wie, i wtedy ma już nad tobą władzę. Kapujesz? Jasne, prawda?

Bezradnie spojrzałem na jego twarz, która była poważna i mądra, jak zawsze, a także życzliwa, ale bez cienia czułości, raczej surowa. Malował się na niej wyraz jakby sprawiedliwości czy czegoś podobnego. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje; stał przede mną jak czarownik.

— Zrozumiałeś? — zapytał raz jeszcze.

Kiwnąłem głową. Powiedzieć nie umiałem nic.

— Mówiłem ci, że to zabawnie wygląda, takie odczytywanie myśli, ale odbywa się to w całkiem naturalny sposób. Mógłbym ci na przykład nawet dokładnie powiedzieć, co sobie o mnie pomyślał, gdy opowiedziałem ci kiedyś tę historię o Kainie i Ablu. A

także uważam za rzecz możliwą, że ci się śniłem. Ale dajmy temu spokój! Rozgarnięty z ciebie chłopak, a inni są przeważnie tacy głupi! A ja lubię pogadać od czasu do czasu z jakimś rozgarniętym chłopakiem, do którego mam zaufanie. Chyba ci to odpowiada?

— O, tak. Nie rozumiem tylko wcale...

— No, to pozostajmy przy tym naszym zabawnym eksperymencie! Stwierdziłszy tedy, że: chłopiec S. jest lękliwy, obawia się kogoś, ma prawdopodobnie wspólnie z tym kimś tajemnicę, która mu jest okropnie niedogodna. Czy to się mniej więcej zgadza?

Ulegałem jego wpływowi, dźwiękowi jego głosu jak we śnie. Znowu skinąłem tylko głową. Czyż nie przemawiał tu oto głos, który mógł dobyć się ze mnie samego? Który wiedział wszystko? I wiedział lepiej, jaśniej, niż ja sam?

Demian trzepnął mnie mocno w ramię:

— A więc zgadza się. Tak sobie też myślałem. A teraz tylko jedno jeszcze pytanie: czy wiesz, jak nazywa się ten chłopak, który tu przedtem szedł?

Przeraziłem się okropnie, naruszona moja tajemnica skurczyła się we mnie boleśnie, nie chcąc za nic wyjść na światło dnia.

— Jaki chłopak? Tu nie było żadnego chłopaka, tylko ja.

Roześmiał się.

— No, powiedzże! — śmiał się dalej. — Jak on się nazywa?

Wyszeptałem:

— Chodzi ci o Franza Kromera?

Skinął mi głową z zadowoleniem:

— Brawo! Bystra z ciebie sztuka, zostaniemy jeszcze przyjaciółmi. Ale teraz muszę ci coś powiedzieć: ten Kromer, czy jak on się tam nazywa, to marny gość. Twarz jego już mi mówi, że to łajdak! Jak myślisz?

— O, tak — westchnąłem — on jest zły, to szatan! Ale nie może się o tym dowiedzieć! Na miłość boską, nie może się o tym dowiedzieć! Czy ty go znasz? A on cię zna?

— Uspokój się! Poszedł już i nie zna mnie, jeszcze mnie nie zna. Ale ja chciałbym go poznać, owszem. Czy on chodzi do szkoły powszechnej?

— Tak.

— Do której klasy?

— Do piątej. Ale nic mu nie mów! Błagam cię, błagam, nic mu nie mów!

— Uspokój się, nic ci się nie stanie. I pewno nie masz wielkiej ochoty opowiedzieć

mi trochę więcej o tym Kromerze?

— Nie mogę! Nie, daj mi spokój!

Milczał chwilę.

— Szkoda — powiedział potem — bo moglibyśmy dalej jeszcze prowadzić ten nasz eksperyment. Ale nie chcę ci dokuczać. Tylko, prawda, wiesz przecież, że ten twój strach przed nim to nic mądrego? Bo taki strach całkiem człowieka rozbija, trzeba się go pozbyć. I musisz go się pozbyć, jeśli ma z ciebie wyrosnąć porządny chłop. Rozumiesz?

— Pewnie, masz rację... ale to niemożliwe. Ty nawet nie wiesz...

— Przekonałeś się, że wiem niejedno, i więcej, niż myślałeś. Czy jesteś mu może winien pieniądze?

— Tak, też, ale to nie najważniejsze. Nie mogę ci tego powiedzieć, nie mogę!

— Więc nic nie pomoże, jeżeli dam ci tyle pieniędzy, ile mu jesteś winien? Bo mogę ci dać.

— Nie, nie, tu nie o to chodzi. I błagam cię: nikomu o tym nie mów! Ani słowa! Bo wpakujesz mnie w biedę!

— Możesz na mnie polegać, Sinclair. A wasze tajemnice opowiesz mi kiedyś później.

— Nigdy, nigdy! — wykrzyknąłem gwałtownie.

— Jak sobie chcesz. Myślę tylko, że może kiedyś, później, opowiesz mi więcej. Ma się rozumieć tylko z własnej chęci! Chyba nie przypuszczasz, że będę się też tak zachowywał jak Kromer?

— O nie, ale ty nic o tym przecież nie wiesz!

— Nic. Tak tylko się nad tym zastanawiam. I nigdy nie będę zachowywał się tak jak Kromer, możesz mi wierzyć. Zresztą ty mi nic nie jesteś winien.

Milczeliśmy przez dłuższy czas i trochę się uspokoiłem. Ale wiedza Demiana wydawała mi się coraz bardziej zagadkowa.

— Pójdę teraz do domu — powiedział i szczerzej otulił się wśród deszczu swym lodenowym płaszczem. — Chcę ci tylko raz jeszcze powiedzieć, skoro dogadaliśmy się już na tyle, że powinienes pozbyć się tego faceta! A jeśli nie da się inaczej, to go zabij! Bardzo by mi się podobało i zaimponowało, gdybyś tak zrobił. I nawet bym ci pomógł.

Znowu ogarnął mnie lęk. Przypomniała mi się nagle znów historia Kaina. Ogarnęło mnie uczucie niesamowitości i zacząłem cichutko płakać. Otaczało mnie zbyt wiele niesamowitych rzeczy.

— No, dobra — uśmiechnął się Maks Demian. — Idź już do domu! Jakoś to załatwimy. Mimo że najprościej byłoby go zabić. A w takich sprawach to, co najprostsze, jest zawsze też najlepsze. Bo w niedobrych jesteś rękach u twego przyjaciela Kromera.

Poszedłem do domu i wydawało mi się, że nie byłem tam rok. Wszystko wyglądało inaczej. Pomiędzy mną i Kromerem istniało coś jakby przyszłość, coś jakby nadzieja. Nie byłem już samotny! I teraz dopiero spostrzegłem, jak strasznie osamotniony byłem przez tyle, tyle tygodni z tą moją tajemnicą. I natychmiast przyszło mi na myśl to, o czym myślałem już wiele razy: że spowiedź przed rodzicami ulżyłaby mi, a jednak nie wyzwoliłaby mnie zupełnie. A oto teraz prawie się już wypowiadałem przed innym, przed obcym, i przecucie wybawienia wionęło ku mnie niczym mocna woń!

Mimo to bynajmniej nie przewyciężyłem jeszcze strachu, i długo też przygotowywany byłem na żmudne i straszliwe starcia z moim wrogiem. Tym bardziej dziwne wydało mi się, że wszystko przebiegało tak cicho, tak spokojnie, w absolutnej tajemnicy.

Gwizd Kromera przed naszym domem umilkł: nie było go słyhać przez jeden dzień, przez dwa dni, przez trzy dni, przez tydzień. Nie śmiałem w to uwierzyć, przyczałem się wewnętrznie, niepewny, czy właśnie w chwili, gdy wcale go się nie będę już spodziewał, nagle znowu się nie rozlegnie. Ale nie było go, znikł bez śladu! Nieufny wobec tej nowej wolności ciągle jeszcze nie mogłem w nią uwierzyć. Aż wreszcie spotkałem kiedyś Franza Kromera. Szedł w dół ulicy Linowej, akurat naprzeciw mnie. Gdy mnie spostrzegł, wzdrygnął się, wykrzywił w potwornym grymasie twarz i bez słowa zawrócił, żeby się ze mną nie zetknąć.

Niebywała była to dla mnie chwila! Oto wróg mój uciekł przede mną! Mój szatan zrejterował na mój widok! Przeniknął mnie dreszcz zaskoczenia i radości.

W tych dniach pokazał się też znowu Demian. Czekał na mnie przed szkołą.

— Witaj! — powiedziałem.

— Dzień dobry, Sinclair. Chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie słyhać. Kromer dał ci już teraz spokój, prawda?

— Czyś ty to sprawił? Ale jak? Jak? Ani rusz pojąć tego nie mogę. Nie pokazał się wcale.

— To dobrze. A gdyby miał się raz jeszcze pojawić, myślę, że tego nie zrobi, choć beczelny z niego typ, powiedz mu tylko, żeby pomyślał o Demianie.

— Ale jak to zrobiłeś? Zacząłeś z nim bójkę i sprąłeś go?

— Nie, takie rzeczy robię raczej niechętnie. Pogadałem z nim tylko tak jak z tobą i zdołałem mu przy tym wytłumaczyć, że z korzyścią dla niego będzie, jeśli da ci spokój.

— Och, ale chyba nie dawałeś mu pieniędzy?

— Nie, bracie. Ty zresztą wypróbowałeś już ten sposób.

Umknął mi, choć tak usilnie starałem się go wypytać, a ja żywiłem względem niego nadal to samo przygnębiające uczucie, zmieszane w nader dziwaczny sposób z wdzięczności, nieśmiałości, podziwu, strachu, przychylności i wewnętrznego oporu.

Postanowiłem sobie spotkać go znowu niebawem i pomówić z nim wtedy obszerniej o tym wszystkim, a także jeszcze o sprawie Kaina.

Nie doszło jednak do tego.

Wdzięczność w ogóle nie należy do cnót, w które wierzę, a na wskroś fałszywe wydaje mi się wymaganie jej od dziecka. Nie dziwię się tedy nadmiernie własnej mojej, całkowitej niewdzięczności, jaką przejawiałem wobec Maksa Demiana. Przekonany jestem dzisiaj absolutnie, że byłbym zniszczony i chory na resztę życia, gdyby nie był mnie on uwolnił z pazurów Kromera. I wyzwolenie to odczuwałem już wówczas jako największe przeżycie w młodych moich latach — lecz o samego wyzwoliciela nie zatroszczyłem się już z chwilą, gdy dokonał owego cudu.

Owa niewdzięczność jednak, jak już powiedziałem, wcale nie wydaje mi się dziwna. Natomiast dziwny wydaje mi się tylko brak ciekawości, jaki wówczas przejawiałem. Jakże to było możliwe, że zdołałem spokojnie żyć dalej choć przez jeden dzień, nie zbliżywszy się do tajemnic, z jakimi zetknął mnie Demian? Jakże mogłem pohamować gorące pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej o Kainie, o Kromerze, o czytaniu myśli?

Trudno to doprawdy pojąć, a przecież tak było. Uwolniony zostałem nagle z demonicznych sideł, widziałem znowu przed sobą świat radosny i jasny, nie dręczyły mnie już ataki strachu i dławiące bicie serca. Zły czar prysnął, nie byłem już storturowanym potępieńcem, lecz pospolitym uczniakiem, jak zwykle. Natura moja usiłowała jak najszybciej odzyskać spokój i równowagę, starała się więc przede wszystkim odsunąć od siebie wszystko co brzydkie i groźne, zapomnieć o tym. Z pamięci mojej ulotniła się niebywale szybko cała długa historia mojej winy i zastraszenia, nie pozostawiając pozornie żadnych blizn ani wspomnień.

Pojmuję natomiast dzisiaj, że równie szybko usiłowałem zapomnieć mego zbawcę i wyzwoliciela. Z doliny łez, z potępienia mojego, ze straszliwej niewoli u Kromera



uciekałem instynktownie i ze wszystkich sił skrzywdzonej mojej duszy tam, gdzie dawniej byłem zadowolony i szczęśliwy: w raj utracony, który na nowo mi się otworzył, w ów jasny świat ojca i matki, ku siostróm, ku woni czystości, ku bogobojności Abła.

Już następnego dnia po krótkiej mojej rozmowie z Demianem, gdy wreszcie poczułem się całkowicie przekonany, pewny i nie lękałem się żadnej już recydywy, uczyniłem to, czego tak często i gorąco pragnąłem – wyspowiadałem się. Poszedłem do matki, pokazałem jej skarbonkę z uszkodzonym zamkiem, wypełnioną żetonami do gry zamiast pieniędzmi, i opowiedziałem jej, jak to przez długi czas z własnej winy związany byłem ze złym dręczycielem. Zrozumiała nie wszystko, ale zobaczyła skarbonkę, zobaczyła zmienione moje spojrzenie, posłyszała zmieniony mój głos, poczuła, że ozdrowiałem, że zostałem jej przywrócony. I oto wśród wzniosłych uczuć święciłem dzień mego powrotu, nawrócenie marnotrawnego syna. Matka zaprowadziła mnie do ojca, całą historię trzeba było raz jeszcze opowiedzieć, zaroilo się od pytań i zdumionych okrzyków, oboje rodzice pogłaskali mnie po głowie i odetchnęli po długim okresie przygnębienia. Wszystko było wspaniałe, wszystko było jak w opowieściach, wszystko rozwiązało się pomyślnie w cudownej harmonii.

I w tę właśnie harmonię uciekłem z prawdziwą namiętnością. Nie mogłem się dość nacieszyć myślą, że odzyskałem znowu spokój i zaufanie rodziców, stałem się wzorowym chłopcem, częściej niż dotąd bawiłem się z siostrami, a podczas nabożeństw śpiewałem drogie, dawne pieśni z uczuciem człowieka nawróconego i zbawionego. Czyniłem to z serca, nie było w tym cienia kłamstwa.

Lecz mimo to ład bynajmniej nie został przywrócony! I tu właśnie pojawia się punkt, na podstawie którego jedynie i prawdziwie wyjaśnić można moje zapomnienie wobec Demiana. Przed nim bowiem powinienem był się wyspowiadać! Spowiedź ta byłaby mniej dekoracyjna i wzruszająca, lecz dla mnie z pewnością owocniejsza. Obecnie wszystkimi korzeniami przywarłem do mego dawnego, rajskiego świata, powróciłem do domu i łaskawie zostałem przyjęty. Lecz Demian bynajmniej do świata tego nie należał, nie pasował do niego. On także, chociaż inaczej niż Kromer, ale on także – był uwodzicielem, on także łączył mnie z tym drugim, złym, niedobrym światem, o którym na zawsze nic już nie chciałem wiedzieć. Nie mogłem i nie chciałem zdradzać teraz Abła i pomagać w wysławianiu Kaina, teraz właśnie, gdy na nowo sam stałem się Ablem.

Taki był zewnętrzny związek tych spraw. Wewnętrzny zaś był następujący:

wybawiony zostałem z rąk Kromera i szatana, lecz nie dzięki własnym siłom, własnym osiągnięciom. Spróbowałem kroczyć po ścieżkach tego świata, ale okazały się one dla mnie zbyt śliskie. A teraz, gdy uratował mnie chwyt przyjaznej dłoni, pobiegłem, ani jednego spojrzenia w bok już nie rzucając, wprost do kolan matki, i z powrotem do zacisza osłanianego, bezgrzesznego dzieciństwa. Uczyniłem sam siebie młodszym, bardziej uzależnionym i dziecinnym niż w istocie byłem. Musiałem tę zależność od Kromera zastąpić nową, ponieważ o własnych siłach iść nie byłem w stanie. Tak tedy w ślepym moim sercu wybrałem zależność od ojca i matki, od dawnego mego, ulubionego „jasnego świata”, o którym wiedziałem już przecież, że nie jest jedyny. Gdybym był tego nie uczynił, musiałbym trzymać się Demiana i jemu się zwierzyć. A że nie zrobiłem tego, wydawało mi się to wówczas usprawiedliwione nieufnością względem osobliwych jego myśli: w istocie zaś był to tylko strach. Demian bowiem mógłby zażądać ode mnie więcej, niż żądali rodzice, znacznie więcej, usiłowałby może przy pomocy zachęty i napomnień, ironii i szyderstwa, uczynić mnie bardziej samodzielnym. Ach, wiem to dzisiaj: nic na świecie nie jest dla człowieka bardziej przykre, niż iść drogą, która wiedzie go ku niemu samemu!

A mimo to w jakieś pół roku później nie mogłem oprzeć się pokusie i na pewnym spacerze zapytałem ojca, co należy sądzić o tym, że niektórzy ludzie uważają Kaina za lepszego od Abla.

Bardzo był zaskoczony i wytłumaczył mi, że pogląd ten bynajmniej nie jest nowy. Pojawił się już nawet w pierwszych czasach chrześcijaństwa, a głoszą go w sektach, z których jedna nazywała się sektą „Kainitów”. Lecz szaleńcza ta nauka jest, oczywiście, jedynie szatańską pokusą, usiłującą podkopać naszą wiarę. Jeśli bowiem zaczniemy wierzyć w prawość Kaina i nieprawość Abla, wyniknie stąd, że Bóg się pomylił, a zatem Bóg z *Biblii* nie jest prawdziwym i jedynym, lecz fałszywym. Kainici naprawdę zresztą podobnych rzeczy uczyli i kazania o nich wygłaszali: ale herezja ta od dawna już przestała istnieć, on zaś zdumiony jest tylko, że jeden z moich szkolnych kolegów mógł się o tym czegoś dowiedzieć. W każdym razie poważnie zaleca mi takich myśli zaniechać.

### ***Łotr***

Mógłbym opowiedzieć wiele pięknych, subtelnych i miłych rzeczy o moim dzieciństwie, o zacisznym życiu u boku ojca i matki, o dziecięcej miłości i wiedzionej wśród naiwnych igraszek egzystencji w otoczeniu łagodnym, serdecznym, jasnym. Lecz mnie interesują jedynie te kroki, które czyniłem w życiu po to, aby dojść do samego siebie. Wszelkie ładne miejsca odpoczynku, wyspy szczęśliwości i raje, których uroki nie były mi obce, pozostawiam w blasku odległych dni i wcale nie pragnę raz jeszcze do nich powracać.

Dlatego też, zatrzymując się jeszcze przy okresie moich lat chłopięcych, wspominam tylko o tym, co mi się przydarzyło nowego, co mnie odrywało i pędziło naprzód.

Zawsze ponawiały się te ataki „innego świata”, zawsze przynosiły ze sobą lęk, przymus i wyrzuty sumienia, zawsze były rewolucyjne i zagrażały pokojowi, w którym tak chętnie pragnąłem żyć.

Nadeszły lata, w których ponownie dokonać musiałem odkrycia, że we mnie samym tkwi pierwotny popęd, który w tym dozwolonym, jasnym świecie musi się przytajać i ukrywać. Jak każdego człowieka tak też i mnie opadło budzące się stopniowo uczucie płciowości jak wróg, jak niszczyciel, jako coś zakazanego, jako pokusa i grzech. To, czego szukała moja ciekawość, co było mi źródłem marzeń, rozkoszy i lęku, wielka tajemnica dojrzewania bynajmniej nie pasowała do tak chronionej szczęśliwości dziecięcego mojego spokoju. Robiłem to co wszyscy. Wiodłem podwójne życie dziecka, które przecież dzieckiem już nie jest. Świadomość moja tkwiła w sferze tego, co znane i dozwolone, i negowała zarysowujący się dopiero nowy świat. Obok tego jednak żyłem wśród marzeń, skłonności i pragnień utajonej natury, ponad którymi owo życie świadome wznosiło coraz bardziej lęklive pomosty, bowiem świat dziecinnego bytu zapadał się już we mnie. Podobnie jak niemal wszyscy rodzice, i moi również nie wspomagali budzących się instynktów, o których się nie mówiło. Pomagali jedynie z niewyczerpaną troskliwością przy beznadziejnych moich próbach negowania rzeczywistości i przebywania nadal w dziecięcym świecie, który z każdą chwilą stawał się bardziej zakłamanym i nierealnym. Nie wiem, czy rodzice mogą

wiele dokonać w tej dziedzinie, więc nie czynię im z tego powodu wyrzutów. Moja to była sprawa uporać się z samym sobą i znaleźć własną drogę, a wywiązałem się z tego zadania źle, jak większość tych, których dobrze wychowano.

Każdy człowiek przeżywa tę trudność. Dla przeciętnej natury jest to ów punkt życia, w którym wymagania własnego bytu wiodą najbardziej zaciekle spór z otaczającym światem, w którym stoczyć trzeba najbardziej zaciętą walkę o własną drogę naprzód. Wielu przeżywa ów zgon i ponowne narodziny, które są naszym losem, jedynie ten jeden raz w życiu, w chwili gdy próchnieć i stopniowo rozpadać się zaczyna świat dzieciństwa, gdy wszystko co ulubione chce nas opuścić, i nagle odczuwamy wokół siebie samotność oraz śmiertelny chłód wszechświata. A bardzo wielu na zawsze już pozostaje na tej mieliźnie, przez całą resztę życia lgnąc boleśnie do wszystkiego, co bezpowrotnie minęło, do marzenia o rajach utraconym — najgorszego i najbardziej morderczego ze wszystkich marzeń.

Wracajmy jednak do historii. Doznania i senne marzenia, które zwiastowały mi kres dzieciństwa, nie są tak ważne, żeby je tu opowiadać. Ważny był fakt, że „ciemny świat”, „inny świat” znowu się pojawił. To co było niegdyś Franzem Kromerem, tkwiło obecnie we mnie samym. I wskutek tego ów „inny świat” owładnął mną znowu także i od zewnątrz.

Od czasów historii z Kromerem upłynęło parę lat. Ów dramatyczny i pełen win okres mego życia był wówczas bardzo już daleki ode mnie i wydawało się, iż rozplynął się w nicości jak krótki, choć męczący sen. Franz Kromer od dawna już znikł z mojego życia, ledwo go dostrzegałem, gdym spotkał go przypadkiem. Inna ważna postać mojej tragedii jednak, Maks Demian, nie znikła już nigdy całkowicie z mego otoczenia. Przez długi czas jednak trzymał się on z dala, na uboczu, widoczny, lecz nieagresywny. I dopiero stopniowo jął znowu się przybliżać, promieniować ponownie swoją siłą i wpływem.

Pragnę przypomnieć sobie, co pamiętam o Demianie z tych czasów. Być może, że przez rok lub dłużej nawet nie rozmawiałem z nim ani razu. Unikałem go, on zaś bynajmniej się nie narzucał. Niekiedy tylko, gdy spotkaliśmy się, kiwał mi głową. Wydawało mi się wówczas, że w tej jego uprzejmości kryje się subtelny odcień szyderstwa lub ironicznego wyrzutu, ale może to tylko sobie wyobrażałem. Historia, jaką z nim przeżyłem, i osobliwy wpływ, jaki wówczas na mnie wywarł, wydawały się zapomniane tak przez niego, jak i przeze mnie.

Szukam jego postaci i oto teraz, kiedy go sobie przypominam, widzę, że przecież

istniał i był przeze mnie zauważony. Widzę go, jak idzie do szkoły, sam lub pomiędzy innymi, starszymi uczniami, widzę też, jak kroczy wśród nich obcy, samotny i cichy, niczym daleka gwiazda, otoczony własną aurą, żyjący według własnych praw. Nikt go nie lubił, nikt nie znał go bliżej oprócz własnej jego matki, a z nią zdawał się także przestawać nie jak dziecko, tylko jak dorosły. Nauczyciele dawali mu o ile możliwości spokój, był dobrym uczniem, ale nie starał się przypodobać nikomu, a od czasu do czasu rodziły się pogłoski o jakimś słówku, uwadze czy odpowiedzi, jakie adresował podobno do któregoś z nauczycieli: szorstkiej, wyzywającej albo też ironicznej.

Kiedy zamknę oczy, pamięć podsuwa mi oto pewien obraz. Gdzież to było? Tak, oto pojawia się znowu. Było to na ulicy przed naszym domem. Tam go zobaczyłem któregoś dnia z notatnikiem w ręku. Zauważyłem, że rysuje. Kopiował stary herb z owym ptakiem nad wejściowymi drzwiami naszego domu. A ja stałem przy oknie, ukryty za firanką, i przyglądałem mu się: z głębokim podziwem patrzyłem na jego skupioną, chłodną i jasną twarz zwróconą w kierunku herbu, twarz mężczyzny, badacza lub artysty, pełną rozwagi i silnej woli, tak dziwnie chłodną i jasną, o rozumnych oczach.

I znowu go widzę. Było to nieco później, na ulicy; staliśmy wszyscy, wracający ze szkoły, wokół jakiegoś konia, który padł. Leżał jeszcze, zaprzężony u dyszla chłopskiego wozu, bezradnie i żałośnie parskał przez otwarte chrapy, i krwawił z niewidocznej rany, tak że z jednej jego strony, u boku, biały uliczny pył zaczynał powoli nasiąkać czerwienią. Gdy odwróciłem się od tego widoku, czując że mi się robi słabo, ujrzałem twarz Demiana. Nie przepchał się do przodu, stał najdalej, za wszystkimi, wygodnie, i wyglądał raczej dostojnie, jak zwykle. Spojrzenie jego wydawało się skierowane na łeb tego konia i znów pełne było tego głębokiego, cichego, fanatycznego niemal, a przecież beznamiętnego skupienia. Długo musiałem na niego patrzeć, i wówczas poczułem, daleki jeszcze od uświadomienia sobie tego, coś bardzo osobliwego. Widziałem twarz Demiana i spostrzegłem nie tylko, że jest to twarz mężczyzny, nie chłopca, lecz dostrzegłem w niej coś więcej, a przynajmniej wydawało mi się, że widzę czy też czuję, iż nie jest to tylko twarz mężczyzny, lecz że zawiera ona w sobie jeszcze coś innego. Miałem wrażenie, jakby były w tej twarzy również jakieś cechy kobiece, przez chwilę zaś wydała mi się ona nie męska i nie dziecinna, nie stara ani młoda, lecz w jakiś sposób niemal tysiącletnia, niemal ponadczasowa, nacechowana śladami innych czasów niż te, w których my żyjemy. Zwierzęta potrafią tak wyglądać, albo drzewa, albo gwiazdy — wtedy o tym nie

wiedziałem, nie odczuwałem tego tak dokładnie, co teraz, gdy jako dorosły o tym mówię, lecz jednak czułem coś w tym rodzaju. Może był piękny, może mi się podobał, może też budził wstręt we mnie — to też trudno było określić. Widziałem tylko, że jest inny niż my, że jest jak zwierzę, albo jak duch, albo jak obraz, nie wiem, jaki był, ale był inny, niewyobrażalnie inny od nas wszystkich.

Więcej mi wspomnienia nie mówią, a może i one zaczerpnięte zostały już po części z późniejszych wrażeń.

Dopiero gdy przybyło mi sporo lat, zetknąłem się z nim wreszcie znowu. Demian nie został, jak wymagał tego obyczaj, konfirmowany wraz z resztą młodzieży z jego rocznika w kościele, i na ten temat zaczęły też niebawem krążyć plotki. Opowiadano znowu w szkole, że właściwie jest Żydem, a może poganinem, inni twierdzili, że wraz ze swą matką nie wyznaje żadnej religii, jeszcze inni że należy do legendarnej jakiejś, niedobrej sekty. W związku z tym słyszałem chyba także o podejrzaniach, jakoby żył z własną matką jak z kochanką. Rzecz prawdopodobnie przedstawiała się tak, że po prostu wychowywany był dotychczas bez żadnej religii, lecz ten właśnie fakt kazał lękać się pewnych dla niego nieprzyjemności na przyszłość. W każdym razie matka jego zdecydowała, aby teraz jeszcze, w dwa lata później niż jego rówieśnicy, wziął udział w konfirmacji. I wskutek tego stał się oto na wiele miesięcy moim kolegą podczas nauk konfirmacyjnych.

Przez pewien czas unikałem go zupełnie, żadnej nie chcąc z nim dzielić sprawy, wydawał mi się nazbyt otoczony tajemnicami i pogłoskami, ale przede wszystkim przeszkadzało mi uczucie zobowiązania względem niego, jakie we mnie pozostało od czasu owej afery z Kromerem. Wtedy akurat dość miałem kłopotów z własnymi tajemnicami. Nauki konfirmacyjne przypadły dla mnie na okres zasadniczego uświadomienia w kwestiach płciowych, i mimo całą dobrą wolę zainteresowanie moje pobożnymi tymi wykładami znacznie wskutek tego ucierpiało. Sprawy, o których mówił pastor, były dalekie ode mnie, umieszczone w cichym i świętym wprowadzie, lecz całkiem nierealnym świecie, były może nawet piękne i wartościowe, ale ani aktualne, ani też podniecające, a takie właśnie były owe inne kwestie, i to w najwyższym stopniu.

Im bardziej jednak stan ten czynił mnie obojętnym na naukę, tym bardziej zainteresowania moje zaczynały skupiać się znów wokół Maksa Demiana. Wątek ten powinienem szczególnie skrupulatnie przebadać. O ile mogę sobie przypomnieć, zaczęło się to wszystko o pewnej wczesnej godzinie rankiem, gdy w klasie paliło się

jeszcze światło. Duchowny nasz nauczyciel zaczął opowiadać historię Kaina i Abla. Nie zwracałem niemal na nią uwagi, byłem senny i prawie nie słuchałem. I nagle pastor zaczął podniesionym głosem, dobitnie, mówić o piętnie Kaina. W tej samej chwili poczułem coś w rodzaju dotknięcia czy znaku, i podnosząc oczy, dostrzegłem twarz Demiana, odwróconą ku mnie z pierwszych rzędów ławek, i jedno jego jasne, wymowne oko, którego wyraz oznaczać mógł zarówno szyderstwo, jak i powagę. Patrzył na mnie tylko przez moment, i nagle zacząłem z napięciem słuchać słów pastora, słyszałem, jak mówi o Kainie i jego piętnie i głęboko w sobie czułem przeświadczenie, że wcale nie jest tak, jak on nas uczy, że na całą tę sprawę można też spojrzeć inaczej, że skrytykowanie jej jest możliwe!

W owej minucie znowu nawiązał się kontakt między mną i Demianem. I — dziwne — z chwilą, gdy pojawiło się owo uczucie pewnej duchowej wspólnoty, ujrzałem je jakby w sposób magiczny przeniesione także w przestrzeń. Nie wiedziałem, czy sam zdołał się o to postarać, czy też był to czysty przypadek — wierzyłem wówczas jeszcze mocno w przypadki — lecz po paru dniach Demian zmienił nagle swoje miejsce na lekcjach religii i siedział akurat przede mną (pamiętam jeszcze, z jaką przyjemnością wciągałem w tym nieprzyjemnym powietrzu naszej klasy, przepełnionej uczniami z ubogich domów, świeży i delikatny zapach mydła, wydzielany przez jego szyję!), po kilku następnych dniach zmienił je znowu i siedział oto obok mnie, i na tym miejscu pozostał przez całą zimę i przez całą wiosnę.

Poranne owe lekcje zmieniły się całkowicie. Nie były już senne ani nudne. Cieszyłem się na nie. Niekiedy obaj słuchaliśmy pastora z wyteżoną uwagą, jedno spojrzenie mojego sąsiada wystarczało, aby zasygnalizować mi osobliwą jakąś historię albo niezwykły cytat. Inne zaś znowu jego spojrzenie — określone — wystarczało, żeby mnie zaalarmować, wzbudzić we mnie zwątpienie i krytycyzm.

Bardzo często jednak byliśmy złymi uczniami i wcale nie słuchaliśmy lekcji. Demian był zawsze grzeczny względem nauczycieli i szkolnych kolegów, nigdy nie widziałem, żeby płatał uczniowskie, głupie figle, nikt też nie słyszał, aby śmiał się, czy gadał głośno i nigdy nie ściągał na siebie nagany nauczyciela. Lecz zupełnie cichutko, raczej przy pomocy spojrzeń i znaków, niż szeptanych słów, umiał dopuścić mnie do udziału we własnych zajęciach. A były to po części zajęcia osobliwego rodzaju.

Mówił mi na przykład, jacy uczniowie go interesują, których i w jaki sposób obserwuje. Niektórych znał doskonale. Mówił mi przed lekcją: „Jak dam ci znak kciukiem, to ten a ten na nas się obejrzy, albo podrapie się w kark” i tak dalej. I

podczas lekcji już, często kiedy nie myślałem prawie o tym, Maks nagłym a wyraźnym ruchem dawał mi ów znak kciukiem, ja prędko patrzyłem na danego ucznia i za każdym razem widziałem, że — jakby go kto na drucie pociągał — wykonywał żądany gest. Męczyłem Maksa, żeby spróbował tej samej sztuki także na nauczycielu, lecz nie chciał tego zrobić. Raz jednak, kiedy przyszedłem do szkoły i powiedziałem mu, że wcale nie jestem na dziś przygotowany i z serca pragnę, żeby mnie pastor o nic dzisiaj nie pytał, pomógł mi. Pastor szukał ucznia, który miał wyrecytować fragment katechizmu, i błędne jego spojrzenie już zawisło na mojej skruszonej twarzy. Podszedł ku mnie powoli, wyciągnął palec w moim kierunku, miał już moje nazwisko na ustach — gdy nagle stał się jakiś roztargniony czy niespokojny, zaczął poprawiać sobie kołnierzyk, podszedł do Demiana, który uparcie spoglądał mu prosto w twarz, wydawało się, że chce Maksa o coś zapytać, nieoczekiwanie jednak odwrócił się, pokaszlał przez chwilę, a potem wezwał do odpowiedzi innego ucznia.

Dopiero stopniowo zauważyłem, gdy mnie tak bawiły te żarty, że mój przyjaciel uprawia często i ze mną tę samą grę. Zdarzało się, że idąc do szkoły, nagle doznawałem uczucia, iż Demian kroczy za mną już od dłuższego czasu, a gdy się odwracałem — naprawdę za mną szedł.

— Czy możesz właściwie zrobić tak, żeby inny człowiek musiał myśleć to, co ty chcesz? — pytałem go.

Chętnie udzielił odpowiedzi w sposób rzeczowy i spokojny, po dorosłemu, jak to on.

— Nie — odparł — tego zrobić nie można. Człowiek nie posiada bowiem wolnej woli, choć pastor usiłuje nam to wmówić. Ani ów inny człowiek nie może myśleć, co zechce, ani ja nie mogę zmusić go, by myślał to, co ja zechcę. Można natomiast uważnie obserwować jakiegoś człowieka i potem niejednokrotnie, z dość dużą dozą prawdopodobieństwa, powiedzieć, co myśli on i czuje, a przeważnie też i przewidzieć, co uczyni w następnej chwili. To całkiem proste, tylko ludzie o tym nie wiedzą. Oczywiście rzecz taką trzeba wyćwiczyć. Istnieją na przykład wśród motyli pewnego gatunku ćmy, gdzie samic jest znacznie mniej niż samców. Motyle rozmnażają się zupełnie w ten sam sposób co wszystkie inne zwierzęta, samiec zapładnia samiczkę, a ona z kolei znosi jajka. I jeśli schwytasz ćmę-samiczkę z tego gatunku — przyrodniczy próbowali tego często podczas swych badań — to w nocy przylatywać zaczną do niej samce, i to z odległości wielu godzin drogi! Wielu, wielu godzin, pomyśl tylko! Na odległość wielu kilometrów wyczuwają wszystkie te samczyki jedyną samiczkę, jaka



znalazła się w danej okolicy! Badacze usiłują to wyjaśnić, lecz sprawa nie jest łatwa. Musi polegać chyba na swoistym jakimś zmyśle powonienia, na czymś takim, co mają dobre psy myśliwskie, umiejące odnaleźć niewidzialny trop i iść jego śladem. Rozumiesz? Takie to są sprawy i pełno ich w przyrodzie, a nikt nie umie ich wytłumaczyć. Ale ja powiadam: gdyby wśród tych motyli samiczki występowały równie często jak samce, to niepotrzebne by im było tak wysubtelnione powonienie! Mają je tylko dlatego, że niejako się w tym kierunku nastawiły. Jeśli zwierzę jakieś lub człowiek skieruje całą swoją uwagę i całą wolę na pewną określoną sprawę, z pewnością ów cel osiągnie. I to wszystko. I właśnie tak samo jest z tą historią, o którą ci chodzi. Przypatrz się dokładnie jakiemuś człowiekowi, a będziesz o nim wiedział więcej niż on sam.

Miałem już na końcu języka zwrot o „czytaniu myśli”, chcąc mu w ten sposób przypomnieć tak już odległą w czasie scenę z Kromerem. Ale to też była dziwna jakaś sprawa pomiędzy nami dwoma: nigdy, przenigdy nie pozwalaliśmy sobie — ani on, ani ja — na najlżejszą aluzję na temat tego, że przed wielu laty on w tak decydujący sposób wtrącił się do mojego życia. Zdawać się mogło, że dawniej nic pomiędzy nami nie było, lub że każdy z nas przekonany jest święcie, iż tamten drugi o tym już zapomniał. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, że idąc razem przez ulicę, spotkaliśmy Franza Kromera, lecz nie zamieniliśmy z nim nawet jednego spojrzenia i nie przemówili do niego ani słowa.

— A jakże to jest z tą wolą? — pytałem. — Bo ty twierdzisz, że człowiek nie posiada wolnej woli. Ale potem mówisz znowu, że wystarczy tylko zdecydowanie skierować całą wolę na pewną sprawę i wówczas zdoła się swój cel osiągnąć. Tu przecież coś się nie zgadza! Bo skoro nie jestem panem swej woli, nie jej też według własnego uznania skierować tu czy też tam.

Poklepał mnie po ramieniu. Robił to zawsze, gdy mu sprawiałem radość.

— Dobrze, że pytasz! — powiedział ze śmiechem. — Zawsze należy zadawać pytania, zawsze trzeba wątpić. Ale ta cała sprawa jest całkiem prosta. Gdyby taka ćma chciała na przykład skierować swoją wolę ku jakiejś gwiazdzie lub jeszcze gdzie indziej, nie mogłaby tego uczynić. Tylko że ona w ogóle tego nawet nie próbuje. Szuka jedynie tego, co dla niej ma sens i wartość, czego potrzebuje, co koniecznie osiągnąć musi. I wtedy właśnie udaje się jej ta rzecz niewiarygodna — rozwija jakiś czarodziejski szósty zmysł, jakiego żadne zwierzę oprócz niej nie posiada! My, oczywiście, mamy szerszy zakres działania i więcej zainteresowań niż zwierzę. Lecz i

my także ograniczeni jesteśmy do stosunkowo ciasnego kręgu, poza który wykroczyć nie możemy. Ja, na przykład, mogę pozwalać sobie na takie czy inne fantazje, mogę sobie choćby wyobrazić, że koniecznie pragnę dotrzeć do bieguna północnego, czy coś w tym rodzaju, lecz wykonać i pragnąć w sposób wystarczająco silny mogę tylko tego, czego pragnienie tkwi jedynie we mnie i doprawdy przepelnia całą moją istotę. Z chwilą gdy tak właśnie jest, gdy spróbujesz wykonać coś pod wpływem własnego, wewnętrznego nakazu — uda się to i możesz wówczas zaprząć własną wolę niczym dobrego konia. Gdybym na przykład postanowił sobie teraz, że zechcę sprawić, aby nasz pastor nie nosił już na przyszłość okularów, okaże się to niemożliwe. Bo to tylko igraszka. Ale gdy wtedy, na jesieni całą siłą woli zapragnąłem przesiąść się z tej mojej ławki, tam, na samym froncie, udało się to przecież znakomicie. Okazało się nagle, że jest jakiś kolega, który w porządku alfabetycznym występuje przede mną i dotychczas był chory, a ponieważ ktoś musiał mu ustąpić miejsca, ja oczywiście byłem tym, który to uczynił, ponieważ cała moja wola napięta była właśnie w oczekiwaniu na natychmiastowe wyzyskanie takiej okazji.

— Tak — powiedziałem — ze mną też działy się wtedy dziwne jakieś rzeczy. Od chwili, gdy zainteresowaliśmy się sobą nawzajem, coraz bardziej przesuwałaś się w moim kierunku. Ale jakże się to odbywało? Początkowo nie usiadłeś przecież zaraz koło mnie, tylko najpierw siedziałeś parę razy w ławce przede mną, prawda? Jak się to stało?

— To było tak: sam nie bardzo wiedziałem, gdzie chcę siedzieć, gdy zapragnąłem opuścić to pierwsze moje miejsce. Wiedziałem tylko tyle, że chcę siedzieć gdzieś dalej. Przejawiała się w tym moja wola, żeby się obok ciebie, lecz wówczas jeszcze nie uświadomiłem sobie tego. I dopiero wtedy, gdy siadłem tam przed tobą, pojąłem, że pragnienie moje spełniło się dopiero w połowie — spostrzegłem bowiem, że właściwie nic innego nie chciałem, jak siedzieć obok ciebie.

— Ale żaden nowy wtedy do klasy nie przybył.

— Nie, wtedy po prostu zrobiłem to, co chciałem, i zwyczajnie koło ciebie usiadłem. Chłopak, z którym się zamieniłem na miejsce, był tylko zdziwiony i wcale mi nie przeszkadzał. A pastor spostrzegł raz wprawdzie, że nastąpiła jakaś zmiana w tych miejscach — w ogóle zresztą, ilekroć ma ze mną do czynienia, trapi go coś potajemnie, ponieważ wie, że nazywam się Demian, więc bynajmniej nie jest w porządku, żeby ktoś z moim nazwiskiem na literę „D” siedział tam, całkiem z tyłu, wśród tych na literę „S”! Ale fakt ten nie dociera w pełni do jego świadomości,

ponieważ przeciwstawia mu się moja wola i nieustannie temu przeszkadza. Co i rusz zauważa, że coś tu się nie zgadza i patrzy wtedy na mnie, i zaczyna się zastanawiać ten nasz pocziwina. Ale ja mam na to całkiem prosty sposób. Za każdym razem spoglądam mu wtedy zdecydowanie, bardzo zdecydowanie prosto w oczy. Tego na ogół ludzie znieść nie mogą. Stają się wtedy niespokojni. I jeśli chcesz u kogoś coś osiągnąć, a nieoczekiwanie w tak zdecydowany sposób spojrzysz mu prosto w oczy i on wcale nie stanie się niespokojny, to mu daj spokój! Nic u niego nie wskórasz, nigdy! Ale zdarza się tak bardzo rzadko. Znam właściwie jednego tylko człowieka, u którego ten sposób mi nie pomaga.

— A kto to? — zapytałem szybko.

Spojrzał na mnie swymi jakby nieco zmniejszonymi oczami, które stawały się takie właśnie, gdy się zamyślał. A potem odwrócił wzrok i nie odpowiedział nic, a ja, mimo palącej ciekawości, nie mogłem już powtórzyć tego pytania.

Wydaje mi się jednak, że mówił wtedy o swojej matce. Zdawał się utrzymywać z nią bliski, serdeczny kontakt, ale ze mną nigdy o niej nie rozmawiał, nigdy też nie zabierał mnie do swego domu. Ledwo wiedziałem, jak ta jego matka wygląda.

Niekiedy podejmowałem wówczas próby postępowania tak samo jak on i skoncentrowania własnej woli na jakimś celu tak, abym musiał go osiągnąć. Żyły bowiem we mnie pragnienia, których spełnienie wydawało mi się pilne. Lecz nic z tego nie wychodziło. A nie mogłem się przemóc, aby pomówić o tym z Demianem. Nie mógłbym mu wyznać, czego pragnąłem. On zresztą o nic nie pytał.

Wiara moja w kwestiach religijnych zaczęła tymczasem wykazywać różne luki. Lecz w moim sposobie myślenia, pozostającym pod całkowitym wpływem Demiana, bardzo różniłem się od tych moich szkolnych kolegów, którzy szczycili się niewiarą absolutną. Było ich kilku; niekiedy też mówili na ten temat wywodząc, jakie to śmieszne i niegodne człowieka wierzyć w jakiegoś Boga, a te historie o Trójcy świętej i niepokalanym poczęciu Jezusa są wprost śmiechu warte, i w ogóle to wstyd i hańba, że dziś jeszcze nadal wmawia się ludziom takie brednie. Ja wcale tak nie myślałem. I mimo wszystkie wątpliwości, wiedziałem z doświadczeń całego mojego dzieciństwa dosyć o realnym istnieniu życia pobożnego, takiego na przykład jakie wiedli moi rodzice, wiedziałem też, że nie jest ono ani niegodne, ani obłudne. Żywiłem raczej — tak dawniej, jak i teraz — względem wszelkich spraw religijnych najgłębszy szacunek.

Demian przyzwyczał mi tylko do tego, aby na owe przypowieści i zasady wiary patrzeć swobodniej, w sposób bardziej osobisty, rozigrany i pełen fantazji, i tak też je sobie tłumaczyć, a przynajmniej zawsze chętnie i z przyjemnością przyjmowałem te objaśnienia, które on mi poddawał. Wiele spraw zresztą szokowało mnie, choćby historia z Kainem. A raz podczas nauk confirmacyjnych przeraził mnie pewnym, chyba bardziej jeszcze śmiałym, poglądem. Nauczyciel mówił o Golgocie. Biblijna relacja o męce i śmierci Zbawiciela robiła na mnie od najwcześniejszych lat głębokie wrażenie i czasami, jeszcze jako mały chłopiec, przenosiłem się — na przykład w Wielki Piątek, gdy ojciec głośno odczytywał dzieje owych cierpień — wzruszony i przejęty w ów smutny i piękny, widmowo blady, a przecież tak niezwykle żywy świat, do Getsemani i na Golgotę, a gdy słuchałem *Pasji według świętego Mateusza* Bacha, mroczny a potężny blask tych cierpień i całego tego tajemniczego świata przenikał mnie mistycznymi dreszczami. Dziś jeszcze odnajduję w tej muzyce i w *Actus tragicus* najpełniejszą treść wszelkiej poezji i wszelkiego artystycznego wyrazu.

I oto Demian rzekł pod koniec owej lekcji do mnie, pełen zadumy:

— Jest w tym coś, Sinclairze, co mi się nie podoba. Przeczytaj sobie raz jeszcze tę historię, posmakuj ją językiem: coś przydaje jej mdłego zabarwienia. A mianowicie ta sprawa z obu łotrami. Wspaniała to rzecz, gdy tak trzy owe krzyże stoją obok siebie na wzgórzu! Ale oto mamy już zaraz ową sentymentalno-moralizatorską historię o dobrym łotrze! Najpierw był zbrodniarzem i popełniał Bóg wie ile haniebnych czynów, a teraz oto topnieje nagle jak śnieg i odprawia płaksiwę jakieś manifestacje skruchy i przyrzeczenia poprawy! Cóż za sens ma taka skrucha na pół minuty przed śmiercią, proszę ja ciebie? To znowu nic innego, jak tylko jeszcze jedna istic klesza opowiastka, cikliwa i zafalszowana, ociekająca wzruszeniem i umieszczona na niezwykle budującym tle. Gdybyś tak musiał dziś jednego z tych dwóch łotrów wybrać na swego przyjaciela, lub zastanowić się, któremu z nich obu mógłbyś jeszcze zaufać, to z całą pewnością nie wybrałbyś tego nawróconego płaksy. Nie, tamten drugi, to chłop jak się patrzy i z charakterem. Gwiżdże sobie na nawrócenie, które w jego sytuacji może już przecież polegać tylko na przymilnej gadaninie, idzie do końca swoją drogą i w ostatniej chwili bynajmniej nie wyrzeka się tchórzliwie diabła, który dotychczas zawsze musiał go wspomagać. Ma charakter, a w tych biblijnych historiach ludzie z charakterem często bywają pokrzywdzeni. A może i on jest jakimś potomkiem Kaina. Jak sądzisz?

Byłem niesłychanie zaskoczony. Wydawało mi się bowiem, że historię

ukrzyżowania znam doskonale i dopiero teraz spostrzegłem, z jak małą dozą fantazji i wyobraźni, jak bardzo nieosobiście słuchałem jej lub ją czytałem. A mimo to nowa myśl Demiana wydała mi się niebezpieczna i groziła obaleniem we mnie pojęć, których trwania — jak sądziłem — powinienem był bronić. Nie, nie, w ten sposób nie można przecież traktować wszystkiego i wszystkich, nawet tych spraw najświętszych.

Demian zauważył mój opór, jak zawsze, natychmiast, jeszcze zanim powiedziałem choć słowo.

— Wiem już — oznajmił z rezygnacją — to zawsze ta stara historia. Byłe tylko nie traktować nic serio! Ale chcę ci coś powiedzieć: tu właśnie jest jeden z owych punktów, w których bardzo wyraźnie dostrzec można braki tej religii. Chodzi o to, że cały ten Bóg, starego jak i nowego przymierza, jest wprawdzie postacią znakomitą, lecz wcale nie tym, co w istocie powinien wyobrażać. Jest bowiem dobrem, szlachetnością, ojcowską opieką, pięknem, a także wszystkim, co szczytne i sentymentalne — owszem! Ale świat składa się także z innych rzeczy. A wszystkie inne zostają po prostu przypisane diabłu i cała ta część świata, cała ta połowa jest starannie kamuflowana i przemilczana. Akurat w ten sam sposób, w jaki sławią oni Boga jako ojca wszelkiego życia, ale całe życie płciowe, na którym przecież opiera się życie w ogóle, po prostu przemilczają, bądź też uważają je za diabelską pokusę i grzech! Nic nie mam przeciwko temu, aby cześć oddawano temu Bogu Jehowie, bynajmniej. Lecz sądzę, że powinniśmy czcić i za święte uważać wszystko, cały świat, a nie tylko tę sztucznie oddzieloną, oficjalną połowę! A więc obok nabożeństw na cześć Boga powinniśmy mieć też obrzędy na cześć szatana. To dopiero uważałbym za słuszne. Albo należało by wymyślić sobie takiego Boga, który zawierałby w sobie także i diabła i przed którym nie trzeba by było zamykać oczu w chwilach, gdy dzieją się rzeczy najbardziej na świecie naturalne.

Wbrew zwykłemu swojemu sposobowi bycia stał się nieomal gwałtowny, lecz zaraz potem znowu się uśmiechnął i dalej nie usiłował mnie już przekonywać.

We mnie jednak słowa te dotknęły zagadki całych moich chłopięcych lat, którą przez cały czas obnosiłem w sobie i o której nikomu nie powiedziałem nigdy ani słowa. To co Demian tu mówił na temat Boga i szatana, na temat boskiego — oficjalnego i przemilczanego a diabelskiego świata, to były dokładnie własne moje myśli, własny mój mit, idea tych dwóch światów, czy też połówek świata — jasnej i ciemnej. Świadomość, że mój problem jest problemem wszystkich ludzi, problemem wszelkiego życia i wszelkiej myśli, przeniknęła mnie niczym święty jakiś cień, a lęk i

szacunek przejęły mnie, gdy zrozumiałem i poczułem nagle, jak głęboko moje własne, najbardziej osobiste życie, a także życie mych bliskich łączy się z odwiecznym strumieniem wielkich idei. Nie była to świadomość radosna, choć w pewien sposób utwierdzała mnie i uszczęśliwiała. Twarda była raczej i szorstka, ponieważ pobrzmiewał w niej jakiś ton odpowiedzialności, kresu dzieciństwa i osamotnienia.

Opowiedziałem memu przyjacielowi, po raz pierwszy w życiu odsłaniając tak głęboko skrywaną tajemnicę, o mojej, od najwcześniejszego dzieciństwa istniejącej, idei „dwóch światów”, on zaś pojął natychmiast, że dzięki temu w samej głębi duszy zgadzałem się z nim i przyznawałem mu rację. Nie był jednak człowiekiem, który by taką sytuację chciał wykorzystać. Słuchał mnie z uwagą większą niż ta, jaką darzył mnie dotąd kiedykolwiek, i patrzył mi w oczy tak długo, aż musiałem wzrok odwrócić. Bo w spojrzeniu jego znowu dostrzegłem tę dziwną, istic zwierzęcą ponadczasowość, tę niewyobrażalną wręcz odwieczność.

— Innym razem pomówimy jeszcze o tym — powiedział łagodnie. — Widzę, że myślisz więcej, niż potrafisz powiedzieć. Jeśli jednak tak jest, to wiesz także, że nigdy w pełni nie przeżyłeś wszystkiego, co pomyślałeś, a to niedobrze. Wartość posiada bowiem tylko takie myślenie, które przeżywamy. A ty wiedziałeś, że twój „dozwolony świat” był jedynie połową świata i usiłowałeś zakamufłować tę drugą połowę przed samym sobą, tak, jak to robią księża i nauczyciele. To ci się nie uda! Nie udaje się bowiem nikomu, z chwilą gdy zaczął już myśleć.

Głęboko mną to wstrząsnęło.

— Ależ — krzyknąłem niemal — istnieją też przecież rzeczy naprawdę wzbronione i wstrętne, temu chyba nie zaprzeczysz! I takich rzeczy po prostu robić nie wolno, zabroniono je robić i tyle i musimy z nich zrezygnować. Wiem przecież, że istnieją morderstwa i najrozmaitsze inne występki, ale czyż dlatego tylko, że one istnieją, mam ruszać w świat i sam stać się zbrodniarzem?

— Dziś się z tą sprawą nie uporamy — łagodził Maks. — Z pewnością nie powinienes nikogo zabijać, ani gwałcić i mordować dziewcząt, nie. Ale jeszcze nie doszedłeś do punktu, z którego dostrzec można, co właściwie oznaczają pojęcia „dozwolone” i „zabronione”. Przeczuleś dopiero część prawdy. A reszta też do ciebie dojdzie, wierz mi! Odczuwasz na przykład teraz w sobie, od roku już mniej więcej, popęd silniejszy od wszystkich innych, a uważasz go za „zabroniony”. Grecy zaś i wiele innych narodów uczynili przeciwnie, uznając ów popęd za boga i cześć mu oddając podczas wielkich uroczystości. A zatem to co „zabronione” nie jest wcale wieczne i

bywa zmienne. Obecnie przecież każdy człowiek może spać z kobietą, z chwilą kiedy wraz z nią zgłosił się do księdza i kiedy ją poślubił. U innych narodów natomiast sprawy te jeszcze dzisiaj przedstawiają się inaczej. Dlatego też każdy z nas musi sam dla siebie dochodzić, co dozwolone, a co zabronione — dla niego zabronione. Można nigdy nie uczynić nic zabronionego i być przy tym arcyłotrem. I odwrotnie także. Właściwie to tylko kwestia wygody! Kto za wygodny, żeby sam myśleć i sam sobie być sędzią, poddaje się po prostu zakazom takim, jakie istnieją, i łatwo mu żyć. Lecz inni sami czują w sobie przykazania i dla nich zabronione są rzeczy, które każdy człowiek honoru czyni codziennie, natomiast dozwolone są dla nich rzeczy na ogół potępiane. Każdy musi odpowiadać za siebie.

Nagle wydawało się, iż żałuje, że powiedział tak wiele, i urwał. Już wtedy potrafiłem uczuciowo po trochu pojąć, co w takich razach odczuwał. Chociaż bowiem zwykłem tak lekko i pozornie niedbale mówić o swoich myślach, nie cierpiał jednak rozmowy „tylko dla gadania”, jak niegdyś się wyraził. U mnie wyczuwał natomiast obok prawdziwego zainteresowania nadmiar zabawy, nadmiar radości z tej niby-uczonej paplaniny, czy coś w tym rodzaju, słowem: brak absolutnej powagi.

Gdy odczytuję ostatnie z napisanych słów: „absolutna powaga” — przypomina mi się inna scena, najbardziej pamiętna z tych, jakie przeżyłem z Maksem Demianem w tych współczesnych jeszcze czasach.

Konfirmacja nasza zbliżała się i ostatnie godziny nauk poświęcone zostały kwestii komunii. Pastorowi bardzo na tym zależało i wiele wysiłku wkładał w owe lekcje, w których istotnie odczuć można było pewien nastrój uroczystego skupienia. Lecz właśnie w ciągu tych kilku ostatnich godzin lekcyjnych myśli moje związane były z innymi sprawami, mianowicie z osobą mego przyjaciela. Z chwilą bowiem, gdy oczekiwałem tej konfirmacji, która, jak nam wyjaśniono, była uroczystym aktem przyjęcia nas do kościelnej społeczności, nieodparcie nasuwała mi się myśl, że dla mnie wartość tych prawie pół roku już trwających nauk religijnych nie polega na tym, czegośmy się tu nauczyli, lecz na bliskości i wpływie Demiana. I bynajmniej nie byłem gotów zostać teraz przyjęty do społeczności kościelnej, lecz do czegoś całkiem innego: do jakiegoś zakonu myśli i indywidualności, który gdzieś przecież musiał istnieć na ziemi, a za przedstawiciela czy wysłannika takiego zakonu uważałem mego przyjaciela.

Usiłowałem odepchnąć tę myśl, poważnie bowiem pragnąłem, mimo wszystko, przeżyć samą uroczystość konfirmacji w cokolwiek podniosłym nastroju, a wydawało

mi się trudne pogodzić go z tymi moimi nowymi myślami. Lecz choć starałem się, jak mogłem, myśl ta nadal istniała uparcie i stopniowo ją łączyć się z myślą o bliskiej już uroczystości kościelnej; gotów byłem przeżyć ową uroczystość inaczej niż moi koledzy, miała ona dla mnie oznaczać przyjęcie do świata myśli, takich, jakie poznałem u Demiana.

I w tych dniach właśnie, tuż przed jedną z lekcji, znowu żywą z nim stoczyłem dysputę. Przyjaciel mój był pełen rezerwy i jakoś się nie cieszył moimi wywodami, które zapewne były przemądrzałe i pyszałkowane.

— Mówimy zbyt wiele — powiedział z niezwykłą powagą. — I mądre te wywody nie mają żadnej, absolutnie żadnej wartości. Oddaliśmy się jedynie od samych siebie. A oddalać się od samego siebie — to grzech. Człowiek powinien umieć skryć się całkowicie w samym sobie, jak żółw. Zaraz potem weszliśmy do klasy. Rozpoczęła się lekcja, ja starałem się uważać, a Demian mi w tym nie przeszkadzał. Po chwili jednak jałem wyczuwać od strony tej, gdzie on siedział przy mnie, coś osobliwego: jakby pustkę, chłód, czy coś w tym rodzaju, jakby miejsce to nagle opustoszało. I gdy uczucie to zaczęło mi doskwierać, obejrzałem się.

Ujrzałem mojego przyjaciela siedzącego spokojnie i prosto, jak zawsze. Lecz jednak wyglądał całkiem inaczej niż zwykle i promieniowało z niego, otaczało go coś, czego nie znałem. Wydawało mi się, że zamknął oczy, lecz zobaczyłem, że je ma otwarte. Nie patrzyły one jednak, nie były widzące, pozostawały nieruchome i zwrócone do wnętrza, czy też ku niezmiernej jakiejś dali. Siedział całkowicie nieruchomo, zdawał się też nie oddychać, usta jego wydawały się wyrzeźbione z drewna albo kamienia. Twarz jego była blada, równomiernie blada jak kamień, kasztanowe włosy wydawały się w nim całym najbardziej żywe. Ręce leżały przed nim na ławce pozbawione życia, bez ruchu, jak przedmioty, jak kamienie lub owoce, blade i nieruchome, nie zwiotczałe przecież, tylko przypominające mocne i solidne osłony ukrytego w nich, silnego życia.

Widok ten sprawił, że zadrzałem. On umarł! pomyślałem i omal nie powiedziałem tego głośno. Wiedziałem jednak, że nie umarł. Przywarłem, jak urzeczony, spojrzeniem do jego twarzy, do tej bladej, kamiennej maski, i czułem: to jest Demian! Bo taki, jaki był zazwyczaj, gdy ze mną chodził i rozmawiał, to był jedynie Demian połowiczny, tymczasowo grający pewną rolę, zniżający się ku niej, uczestniczący w niej z uprzejmości. A prawdziwy Demian wyglądał tak właśnie jak ten, był taki kamienny, prastary, zwierzęcy, skamieniały, piękny i zimny, martwy a potajemnie pe-



len niebywałego życia. I wokół niego ta cisza, pustka, przestwór, gwiazdne przestrzenie, samotna śmierć!

Teraz oto całkowicie ukrył się w samym sobie — wyczułem, wzdrygając się, i nigdy nie doznałem dotąd uczucia takiej samotności jak w tej chwili. Nie miałem z nim już nic wspólnego, był dla mnie nieosiągalny, bardziej odległy, niż gdyby znajdował się na najodleglejszej w świecie wyspie.

Z trudem zdołałem zrozumieć, że nikt nie widzi tego prócz mnie! Wszyscy powinni tu patrzeć, wszyscy powinni się wzdrygnąć! Lecz nikt na niego nie zważał. Siedział nieporuszony jak pomnik, jak bożek — przyszło mi na myśl — sztywny, mucha usiadła mu na czole, wędrowała powoli po jego nosie i wargach, nawet nie drgnął.

Gdzież, gdzie był teraz? Co myślał, co czuł? Czy znajdował się w niebie jakim, czy w piekle?

Niepodobieństwem było dla mnie zapytać go o to. Gdy bowiem pod koniec lekcji zobaczyłem, że znowu żyje i oddycha, gdy spojrzenie jego spotkało się z moim, był taki sam jak dawniej. Skąd wracał? Gdzie przebywał? Wydawał się zmęczony. Twarz jego nabrała znów koloru, ręce poruszały się, ale kasztanowe włosy pozbawione były połysku i jakby znużone.

W ciągu następnych dni oddawałem się w mej sypialni kilkakrotnie nowemu ćwiczeniu: siadałem sztywno wyprostowany na krześle, nieporuszenie wpatrując się w jeden punkt, absolutnie nieruchomo, i czekałem, jak długo zdołam to wytrzymać i czego przy tym doznam. Lecz czułem się tylko zmęczony i doznawałem gwałtownego swędzenia powiek.

Wkrótce potem odbyła się konfirmacja, z której nie pozostały mi żadne godne uwagi wspomnienia.

Wszystko się odtąd zmieniło. Dzieciństwo rozpadło się wokół mnie w gruzy, bezpowrotnie. Rodzice spoglądali na mnie z niejakim zmieszaniem. Siostry stały mi się całkiem obce. Uczucie osobliwej trzeźwości wypaczało mi i osłabiało dotychczasowe radości i doznania, ogród wydawał się pozbawiony woni, las mnie nie nęcił, świat cały otaczał mnie niczym sterty przeznaczonych na wyprzedaż starzyzny, książki zamieniły się w papier, a muzyka była jedynie hałasem. Tak wokół drzewa, jesienią, spadają liście, a ono tego nie czuje, deszcz spływa po nim, lub słońce, albo mróz, a życie w owym drzewie wycofuje się powoli w najciaśniejsze i najtajniejsze jego zakamarki. I drzewo nie umiera. Czeka.

Zapadła decyzja, że po wakacjach będę w innej szkole i po raz pierwszy wyjadę z domu. Matka podchodziła do mnie niekiedy ze szczególną czułością, żegnając mnie już naprzód i usiłując wszczepić do mego serca uczucia miłości, pamięci i tęsknoty. Demian wyjechał. Byłem sam.

***Beatrice***

Nie spotkawszy się już ponownie z moim przyjacielem, wyjechałem pod koniec wakacji do St. Rodzice mi towarzyszyli i z wszelką starannością powierzyli mnie opiece pensji dla chłopców u pewnego nauczyciela gimnazjum. Zamarliby z przerażenia, gdyby dowiedzieli się, na jakie to rzeczy narazili mnie z tą właśnie chwilą.

Nie rozstrzygnięta pozostawała nadal jeszcze kwestia, czy z czasem wyrośnie ze mnie dobry syn i użyteczny obywatel, czy też natura moja na inne mnie pociągnie drogi. Ostatnia podjęta przeze mnie próba, aby w cieniu rodzinnego domu znaleźć szczęście, trwała długo, przez pewien czas zdawała się nawet zapowiadać sukces, lecz w końcu przecież zawiodła całkowicie.

Osobliwe uczucie pustki i osamotnienia, które po raz pierwszy poczułem podczas wakacji po mojej konfirmacji (jakże doskonale poznałem ją później jeszcze, tę pustkę, to rozrzedzone powietrze!), nie minęło zbyt szybko. Pożegnanie rodzinnych stron przyszło mi z dziwną łatwością, właściwie wstydziłem się, że nie dość byłem smutny, siostry płakały bez powodu, ja tego nie potrafiłem. Zdumiewałem się nad samym sobą. Zawsze byłem dzieckiem uczuciowym i w istocie dobrym. A teraz zmieniłem się całkowicie. Zachowywałem się absolutnie obojętnie względem świata zewnętrznego i całymi dniami zajęty byłem jedynie wsłuchiowaniem się w samego siebie i wychwytywaniem szumu owych strumieni, zakazanych i mrocznych strumieni, które — we mnie ukryte — szumiały. Urosłem niesłychanie szybko dopiero podczas ostatniego półrocza i taki właśnie — tykowany, wychudzony, a niegotowy, rozglądałem się po świecie. Wdzięk chłopięcy zanikł we mnie całkiem, sam czułem, że takim oto nikt kochać mnie nie może, siebie też zresztą wcale nie kochałem. Za Maksdem Demianem odczuwałem często wielką tęsknotę, ale nierzadko także nienawidziłem również i jego, obciążając go winą za zubożenie mojego życia, które przyjmowałem na siebie jak brzydką jakąś chorobę.

Na szkolnej naszej pensji początkowo ani mnie lubiono, ani szanowano, dokuczano mi najpierw trochę, potem zaś odwrócono się ode mnie, uważając mnie za hipokrytę i nieprzyjemnego dziwaka. Spodobałem się sobie w tej roli, nawet jeszcze w niej przesadzałem, z uporem zagrzebując się w samotności, która od strony

zewnątrznej przedstawiała mi się zawsze jako na wskroś męska pogarda dla świata, podczas gdy sam często ulegałem gwałtownym atakom rozżalenia i rozpacz. W szkole mogłem wykorzystywać wiadomości przyswojone jeszcze w domu, klasa była bowiem nieco zapóźniona w stosunku do mojej dawniejszej, tak iż przywykłem traktować mych rówieśników po trochu wzgardliwie, jako dzieci.

Trwało to wszystko rok, a może i dłużej, i nawet pierwsze wyjazdy na ferie do domu nie przynosiły nic nowego; chętnie też znowu dom opuszczałem.

Wydarzyło się to z początkiem listopada. Przyzwyczailem się przy każdej pogodzie odbywać niewielkie spacer, pogrążony w rozmyślaniach, które często napełniały mnie niemal rozkoszą, rozkoszą przesyconą melancholią, pogardą dla świata i dla samego siebie. I tak właśnie wałęsałem się pewnego wieczoru w mglistym, wilgotnym zmierzchu przez okolice miasta: szeroka aleja publicznego parku była zupełnie pusta i zachęcała mnie do wędrówki, grubo zasypana opadłymi liśćmi, które rozgrzebywałem nogami z niezwykłą przyjemnością; wokół unosił się zapach gorzkiej wilgoci, a dalekie drzewa rysowały się we mgle niewyraźnie, upiornie wielkie.

Na końcu alei przystanęłam niezdecydowany, wpatrując się w poczerńiałe liście i chciwie chłonąc wilgotną woń rozkładu i obumierania, którą coś we mnie witało z pełną aprobatą. O, jakże mdły smak miało życie!

Z bocznej jakiejś dróżki nadchodził w rozwianym płaszczu z podniesionym kołnierzem jakiś człowiek. Chciałem iść dalej, lecz on zawołał do mnie:

— Hallo, Sinclair!

Podszedł bliżej: był to Alfons Beck, najstarszy w naszym pensjonacie. Zawsze go lubiłem i nie miałem żadnych względem niego zastrzeżeń, prócz tego tylko, że wobec mnie i wszystkich innych chłopców stale zachowywał się ironicznie, traktując nas jak dobry wujaszek. Uchodził za osiłka, miał ponoć pod pantoflem nawet kierownika naszego pensjonatu i był bohaterem licznych opowieści, krążących po gimnazjum.

— A cóż ty tu robisz! — wykrzyknął jowialnie tym tonem, jakim przemawiali starsi, ilekroć zdarzało im się przypadkiem zniżyc do któregoś z nas. — No, gotów jestem założyć się, że układasz wiersze!

— Ani myślę — zaprotestowałem szorstko.

Roześmiał się, zaczął iść obok mnie i gawędzić w sposób, od jakiego dawno już odwykłem.

— Nie bój się, Sinclair, nie myśl, że ja takich rzeczy nie rozumiem. Jest coś w tym, kiedy człowiek tak sobie chodzi wieczorem we mgle, pełen jesiennych myśli, chętnie się wtedy układa wiersze, wiem, wiem. O tym umieraniu przyrody, oczywiście, i o utraconej, a podobnej do niej, młodości. Vi de Henryk Heine.

— Wcale nie jestem taki sentymentalny — broniłem się.

— No, dobra! Ale wydaje mi się, że przy tej pogodzie nieźle bywa, gdy człowiek poszuka sobie cichego jakiegoś kąta, gdzie znajdzie kieliszek wina albo coś w tym guście. Pójdiesz na chwilkę ze mną? Bo akurat jestem zupełnie sam. A może nie chcesz? Bo nie mam ochoty odgrywać roli twego uwodziciela, mój kochany, jeżeli jesteś wzorowym chłopcem.

Wkrótce potem siedzieliśmy w małej knajpce na przedmieściu, pili wino wątpliwej raczej jakości i trącali się grubymi kieliszkami. Początkowo niezbyt mi się to podobało, lecz w każdym razie stanowiło pewną nowość. Niebawem jednak, nienawykły do wina, stałem się niezmiernie rozmowny. Czułem się tak, jakby nagle otwarto we mnie na ścieżaj jakieś okno, przez które zaglądał oto świat — jakże dawno, jak strasznie dawno nie rozgadałem się już tak z całej duszy! Zacząłem fantazjować i wśród wszystkich tych wywodów opowiedziałem też nagle całą historię z Kainem i Ablem!

Beck słuchał mnie z przyjemnością — nareszcie ktoś, komu ja mogłem coś dać! Klepał mnie po ramieniu, nazwał szatańskim chłopem, a we mnie aż serce z radości rosło, że oto mogę puścić wodze nagromadzonej od tak dawna potrzebie mówienia i udzielania się, że takim darzą mnie uznaniem, że tyle znaczę w oczach starszego kolegi. Gdy nazwał mnie genialnym bydlakiem, słowo to upoiło moją duszę niczym słodkie i mocne wino. Świat zamigotał nowymi barwami, myśli napływać zaczęły ku mnie ze stu nowych, jakże śmiałych źródeł, zapłonąłem dowcipem i ogniem. Rozmawialiśmy o nauczycielach, o kolegach, i wydawało mi się, że świetnie się rozumiemy. Rozmawialiśmy też o Grekach i dawnych, pogańskich czasach, i Beck koniecznie usiłował mnie nakłonić do zwierzeń na temat przygód miłosnych. Lecz tu nie mogłem dotrzymać mu kroku. Nie przeżyłem nic, nic co można by opowiedzieć. A wszystko to, co czułem, konstruowałem i tworzyłem we własnej fantazji, tkwiło wprawdzie i płonęło we mnie, lecz nawet pod wpływem wina nie wyzwoliło się i nie dawało przekazać. Beck wiedział znacznie więcej o dziewczynach, a ja, płonąc, słuchałem owych bajd. Dowiadywałem się oto niewiarygodnych historii, coś, czego nigdy nie uważałem za rzecz możliwą, zamieniało się w pospolitą rzeczywistość i wydawało

całkiem naturalne. Alfons Beck, mając lat chyba z osiemnaście, nazbierał już doświadczeń. Między innymi i te, że z dziewczynami niełatwa bywa sprawa, bo domagają się one nieustannych umizgów i grzeczności, co, owszem, całkiem przyjemne, lecz przecież nieistotne. Prawdziwych natomiast sukcesów spodziewać się należy raczej u kobiet. Kobiety są znacznie mądrzejsze. Na przykład taka pani Jaggelt, która ma ów sklepik ze szkolnymi zeszytami i ołówkami, z nią można dojść do ładu, a co się już działo za ladą tego jej sklepiku — opisać trudno nawet w powieści.

Siedziałem niesłuchanie przejęty i oszołomiony. Wprawdzie pani Jaggelt nie mógłbym chyba pokochać, lecz mimo wszystko było to niesamowite. Okazało się, że istnieją oto źródła — przynajmniej dla starszych chłopców — o których sam nigdy nawet nie marzyłem. Nieco fałszu pobrzmiwało także w tych relacjach, a wszystko razem miało posmak bardziej pospolity i powszedni niż, moim zdaniem, mieć powinna miłość, lecz mimo wszystko była to rzeczywistość, prawdziwe życie, prawdziwa przygoda, i siedział obok mnie ktoś, kto sam to przeżył i któremu wydawało się to naturalne.

Poziom tych rozmów naszych obniżył się nieco, utracił coś ze swej wartości. Ja także nie byłem już nadal owym genialnym malcem, tylko po prostu chłopcem słuchającym słów mężczyzny. Ale i wtedy jeszcze — w porównaniu z tym, co od wielu, wielu miesięcy było moim życiem, wydawało mi się to wspaniałe, nieomal rajskie. A ponadto dopiero teraz stopniowo zacząłem wyczuwać, że było to wszystko także zakazane, ze wszech miar zakazane, począwszy od siedzenia w owej knajpie, aż po tematy naszych rozmów. Ja w każdym razie czułem w tym posmak duchowych wzlotów, posmak rewolucji.

Noc tę przypominam sobie niesłuchanie wyraźnie. Gdy obaj wyruszyliśmy wreszcie późno do domu, mijając mętnie świecące, gazowe latarnie, wśród chłodnej i wilgotnej nocy, byłem po raz pierwszy w życiu pijany. Nie było to wcale piękne, było niezmiernie przykre, a jednak miało też w sobie jakiś urok, jakąś słodycz, było buntem i orgią, życiem i duchem. Beck opiekował się mną dzielnie, choć gorzko skarżył się, iż taki ze mnie nieopierzony jeszcze nowicjusz i, wpół niosąc, dowłókł mnie wreszcie do domu, gdzie udało mu się przemycić nas obu przez otwarte w korytarzu okno.

Wraz z otrzeźwieniem jednak, gdy po krótkim, drętym śnie przebudziłem się w bólach, ogarnął mnie niezmierny smutek. Siedziałem w łóżku, mając jeszcze na sobie dzienną koszulę, reszta mego ubrania i buty leżały rozrzucone na podłodze, wydając zapach tytoniu i wymiotów, i pośród bólów głowy, nudności oraz straszliwie

dręczącego mnie pragnienia pojawił się w duszy mojej obraz, jakiego dawno już nie oglądałem. Ujrzałem rodzinne strony, swój dom, ojca i matkę, siostry i ogród, zobaczyłem cichą i miłą moją sypialnię, ujrzałem szkołę i rynek, ujrzałem Demiana i lekcje religii przed konfirmacją — a wszystko to było jasne, otoczone blaskiem, cudowne, boskie i czyste, i wszystko, wszystko to — teraz dopiero o tym wiedziałem — wczoraj jeszcze, kilka godzin temu jeszcze do mnie należało, na mnie czekało, a teraz, dopiero teraz, w tej chwili, zapadło już, zostało wyklęte, przestało do mnie już należeć, odpychało mnie i spoglądało na mnie ze wstrętem! Wszystko co drogie i bliskie, wszystko, czegokolwiek od najdawniejszych, złocistych ogrodów dzieciństwa zaznałem od moich rodziców, każdy pocałunek matki, każda Gwiazdka, każda pełna pobożności i światła niedziela w naszym domu, każdy kwiat w ogrodzie — wszystko zostało spustoszone, wszystko zdeptałem własnymi nogami! Gdyby teraz pojawili się siepacze, związali mnie i jako wyrzutka, jako tego, który zbezczeszczył świątynię, powiedli na szubienicę, pogodziłbym się z tym i poszedł chętnie, i uznał to za rzecz sprawiedliwą i słuszną.

Tak więc przedstawiało się moje wnętrze! Ja to byłem, ja, który chodziłem przecież pełen wzdrygi dla świata! Ja, tak dumny ze swego umysłu i współuczestniczący w myślach Demiana! Tak właśnie wyglądałem, byłem wyrzutkiem i pospolitą świnia, pijakiem i brudasem, obrzydliwym i podłym, dziką bestią, ulegającą ohydny popęd! Tak właśnie wyglądałem, ja, który przyszedłem przecież z owych ogrodów, gdzie wszystko było czyste, pełne blasku i łagodnego wdzięku, ja, który lubowałem się w muzyce Bacha i pięknych wierszach! Ze wstrętem i oburzeniem słyszałem jeszcze swój własny śmiech, pijacki, nieopanowany, urywany, głupi śmiech. Ja to byłem!

Lecz, mimo wszystko, znoszenie tych męczarni stanowiło też niemal rozkosz. Tak długo pełzałem ślepy i ogłupiały, tak długo serce moje zubożałe i nieme kryło się w jakimś kącie, że nawet te okropności, wszystkie te ohydy dusza moja powitała z radością. Bo jednak były to jakieś uczucia, wystrzelały oto płomienie, poruszało się w nich serce! Pełen zmieszania odczuwałem w całej tej nędzy mojej jak gdyby tchnienie wyzwolenia i wiosny.

Od strony zewnętrznej zacząłem jednak staczać się coraz niżej. Pierwszy ów wypadek pijaństwa niebawem nie był już pierwszy. W szkole naszej gęsto popijano, a błaznowano też niemało, ja należałem do najmłodszych, którzy w tym wszystkim uczestniczyli, a wkrótce nie należałem już bynajmniej do malców, tolerowanych

jedynie, lecz stałem się gwiazdą i prowodyrem, słynnym z niezwykle śmiałych wyczynów gościem przeróżnych knajp. Należałem znów oto całkowicie do tego mrocznego świata, do szatana, a w świecie tym uchodziłem za chłopca na schwał.

Czułem się przy tym jednak strasznie podle. Żyłem w jakimś autodestruktywnym, orgiastycznym uniesieniu, i podczas gdy koledzy uważali mnie za przywódcę i szatańskiego faceta, obdarzonego cholernym wzięciem i dowcipem, w głębi mnie samego trzepotała dusza przerażona, pełna lęków. Pamiętam jeszcze, że pewnego razu lży mi stały w oczach, gdy opuszczając jakąś knajpę w niedzielne przedpołudnie, zobaczyłem bawiące się na ulicy dzieci, jasne, radosne, o świeżo przyczesanych włosach, odświętnie ubrane. I podczas gdy przy brudnych stołach, w podrzędnych gospodach, wśród kałuż rozlanego piwa zabawiałem, a często i przerażałem moich kolegów niebywale cynicznymi wypowiedziami, w głębi serca czułem wielki szacunek dla wszystkiego, z czego tak szydziłem, i łkając wewnętrznie padałem na kolana przed własną duszą, przed własną przeszłością, przed matką moją, przed Bogiem.

Fakt, że nigdy nie odczuwałem pełnej wspólnoty z moimi kompanami, że pozostałem wśród nich samotny i dlatego mogłem tak cierpieć, był w pełni uzasadniony. Byłem dobrym kompanem przy kieliszku, byłem też szydercą, podziwianym przez największych brutalni, okazywałem dowcip i odwagę w myślach moich i słowach na temat nauczycieli, szkoły, rodziców i Kościoła, znosiłem wszelkie tłuste dowcipy i sam nawet nieraz ryzykowałem opowiedzenie takiej anegdotki — lecz nigdy nie przyłączałem się do moich kompanów, gdy szli oni do dziewczyn, byłem sam i pełen płomiennej tęsknoty za miłością, tęsknoty beznadziejnej, choć gdyby mnie kto ze słów moich tylko sądził, wydawać się musiałem od dawna już na wszystko zobojętniałym hulaką. Nikt nie był bardziej wrażliwy, nikt bardziej wstydlivy ode mnie. A gdy kiedykolwiek widziałem idące przede mną panienki z dobrych domów, ładne, czyste, jasne i pełne wdzięku, wydawały mi się one cudownym i niewinnym snem, po tysiąc-kroć zbyt dobrym i czystym dla mnie. Przez pewien czas nie mogłem też już wchodzić do sklepu pani Jaggelt z materiałami piśmiennymi, ponieważ, patrząc na nią, czerwieniłem się i myślałem o tym, co opowiadał mi o niej Alfons Beck.

Lecz choć coraz bardziej czułem się w tym nowym moim towarzystwie inny i nieustannie samotny, coraz mniej mogłem od niego się odrywać. Nie wiem już do-prawdy, czy te pijaństwa i przechwałki istotnie sprawiały mi kiedykolwiek przyjemność, nigdy też nie przywykłem do picia tak, abym za każdym razem nie odczuwał przykrych jego skutków. Wszystko to wydawało się jakby przymusem.



Czyniłem to, co musiałem, ponieważ oprócz tego nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić. Bałem się długich chwil samotności, lękałem się tych licznych a nieuchwytnych, czułych i wstydliwych nastrojów, do których stale przejawiałem skłonność, obawiałem się subtelnych myśli o miłości, które tak często mnie nawiedzały.

Jednego brak mi było najbardziej – przyjaciela. Miałem dwóch czy też trzech kolegów, z którymi widywałem się bardzo chętnie. Lecz należeli oni do „grzecznych”, a moje występki od dawna już dla nikogo nie były tajemnicą. Unikali mnie. Uważany byłem przez wszystkich za beznadziejnego hazardzistę, któremu ziemia osuwa się spod nóg. Nauczyciele sporo o mnie wiedzieli, kilkakrotnie ukarano mnie już surowo, a ostateczne wyrzucenie mnie ze szkoły było czymś, na co wszyscy czekali. Sam też o tym wiedziałem, od dawna także nie byłem już dobrym uczniem, wykręcałem się jedynie i prześlizgiwałem z trudem, doznając przy tym uczucia, że nie może to już długo potrwać.

Wiele istnieje dróg, przy pomocy których Bóg otoczyć nas może samotnością i przywieść ku nam samym. I taką drogę znalazł też wówczas dla mnie. Wszystko to było jak zły sen. Widzę siebie poprzez lepkie owe brudy, rozbite kufle od piwa i cynicznie przegadane noce, omotanego tym złym snem, nie mogącego zaznać spokoju, udręczonego, pełzającego po wstrętnej i nieczystej drodze. Istnieją takie sny, w których po drodze do królowny brnąć trzeba przez brudne kałuże, tkwić w zaułkach pełnych śmieci i smrodu. Tak właśnie było ze mną. W taki oto, niezbyt elegancki sposób, skazany zostałem na samotność i na zbudowanie pomiędzy samym sobą i dzieciństwem moim zamkniętej już, rajskiej bramy, pilnowanej przez nieubłaganych a surowością jaśniejących strażników. Był to początek, przebudzenie się tęsknoty za samym sobą.

Przeraziłem się jeszcze i doznałem wstrząsu, gdy po raz pierwszy, zaalarmowany listami kierownika mojego pensjonatu, pojawił się w St. mój ojciec i nieoczekiwanie stanął przede mną. Lecz gdy pod koniec owej zimy ojciec przybył ponownie, byłem już zatwardziały i obojętny, pozwalałem mu krzyczeć, pozwalałem mu prosić, pozwalałem mu przypominać o mojej matce. Pod koniec był niesłychanie wzburzony i powiedział, że jeśli się nie zmienię, każe mnie wśród hańby i wstydu wypędzić ze szkoły i wpakuje do zakładu poprawczego. A niech tam! Gdy wyjeżdżał wówczas, było mi go żal, lecz nie osiągnął nic, nie znalazł do mnie żadnego już dostępu i chwilami czułem nawet, że słusznie go to spotkało.

Obojętne mi było, co ze mnie wyrośnie. Na swój, bynajmniej niepiękny sposób, przesiadując po knajpach i uprawiając najdziksze wyskoki, kłóciłem się ze światem, to była forma mojego protestu. Zzerało mnie to, niekiedy zaś cała sprawa przedstawiała mi się mniej więcej tak: jeśli świat nie potrzebował ludzi takich jak ja, jeśli nie miał dla nich lepszego miejsca ani szczytniejszych zadań, to ludzie do mnie podobni musieli po prostu zmarnieć. I niechby sobie świat ponosił skutek tego straty.

Święta Bożego Narodzenia były w tym roku wcale niewesołe. Matka przeraziła się moim wyglądem. Urosłem bowiem jeszcze, a wychudzona moja twarz wydawała się szara i spustoszona, rysy mi zwiotczały, spojówki miałem zaczerwienione. Pierwszy cień zarostu oraz okulary, jakie od niedawna nosiłem, uczyniły mnie dla niej jeszcze bardziej obcym. Siostry uciekały przede mną i chichotały. Wszystko to było nieprzyjemne. Nieprzyjemna i gorzka rozmowa z ojcem w jego gabinecie, nieprzyjemne spotkanie z paru krewnymi, nieprzyjemny przede wszystkim sam wieczór wigilijny. Odkąd istniałem na świecie, dzień ów był zawsze wielkim świętem w naszym domu, wieczorem uroczystym, pełnym miłości, wdzięczności i odnowionych związków pomiędzy rodzicami i mną. Tym razem wszystko było jedynie przygnębiające i żenujące. Ojciec mój, jak zwykle, odczytał fragment ewangelii o pasterzach na polu, „którzy strzegli tam trzód swoich”, siostry, jak zwykle, stały rozpromienione przed stolikiem pełnym przeznaczonych dla nich prezentów, lecz głos ojca nie brzmiał radośnie, twarz jego wydawała się stara i zmęczona, matka była smutna, a dla mnie wszystko to razem było w równej mierze przykre i niepożądane: prezenty i życzenia, ewangelia i jaśniejąca świeczkami choinka. Pierniki pachniały słodko i otaczała je gęsta aura jeszcze słodszych wspomnień. Choinka wydawała także zapach i opowiadała o sprawach, które już istnieć przestały. A ja pragnąłem, aby ten wieczór i święta w ogóle skończyły się jak najprędzej.

I tak trwało to przez całą zimę. Nie tak dawno jeszcze otrzymałem surowe upomnienie rady pedagogicznej i zagrożony zostałem usunięciem ze szkoły. Nie mogło to już trwać długo. No cóż, niech tam.

Szczególne urażę żywiłem względem Maksa Demiana. Przez cały ten czas nie widywałem go wcale. W początkowym okresie mego pobytu w St. pisałem do niego dwukrotnie, lecz nie otrzymałem odpowiedzi; dlatego nie odwiedzałem go też podczas wakacji.

W tym samym parku, gdzie jesienią spotkałem się z Alfonsem Beckiem, zdarzyło się na początku wiosny, gdy właśnie zaczynały zielenić się żywopłoty, że zwróciłem uwagę na pewną dziewczynę. Wyszedłem sam na spacer, pełen ohydnych myśli i strapień, ponieważ pogorszyło się moje zdrowie, a oprócz tego miałem nieustanne kłopoty pieniężne, winien byłem kolegom pewne sumy, musiałem zmyślać konieczne, nowe jakieś wydatki, żeby znów uzyskać trochę grosza z domu, a w wielu sklepach narosły mi rachunki za cygara i różne inne takie rzeczy. Troski te nie doskwierały mi jednak nadmiernie — wiedziałem bowiem, że z chwilą gdy skończy się wreszcie ziemską moja egzystencja, gdy się utopię albo oddany zostanę do zakładu poprawczego, parę tych drobiazgów okaże się w istocie bez znaczenia. Lecz stale jednak żyć musiałem w konfrontacji z tego rodzaju niezbyt pięknymi sprawami i cierpiałem z tego powodu.

Tego wiosennego dnia, w parku, przeszła obok mnie młoda kobieta, która wywarła na mnie niezwykle wrażenie. Była wysoka, szczupła, elegancko ubrana i miała mądrą, chłopięcą buzię. Spodobała mi się na pierwszy rzut oka, należała do typu, który mnie interesował, dlatego zaprzętnęła moją wyobraźnię. Była chyba niewiele starsza ode mnie, lecz znacznie bardziej dorosła, elegancka, w pełni już niemal ukształtowana jako kobieta, choć z odcieniem chłopięcej przekory w wyrazie twarzy, takiej, jaką szczególnie lubiłem.

Nigdy nie udało mi się zbliżyć do dziewczyny, w której byłem zakochany i tym razem też mi się to nie powiodło. Lecz wrażenie, jakie sprawiła, było głębsze od wszystkich dawniejszych, a wpływ owej miłości na moje życie był potężny.

Ujrzałem oto bowiem nagle znowu przed sobą obraz godny czci i uwielbienia — a przecież, ach, żadna potrzeba ani dążenie nie były we mnie tak gwałtowne i tak głębokie jak pragnienie kornego adorowania! Nazwałem ją Beatrice, gdyż znałem tę postać, choć nie czytałem Danta, z pewnego angielskiego obrazu, którego reprodukcję przechowywałem. Na obrazie tym była to w angielsko-prerafaelitycznym ujęciu postać dziewczyny o niezmiernie wydłużonych kończynach, smukła, z wąską i długą głową, o uduchowionych rysach. Piękna moja młoda nieznajoma nie całkiem była do niej podobna, choć i ona odznaczała się smukłością i chłopięcością kształtów, którą tak lubiłem, a twarz jej przejawiała pewne cechy uduchowienia.

Nie zamieniłem z Beatrice ani jednego słowa. A mimo to wywarła wówczas na mnie najgłębszy wpływ. Ustawiła przede mną swój wizerunek, otworzyła sanktuarium, uczyniła mnie człowiekiem modlącym się w świątyni. Z dnia na dzień

porzuciłem pijaństwa i nocne włóczęgi. Mogłem znowu być sam, chętnie znowu czytałem, chętnie chodziłem na spacer.

Nagle to nawrócenie ściągnęło na mnie mnóstwo kpin. Ale miałem oto coś, co mogłem kochać i czcić, miałem znowu ideał, życie było znów pełne przeczuć i tajemniczego, różnorodnością barw nęcącego półmroku — i to mnie uodporniło. Byłem znów w domu — sam u siebie, choć tylko jako sługa i niewolnik uwielbionego obrazu.

Nie mogę myśleć o tych czasach bez pewnego wzruszenia. Znów przecież, pełen najszczerzych chęci, usiłowałem ze szczątków zrujnowanego już okresu życia zbudować sobie „jasny świat”, znów cały żyłem jednym tylko pragnieniem wyrzeczenia się wszystkiego co złe i mroczne we mnie i przebywania jedynie wśród światłości, na kolanach przed obliczem bogów:!. I obecny ów „jasny świat” był mimo wszystko po trochu stworzony przeze mnie: nie polegał już na ucieczce i chowaniu się za matkę, na pozbawionym wszelkiej odpowiedzialności ukryciu, był służbą — nową, przeze mnie samego wymyśloną, mnie potrzebną, pełną odpowiedzialności i wewnętrznej dyscypliny. Problemy płci, które tak mnie dręczyły i przed którymi nieustannie uciekałem, miały oto zostać uszlachetnione przez święty ów ogień i przekształcone w sprawy ducha i czystą adorację. Nic mrocznego ani brzydkiego nie mogło już istnieć: ani nieprzespane, jęków pełne noce, ani łomot serca na widok nieprzyzwoitych obrazków, ani podsłuchiwanie u zakazanych bram, ani lubieżność. A zamiast tego wszystkiego ustawiałem oto mój ołtarz z wizerunkiem Beatrice, i jej służbie się poświęcając, oddawałem się jednocześnie służbie bogów i spraw ducha. Tę część mojego życia, którą wyrwałem ze szponów mrocznych mocy, składałem w ofierze mocom jasności. Nie rozkosz była moim celem, lecz czystość, nie szczęście, lecz piękno i duchowe uniesienia.

Ów kult Beatrice przekształcił życie moje od podstaw. Wczoraj udając jeszcze przedwcześnie zgorzkniałego cynika, stałem się obecnie strażnikiem świątyni, a celem moim było zostać świętym. Odrzuciłem nie tylko złe życie, do którego przywykłem, lecz usiłowałem zmienić wszystko, szukałem czystości, szlachetności i godności we wszystkim, myślałem o nich nawet przy jedzeniu i picciu, mówieniu i sposobie ubierania się. Poranek rozpoczynałem od zimnych ablucji, do których początkowo niezmiernie trudno było mi się zmusić. Zachowywałem się poważnie, z godnością, chodziłem wyprostowany, spokojniejszym i bardziej statecznym krokiem. Innym, którzy mi się przyglądali, mogło się to wydawać zabawne — dla mnie, w głębi mego serca, było nieustannym nabożeństwem.

Spśród wszystkich tych ćwiczeń, w których usiłowałem znaleźć wyraz dla nowych moich przekonań, jedno stało się dla mnie szczególnie ważne. Zacząłem malować. Rozpoczęło się to od faktu, że uznałem ową angielską reprodukcję obrazu Beatrice za nie wystarczająco podobną do owej dziewczyny. Zaprzagnąłem spróbować namalowania jej wizerunku — tylko dla siebie. Z absolutnie nową radością i nadzieją zacząłem znosić do mego pokoju — od niedawna miałem własny pokój — piękny papier, farby i pędzle, przygotowałem paletę, szkło, miseczki porcelanowe, ołówki. Zachwytem napawały mnie delikatne tempery w małych tubkach, jakie zakupiłem. Była wśród nich niezwykle jaskrawa zieleń, którą wydaje mi się, że widzę teraz jeszcze, jak po raz pierwszy zajaśniała w małej i białej porcelanowej miseczce.

Zacząłem ostrożnie. Namalować twarz okazało się rzeczą trudną, chciałem tedy najpierw wypróbować rzeczy inne. Malowałem więc ornamenty, kwiaty, małe, fantastyczne pejzaże, jakieś drzewo przy kaplicy, rzymski most pośród cyprysów. Niekiedy zatracalem się całkowicie w tych igraszkach i czułem się szczęśliwy jak dziecko, obdarzone pudełkiem farb. W końcu jednak zacząłem malować Beatrice.

Kilka szkiców nie udało mi się wcale i wyrzuciłem je. Im bardziej usiłowałem wyobrazić sobie twarz tej dziewczyny, spotykanej od czasu do czasu na ulicy, tym mniej okazywało się to możliwe. Zrezygnowałem więc w końcu z tych prób i zacząłem po prostu malować jakąś twarz, idąc za głosem wyobraźni i skojarzeniami, jakie samoistnie wynikały z rozpoczętej już pracy, z farb i pędzla. Wyszła z tego jakaś „twarz ze snu”, ale nie czułem się niezadowolony z jej widoku. Natychmiast też podjąłem dalsze takie próby i każda nowa kartka przemawiała dobitniej, zbliżała się bardziej do owego typu, choć bynajmniej nie do rzeczywistości.

Coraz bardziej i bardziej przywykałem do wypełniania w rozmarzeniu pewnych płaszczyzn lub ciągnięcia pewnych linii pędzlem, bez żadnych wzorów, wynikających po prostu z igraszek, podejmowanych po omacku, z podświadomości. Wreszcie pewnego dnia, niemal nieświadomie, namalowałem twarz, przemawiającą do mnie silniej niż wszystkie wcześniejsze.

Nie była to twarz owej dziewczyny, od dawna już zresztą wcale nią być nie miała. Było to coś innego, nierealnego, choć nie mniej cennego. Przypominało raczej głowę młodzieńca niż twarz dziewczyny, włosy nie były jasne, jak u mojej pięknej panny, tylko brązowe z rudawym odcieniem, broda wydatna i mocno zarysowana, wargi natomiast czerwone i rozkwitłe, a całość nieco sztywne, niczym maska, lecz wyrazista i pełna ukrytego życia.

Gdy tak siedziałem przed gotowym już obrazem, sprawił on na mnie dziwne wrażenie. Wydał mi się czymś w rodzaju wizerunku jakiegoś bożka lub świętą maską, na poły męską, na poły kobiecą, pozbawioną wieku, promieniującą zarówno siłą woli, jak rozmarzeniem, równie sztywną, jak i pełną utajonego życia. Twarz ta miała mi coś do powiedzenia, należała do mnie i miała wobec mnie wymagania. I wykazywała pewne do kogoś podobieństwo, ale nie wiedziałem, do kogo.

Obrazek ten przez pewien czas towarzyszył potem wszystkim moim myślom i dzielił moje życie. Ukrywałem go w szufladzie, żeby nikt go nie wykrył i nie dokuczał mi na ten temat. Lecz z chwilą, gdy byłem sam w moim pokoiku, wyciągałem ów obraz, nawiązywałem z nim kontakt. Wieczorami przypinałem go szpilką do tapety naprzeciw siebie, w nogach łóżka, i aż do zaśnięcia wpatrywałem się w niego, z rana zaś pierwsze moje spojrzenie nań padało.

W tym właśnie czasie zacząłem ponownie mieć często sny, tak jak to zawsze bywało, gdy byłem dzieckiem. Zdawało mi się, że od lat nic mi się już nie śniło. A oto teraz sny pojawiły się znowu jako obrazy zupełnie innego rodzaju, często zaś, bardzo często występował wśród nich ów namalowany przeze mnie wizerunek, żywy, przemawiający, zaprzyjaźniony ze mną, lub wrogi względem mnie, niekiedy wykrzywiony grymasem, niekiedy znowu nieskończenie piękny, szlachetny i pełen harmonii.

I pewnego ranka, gdy zbudziłem się z takich snów, nagle wszystko zrozumiałem. Obraz ów patrzył na mnie w sposób tak bardzo znajomy, zdawał się wołać mnie po imieniu. Zdawał się znać mnie jak własna matka i być zwrócony ku mnie od niepamiętnych czasów. Z biciem serca wpatrywałem się w ten wizerunek, patrzyłem na te kasztanowate, gęste włosy, na na wpół kobiece usta, wydatne czoło, opromienione tak osobliwą jasnością (obraz sam wysechł w ten właśnie sposób) i coraz bardziej i bardziej czułem, że rozpoznaję coś, odnajduję i wiem.

Wyskoczyłem z łóżka, stanąłem przed tą twarzą, przypatrzyłem się jej z bliska, spojrzałem wprost w szeroko otwarte, zielonkawe i nieruchome jej oczy, z których prawe znajdowało się nieco wyżej od lewego. I oto nagle to prawe oko mrugnęło, lekko i delikatnie, a przecież wyraźnie, i w chwili tego mrugnięcia rozpoznałem ów obraz...

Jakże mogłem tak późno dopiero dojść do tego! Była to twarz Demiana.

Później porównywałem ów portret bardzo często z prawdziwymi rysami Demiana, takimi jakie odnajdywałem we własnej pamięci. Bynajmniej nie były

identyczne, choć podobne. Lecz mimo wszystko był to Demian.

Pewnego razu, wieczorem, wczesnym latem, słońce rzucało ukośne i czerwone promienie przez moje okno, wychodzące na zachód. W pokoju było już ciemnowo. I wtedy wpadłem na pomysł, żeby przyczepić wizerunek Beatrice, czy też Demiana, szpilką do ramy okiennej i przyjrzeć mu się w chwili, gdy prześwietlony będzie tym wieczornym słońcem. Rysy twarzy zatarły się całkowicie, lecz czerwone obwódki oczu, jasność czoła i gorące, czerwone wargi płonęły gwałtownie i namiętnie na płaszczyźnie obrazu. Siedziałem naprzeciw niego długo, nawet gdy blask słoneczny już zagaśł. I stopniowo zacząłem doznawać uczucia, że to nie Beatrice, ani Demian, lecz — ja sam. Obraz nie był do mnie podobny — czułem też, że wcale podobny być nie powinien — lecz był przecież tym, co stanowiło moje życie, moje wnętrze, był moim losem, czy może moim demonem. Tak wyglądałby mój przyjaciel, gdybym miał kiedykolwiek jeszcze znaleźć przyjaciela. Tak wyglądałaby moja kochanka, gdybym kiedykolwiek ją znalazł. Takie być miało moje życie i moja śmierć, taki był dźwięk i rytm mojego losu.

Zająłem się podczas owych tygodni lekturą, która wywarła na mnie głębsze wrażenie od wszystkiego, co czytałem dawniej. I później zresztą niewiele książek przeżyłem w ten sposób, może jeszcze tylko Nietzschego. Czytałem tom Novalisa, zawierający listy i aforyzmy, z których wielu nie rozumiałem, lecz wszystkie one pociągały mnie i przejmowały niesłychanie. Jeden z owych aforyzmów przypomniałem sobie wtedy. Schwyciłem pióro i wypisałem go pod tym obrazem: „Los i dusza to nazwy tego samego pojęcia”. Teraz to już rozumiałem.

Dziewczynę, którą nazwałem Beatrice, spotykałem jeszcze często. Nie odczuwałem już wzruszenia przy tych spotkaniach, lecz zawsze łagodną afirmację tylko, głębokie przeświadczenie: związana jesteś ze mną, ale nie ty, tylko twój obraz; jesteś częścią mojego losu. .

Tęsknota moja za Maksem Demianem znowu ogromnie wzrosła. Nic o nim nie wiedziałem już od lat. Podczas wakacji spotkałem go tylko jeden jedyny raz. Widzę teraz, że pominąłem krótkie to spotkanie w moich notatkach i że stało się tak zarówno ze wstydu, jak i z próżności. Muszę to naprawić.

A więc raz podczas wakacji, gdy ze zblazowaną i zawsze nieco zmęczoną twarzą z okresu knajpiarskiego wałęsałem się po rodzinnym moim mieście, wymachując laseczką i zaglądając filistrom w ich stare, zawsze jednakowe i pogardą przeze mnie

obdarzane twarze, były mój przyjaciel wyszedł mi naprzeciw. I momentalnie musiałem pomyśleć o Franzu Kromerze. O, gdybyż Demian był istotnie zapomniał już o tej historii! Tak przykre było mi to uczucie zobowiązania względem niego — właściwie z powodu głupiej, dziecinnej jeszcze historii, lecz jednak obowiązujące...

Wydawało się, że czeka, czy zechcę z nim się przywitać, a gdy to uczyniłem z największą, na jaką się mogłem zdobyć, nonszalancją, podał mi rękę. Znowu ten uścisk jego ręki! Taki mocny, tak ciepły, a przecież chłodny, męski!

Uważnie mi się przypatrzył i powiedział: „Wyrosłeś, Sinclair”. On sam wydał mi się wcale nie zmieniony, równie dorosły, czy też równie młody jak zawsze.

Razem poszliśmy na spacer i rozmawialiśmy o samych sprawach błałych, słowem nie wspominając przeszłości. Przypomniałem sobie, iż kiedyś pisałem do niego parokrotnie i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Ach, obyż zapomniał i o tym, o tych głupich, głupich listach! Nie wspomniałem o nich.

Nie istniała wówczas jeszcze żadna Beatrice, ani żaden jej wizerunek, znajdowałem się wtedy w pełni hulaszczego mojego okresu. Za miastem zaprosiłem go do knajpy. Poszedł. Chętnie zamówiłem całą butelkę wina, nalałem, stuknąłem się z nim kieliszkiem, przejawiając doskonałą znajomość wszelkich studenckich obyczajów przy picu, i jednym haustem wychyliłem też pierwszy kieliszek.

— Często chodzisz do knajpy? — zapytał.

— Ach, tak — odparłem leniwie. — Bo niby cóż innego robić? To w końcu jeszcze najweselszy sposób spędzania czasu.

— Sądzisz? Być może. Jest w tym coś bardzo pięknego: oszołomienie, element bachiczny! Ale mnie się wydaje, że większość ludzi, dużo przesiadujących po knajpach, całkiem go już utraciła. Mnie się wydaje, że właśnie to bieganie po knajpach jest raczej cechą filistrów. Owszem: przez całą jedną noc, przy płonących pochodniach, warto przeżyć prawdziwy, piękny rausz i upojenie! Ale tak ciągle w kółko pić jeden kieliszek po drugim, to chyba nie o to chodzi! Bo czy możesz sobie wyobrazić na przykład Fausta, przesiadującego co wieczór w knajpie przy tym samym stole?

Piłem i spoglądałem na niego wrogo.

— Cóż, nie każdy jest Faustem — odparłem krótko.

Spojrzał na mnie z niejakim zdumieniem. A potem roześmiał się jak dawniej: żywo i z odcieniem wyższości:

— No, po cóż mamy się kłócić na ten temat? W każdym razie życie pijaka czy



rozpustnika jest chyba znacznie bardziej barwne niż żywot nieskazitelnego obywatela. A poza tym, czytałem o tym kiedyś, życie rozpustnika jest świetnym okresem przygotowawczym dla mistyka. Zawsze przecież wizjonerami stają się tacy ludzie, jak na przykład święty Augustyn. A on był także przedtem światowcem i hulaką.

Byłem nieufny i za nic w świecie nie chciałem pozwolić, żeby mnie pouczał. Odpowiedziałem więc głosem zblazowanym:

— Tak, niechaj każdy żyje według własnych upodobań! Mnie zaś, szczerze mówiąc, bynajmniej nie zależy na tym, żeby stać się wizjonerem lub czymś w tym rodzaju.

Demian, z lekka przymrużywszy oczy, rzucił mi na wskroś świadome spojrzenie:

— Drogi Sinclairze — powiedział powoli — nie miałem zamiaru mówić ci rzeczy przykrych. A zresztą, w jakim celu pijesz teraz wino, obaj przecież nie wiemy. Wie o tym jedynie to, co w tobie tworzy twoje życie. I dobrze jest pamiętać o tym, że w nas samych istnieje ktoś, kto wszystko wie, wszystkiego chce i wszystko lepiej robi niż my. Ale wybacz, muszę już wracać do domu.

Pożegnaliśmy się krótko. Zostałem sam, bardzo zły, wypilem do końca ową butelkę i przekonałem się, gdy już chciałem iść, że Demian dawno ją zapłacił. Rozzłościło mnie to jeszcze bardziej.

Myśli moje nawróciły oto do tej krótkiej chwili. I pełne były Demiana. Wypłynęły też z mojej pamięci słowa, które wypowiedział w owej knajpie na przedmieściu, dziwnie świeże i nie zapomniane: „Tak dobrze jest pamiętać o tym, że w nas samych istnieje ktoś, kto wszystko wie!”

Jakże tęskniłem za Demianem. Nic o nim nie wiedziałem, był dla mnie nieosiągalny. Wiedziałem tylko, że prawdopodobnie gdzieś studiuje i że po zakończeniu pobytu w gimnazjum matka jego też opuściła nasze miasto.

Usiłowałem zebrać wszelkie moje wspomnienia o Maksie Demianie — aż po ową historię z Kromerem. Przypomniałem sobie wiele z tego, co niegdyś mówił, a wszystko dziś jeszcze miało sens, było nadal aktualne i bardzo mnie obchodziło! I nawet to, co podczas naszego ostatniego, tak w istocie niewesołego spotkania, powiedział o rozpustniku i świętym, przypomniało mi się również bardzo wyraźnie. Czyż ze mną nie było akurat tak samo? Czyż i ja nie żyłem w upojeniu i brudzie, w oszołomieniu i zatraceniu, dopóki nagle, pod wpływem nowego instynktu życia, nie ocknęły się we mnie tendencje przeciwne, pragnienie czystości i tęsknota za świętością?

Długo tak zagłębiałem się w mych wspomnieniach, i nie zauważyłem, że noc już

nastała od dawna, a na dworze padał deszcz. We wspomnieniach moich też odezwał się deszcz: była to owa chwila pod kasztanami, gdzie niegdyś wiódł ze mną rozmowę Demian z powodu Franza Kromera i gdzie odgadł pierwsze moje tajemnice. Przypomniałem sobie teraz wszystko po kolei: dyskusje w drodze do szkoły, lekcje religii przed konfirmacją, a na koniec wróciłem pamięcią do najpierwszego mego spotkania z Maksem Demianem. O cóż to wtedy chodziło? Nie od razu wpadłem na ów trop, ale pozostawiłem sobie czas do namysłu, zatopiłem się całkowicie w tych myślach. I nagle przypomniałem sobie także i to: Staliśmy przed naszym domem po owej rozmowie, podczas której opowiedział mi Demian, co myśli o Kainie. A potem mówił o tym starym, zatartym już herbie, umieszczonym nad bramą naszego domu, w rozszerzającym się od dołu do góry zwieńczeniu. Powiedział, że go to interesuje i że należy zwracać uwagę na takie rzeczy.

W nocy śniłem o Demianie i o tym herbie. Zmieniał się on nieustannie, a Demian trzymał go w rękę: często stawał się mały i szary, potem znowu potężny, wielki, różnobarwny, ale Demian tłumaczył mi, że to nadal ten sam herb. W końcu zmusił mnie jednak, żebym herb ten zjadł. Gdy go połknąłem, poczułem z niezmiernym przerażeniem, że połknięty ptak herbowy ożył we mnie, wypełnia mnie całego i zaczyna pożerać mnie od wewnątrz. Zerwałem się, pełen śmiertelnego lęku, i obudziłem się.

Przebudziłem się całkowicie w samym środku nocy i posłyszałem, że deszcz chlapie do pokoju. Wstałem więc, żeby zamknąć okno, i nadepnąłem przy tym na coś jasnego, co leżało na podłodze. Rano przekonałem się, że był to namalowany przeze mnie obraz. Leżał na ziemi, w wodzie, napęczniał od wilgoci. Rozpiąłem go do wysuszenia pomiędzy kartami grubej, ciężkiej książki. Gdy nazajutrz tam zajrzałem, obrazek już wysechł. Zmienił się jednak. Czerwone usta przybladły i stały się nieco węższe. Były to teraz najdokładniej usta Demiana.

Zabrałem się do malowania nowego obrazu: herbowego ptaka. Nie pamiętałem już dokładnie, jak on właściwie wyglądał, wiedziałem także, iż niektóre szczegóły, nawet z bliska, nie dawały się rozpoznać, ponieważ herb ów był stary i wielokrotnie powlekany warstwami farb. Ptak stał czy też siedział na czymś, może był to kwiat, albo kosz, albo gniazdo, może korona drzewa. Nie przejmowałem się tym nadaremnie i rozpocząłem od tego, co pamiętałem wyraźnie. Pod wpływem niejasnej jakiejś potrzeby zacząłem malować zaraz bardzo ostrymi farbami: głowa ptaka była na moim obrazku złocistożółta. Zależnie od nastroju zajmowałem się potem nadal tą robotą i

ukończyłem ją w ciągu kilku dni.

Był to ptak drapieżny, o ostro zarysowanej, śmiałej głowie krogulca. Połową tułowia tkwił w ciemnej kuli ziemskiej, z której dobywał się niczym z ogromnego jaja, na tle jasnobłękitnego nieba. Gdy dłużej się przyglądałem temu obrazkowi, począł wydawać mi się coraz bardziej podobny do barwnego herbu, jaki widziałem we śnie.

Listu do Demiana napisać nie byłem w stanie, nawet gdybym był wiedział, dokąd go zaadresować. Postanowiłem jednak, w tym samym somnambulicznym przekonaniu, z jakim czyniłem wówczas wszystko, przesłać mu obraz tego krogulca, niezależnie od tego, czy dojdzie do niego, czy nie. Nic na nim nie napisałem, nawet własnego nazwiska, starannie obciąłem brzegi, kupiłem dużą papierową kopertę i wykaligrafowałem na niej dawny adres mojego przyjaciela. A potem to wysłałem.

Zbliżał się jeden z egzaminów i musiałem usilniej niż dotąd pracować w szkole. Nauczyciele znowu okazywali mi swoje łaski, od chwili gdy nagle zmieniłem dawny, głupi tryb życia. Dobrym uczniem nie byłem chyba i teraz, lecz ani ja sam, ani zapewne nikt inny nie myślał już o tym, że jeszcze pół roku temu powszechnie spodziewano się karnego usunięcia mnie ze szkoły.

Ojciec pisywał teraz do mnie znowu raczej w tym samym tonie co dawniej, bez wyrzutów i pogróżek. Nie odczuwałem jednak potrzeby wyjaśniania jemu czy komukolwiek innemu, w jaki sposób dokonała się we mnie przemiana. Przypadek zrządził, że przemiana ta zgodna była z życzeniami moich rodziców i nauczycieli. Ale nie zbliżyła mnie ona do innych, nie zbliżyła do nikogo, uczyniła tylko bardziej jeszcze samotnym. Zmierzała gdzieś dalej, do Demiana, do odległego jakiegoś losu. Sam nic o tym nie wiedziałem, właśnie przeżywałem ją przecież. Zaczęło się to wszystko od Beatrice, lecz od pewnego czasu żyłem wraz z malowanymi przeze mnie obrazkami w tak absolutnie nierealnym świecie, że i dziewczynę straciłem całkowicie z myśli i z oczu. Nikomu nie byłem w stanie opowiedzieć o moich marzeniach, moich oczekiwaniach i wewnętrznym moim przełomie, nawet, gdybym chciał.

Lecz jakże mógłbym być tego chcieć?

***Ptak wykluwa się z jajka***

Namalowany przeze mnie ptak ze snu ruszył w drogę i szukał mego przyjaciela. Odpowiedź zaś otrzymałem w najprzedziwniejszy sposób.

W szkole mojej, w klasie, na moim miejscu, znalazłem niegdyś po przerwie między dwoma lekcjami kartkę, wsuniętą do książki. Była ona złożona akurat tak, jak to zwykło się robić w naszej szkole, gdy koledzy przesyłali sobie niekiedy, potajemnie, podczas lekcji bileciki. Zdziwiło mnie tylko, kto mógł mi kartkę taką posłać, z żadnym bowiem kolegą nie utrzymywałem nigdy takich kontaktów. Pomyślałem, że to pewnie wezwanie do jakiegoś szkolnego figla, w którym i tak nie wezmę udziału i, nie czytając, odłożyłem ową kartkę na sam początek książki. Dopiero podczas lekcji, przypadkowo, wpadła mi ona znów do rąk.

Bawiłem się tym papierkiem, rozwinąłem go bezmyślnie i stwierdziłem, że napisano na nim parę słów. Rzuciłem na nie okiem, zahaczyłem o jedno słowo, przeraziłem się i przeczytałem, podczas gdy serce moje na ten znak losu ścisnęło się jakby pod wpływem wielkiego chłodu:

„Ptak wykluwa się z jajka. Jajkiem jest świat. Kto chce się urodzić, musi świat zniszczyć. Ptak leci do Boga. A imię Boga Abraxas.”

Po kilkakrotnym przeczytaniu tej kartki zamyśliłem się głęboko. Wątpliwości być nie mogły: to była odpowiedź od Demiana. Nikt więcej prócz niego i mnie nie mógł wiedzieć o tym ptaku. Otrzymał więc mój obrazek. Zrozumiał mnie i pomagał w wyjaśnieniach. Lecz jak się to wszystko łączyło? I — co dręczyło mnie przede wszystkim — co znaczy „Abraxas”? Nigdy nie czytałem ani nie słyszałem takiego słowa. „A imię Boga Abraxas.”

Lekcja minęła, choć nie słyszałem ani słowa z wykładu. Rozpoczęła się lekcja następna, ostatnia tego przedpołudnia. Prowadził ją młody nauczyciel — zastępca, świeżo po uniwersytecie, którego lubiliśmy już choćby za to, że był taki młody i nie przybierał wobec nas poży fałszywej godności.

Pod kierunkiem doktora Follena czytaliśmy Herodota. Lektura ta należała do nielicznych szkolnych zajęć, które mnie interesowały. Lecz tym razem nie brałem w nim udziału. Mechanicznie otworzyłem książkę, nie śledziłem jednak przebiegu

tłumaczenia i nadal pozostawałem zatopiony we własnych myślach. Niejednokrotnie zresztą przekonałem się już, jak słuszne było to, co Demian powiedział mi wtedy, na lekcji religii. Wszystko, czego pragnęło się w dostatecznie silny sposób, musiało się udać. I jeśli podczas lekcji byłem niezmiernie zaabsorbowany własnymi myślami, mogłem być przekonany, że nauczyciel da mi spokój. Owszem: gdy ktoś był roztargniony albo senny, nauczyciel pojawiał się nagle tuż przed nim — mnie również się to już zdarzało. Ale jeśli się naprawdę myślało, naprawdę pogrążało w skupionej uwadze, było się niejako pod ochroną. Wypróbowałem także ów sposób upartego patrzenia prosto w oczy, który też okazał się przydatny. Dawniej, w czasach Demiana, nie udawało mi się to, ale teraz często czułem, że przy pomocy spojrzeń i myśli dokonać można bardzo wiele.

Tak więc siedziałem i tym razem, niezmiernie daleki od Herodota i od szkoły. Lecz oto nagle głos nauczyciela, jak piorun, uderzył w moją świadomość i ocknąłem się, przerażony. Słyszałem jego głos, stał tuż koło mnie i sądziłem już, że wywołał moje nazwisko. Ale nie patrzył na mnie. Odetchnąłem.

A wtedy dotarło do mej świadomości wymówione głośno słowo: „Abraxas”.

W wyjaśnieniach, których początek uszedł mojej uwagi, kontynuował doktor Follen: „...Poglądów owych sekt i mistycznych stowarzyszeń w czasach starożytnych nie powinniśmy wyobrażać sobie tak naiwnie, jak widzieli je racjoniści. Nauki, w obecnym naszym znaczeniu tego słowa, starożytność w ogóle nie znała. Natomiast zajmowano się w owych czasach różnymi prawdami mistyczno-filozoficznymi, i badania te stały bardzo wysoko. Częściowo wywodziła się stąd magia i różne igraszki, prowadzące też niekiedy do oszustwa i zbrodni. Ale również i magia posiada szlachetny rodowód i głębokie myśli. Choćby, na przykład, nauka o Abraxasie, o której uprzednio wspomniałem. Imię jego wymieniane jest w związku z greckimi formułkami czarodziejskimi, uważane też przez wielu za imię jakiegoś diabła-czarownika z rodzaju tych, jakich i dziś jeszcze mają różne dzikie ludy. Wydaje się jednak, że Abraxas oznacza o wiele więcej. Możemy uważać tę nazwę za imię bóstwa, którego symboliczne zadanie polegało na łączeniu w sobie pierwiastków boskich i diabelskich.”

Młody uczoney z zapalem snuł dalej swoje wywody, nikt jednak zbyt uważnie go nie słuchał, a ponieważ imię to już się nie powtórzyło, uwaga moja też odwróciła się niebawem ku własnym moim sprawom.

„Łączeniu pierwiastków boskich i diabelskich” — słyszałem jeszcze. O, tak, do tej

myśli mogłem nawiązać. Znana mi była dobrze z ostatniego już okresu przyjaźni i rozmów z Demianem. Demian powiedział wtedy, że wprawdzie mamy Boga, którego czcimy, lecz stanowi on jedynie umyślnie oddzieloną połowę świata (była to owa dozwolona, oficjalna, „jasna” strona świata). Trzeba móc jednak czcić cały świat, a zatem trzeba albo mieć Boga, który będzie również i diabłem, lub też obok nabożeństw wprowadzić jakąś służbę ku czci szatana. I oto Abraxas okazał się kimś będącym zarówno Bogiem, jak i szatanem.

Przez pewien czas prowadziłem z wielkim zapałem dalsze poszukiwania w tym kierunku, nie posuwając się jednak naprzód. Bez rezultatów przewertowałem też całą bibliotekę w pogoni za Abraxasem. Z natury nie przejawiałem jednak skłonności do tego rodzaju bezpośrednich, świadomych poszukiwań, podczas których przede wszystkim znajduje się takie prawdy, które martwieją człowiekowi w rękach, jak kamienie. Postać Beatrice, którą przez pewien czas tak wiele i czule się zajmowałem, też stopniowo jąła się zacierać, albo raczej odsunęła się ode mnie, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do horyzontu, stając się coraz mniej wyraźna, coraz bledsza i dalsza. Nie wystarczała już mojej duszy.

W całej tej, osobliwie dla mnie samego tylko ustawionej egzystencji, jaką wiodłem obecnie jak lunatyk, zaczęło kształtować się coś nowego. Rozkwitła we mnie tęsknota za życiem, a raczej tęsknota za miłością, a popęd płciowy, który na pewien czas zdołałem zagłuszyć adoracją Beatrice, począł się domagać nowych obrazów i celów. Ciągłe jeszcze nie natrafiałem na żadną możliwość zaspokojenia, a bardziej niż kiedykolwiek niemożliwe stało się oszukiwanie mojej tęsknoty i oczekiwanie czegokolwiek po dziewczętach, u których szukali szczęścia moi koledzy. Znów śniłem wiele, i to znacznie więcej za dnia niż w nocy. Budziły się we mnie wizje, obrazy lub pragnienia, które odciągały mnie od świata zewnętrznego tak, iż z obrazami tymi, snami i cieniami żyłem w bardziej realnym i aktywnym kontakcie niż z rzeczywistym moim otoczeniem.

Pewien sen, czy też może tylko gra wyobraźni, powracający nieustannie, stał się dla mnie niezwykle ważny. Sen ów, później najważniejszy i najbardziej istotny w całym moim życiu, przedstawiał się mniej więcej tak: powracałem do domu rodzicielskiego; nad bramą błyszczał herbowy ptak, żółty na błękitnym tle, w domu wychodziła mi naprzeciw matka, lecz z chwilą, gdy podchodziłem, chcąc ją uściskać — była to już nie ona, lecz jakaś nigdy nie widziana postać, wielka, potężna, podobna do Maksa Demiana i malowanego przeze mnie obrazka, a przecież inna i mimo całą swą

wielkość na wskroś kobieca. Ta postać przyciągała mnie ku sobie i ogarniała przejmującym, wręcz wstrząsającym miłosnym uściskiem. Rozkosz i zgroza były ze sobą zmieszane, uścisk ów był nabożeństwem i zbrodnią jednocześnie. Zbyt wiele wspomnień o mojej matce i zbyt wiele wspomnień o przyjacielu moim, Demianie, utajonych było w owej postaci, ogarniającej mnie uściskiem. I objęcia te były zaprzeczeniem wszelkiego szacunku, a mimo to darzyły mnie szczęściem. Często budziłem się z owego snu z głębokim uczuciem szczęścia, lecz często też w śmiertelnym lęku, z udręczonym sumieniem, jak po straszliwym grzechu.

Dopiero stopniowo i nieświadomie powstało pomiędzy tym na wskroś wewnętrznym obrazem i wskazówką, jaką uzyskałem z zewnątrz, a dotyczącą poszukiwania Boga, pewne połączenie. Stało się ono z czasem głębsze i ściślejsze i zacząłem wyczuwać, że właśnie w owym wizjonerskim śnie wzywałem Abraxasa. Rozkosz i zgroza, mężczyzna i kobieta — zmieszani ze sobą, sprawy najświętsze i sprawy najohydniejsze ze sobą splecione, głęboka wina przepojona najsubtelniejszą niewinnością — oto był mój sen miłosny i taki też był Abraxas. Miłość nie była już mrocznym, zwierzęcym popędem, jaki z lękiem odczuwałem początkowo, nie była także już nabożną, uduchowioną adoracją, jaką oddawałem wizerunkowi Beatrice. Była jednym i drugim, a składało się na nią znacznie więcej jeszcze: była wizerunkiem anioła i szatana, mężczyzną i kobietą jednocześnie, człowiekiem i zwierzęciem, najwyższym dobrem i najbardziej skrajnym złem. Takie życie wydawało się być mnie przeznaczone, zakosztowanie tego miało być moim losem. Tęskniłem za nim i czułem przed nim lęk, lecz on istniał zawsze i zawsze trwał nade mną.

Następnej wiosny miałem opuścić gimnazjum i udać się na studia, choć nie wiedziałem jeszcze, gdzie ani co będę studiować. Górną wargę moją ocieniał już niewielki wąs, byłem człowiekiem dorosłym, a przecież całkowicie bezradnym i żadnych nie mającym celów. Stale trwało tylko jedno: ów głos we mnie, ów sen. I czułem, że zadanie moje polega na ślepych względem nich posłuszeństwie. Przychodziło mi to jednak z trudem, buntowałem się codziennie. Może zwariowałem? — myślałem często. — Może nie jestem taki jak inni? Lecz potrafiłem przecież wykonać wszystko, co robili inni: przy odrobinie pracy i wysiłku mogłem czytać Platona, rozwiązywać zadania z trygonometrii lub przeprowadzić analizę chemiczną. Jednego tylko nie mogłem: wydrzeć ukrytego we mnie, w ciemnościach, celu i namalować go gdzieś przed sobą tak, jak czynili to inni, którzy dokładnie wiedzieli, że chcą zostać profesorami, sędziami, lekarzami lub artystami, wiedząc również, jak

długo to potrwa i jakie przyniesie im korzyści. Tego właśnie nie umiałem. Może i ja miałem kiedyś czymś takim zostać, lecz jakże miałem o tym wiedzieć. A może miałem też szukać i coraz dalej szukać, przez całe lata, i nie zostać niczym, nie dojść do żadnego celu? A może miałem dojść do celu, który okaże się zły, niebezpieczny i straszliwy?

Nie pragnąłem przecież nic więcej, niż żyć tym, co samo chciało ze mnie się wydobyć. Czemuż było to tak bardzo trudne? y

Często podejmowałem próby namalowania owej potężnej, miłosnej postaci z mojego snu. Nigdy się to jednak nie udawało. Gdyby się było udało, posłałbym ów obraz Demianowi. Gdzież on był? Nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że utrzymuje więź ze mną. Kiedyż miałem go znów zobaczyć?

Pogodny spokój owych tygodni i miesięcy z okresu Beatrice od dawna już minął. Wówczas wydawało mi się, że dobiłem do jakiejś wyspy i znalazłem spokój. Ale tak było zawsze – ledwo polubiłem pewien stan, ledwo sen jakiś sprawił mi przyjemność, wszystko zaraz wędło i gasło. I żal po nich był daremny! Żyłem obecnie w ogniu nie zaspokojonych pragnień, napiętego oczekiwania, doprowadzającego mnie często do absolutnego szaleństwa i wściekłości. Obraz mej ukochanej ze snów oglądałem nieraz przed sobą, wyraźny, nadnaturalnej wielkości, wyraźniejszy znacznie od własnej mojej ręki, rozmawiałem z nim, płakałem przed nim, przeklinałem go. Nazywałem go matką i wśród łez padałem przed nim na kolana, nazywałem kochanką i przeczuwałem jego dojrzałe, pełnię zaspokojenia wszelkich pragnień niosące pocałunki, nazywałem szatanem i dziewczką, wampirem i mordercą. Wabił mnie ów obraz ku najsubtelniejszym marzeniom miłosnym i nakłaniał do najbardziej wyuzdanego bezwstydu, nic dlań nie było zbyt piękne i dobre, nic zbyt podłe i złe.

Całą tę zimę przeżyłem wstrząsany wewnętrzną burzą, którą z trudem potrafię opisać. Do samotności przywykłem od dawna, nie ciążyła mi, żyłem w towarzystwie Demiana, krogulca, obrazu wielkiej postaci z mojego snu, będącej losem moim i moją ukochaną. Wystarczało mi to do życia, ponieważ wszystko zmierzało ku temu, co wielkie i dalekie, wszystko też wskazywało na Abraxasa. Żaden jednak z tych snów, żadna z moich myśli nie słuchały mnie, żadnej nie mogłem przywołać, żadnej nadać barw według własnej woli. Pojawiały się i zabierały mnie, one to mną rządziły, one mnie przeżywały.

Od zewnątrz wprawdzie byłem bezpieczny. Ludzi się nie obawiałem, przekonali się już o tym moi koledzy i ukradkiem okazywali mi rodzaj szacunku, często



skłaniając mnie do uśmiechu. Gdy chciałem, mogłem bowiem doskonale przejrzeć większość spośród nich i niekiedy ich tym zdumiewałem. Tyle tylko, że chciałem tego rzadko, albo i nigdy. Zawsze zajęty byłem sobą, zawsze ze sobą sam. I gorąco pragnąłem przeżyć wreszcie coś innego, wyjść choć trochę z siebie w świat, nawiązać z nim kontakt i walkę. Niekiedy, gdy wieczorem przebiegałem ulicę i gnany niepokojem aż do północy nie mogłem wrócić do domu, myślałem, że oto teraz, teraz właśnie spotkać mnie musi moja ukochana, przejść mimo, tam już, za następnym rogiem zawołać mnie z najbliższego okna. Czasami też wszystko to wydawało mi się niesłychanie męczące, i pogodziłem się już z myślą, że kiedyś odbiorę sobie życie.

Znalazłem wówczas osobliwe schronienie — przez „przypadek”, jak się to mówi. Nie istnieją jednak takie przypadki. I jeśli człowiek, który koniecznie czegoś potrzebuje, znajdzie to, co mu potrzebne, nie daje mu tego przypadek, lecz on sam daje to sobie, własne jego pragnienie i wola ku temu go prowadzą.

Podczas moich spacerów po mieście słyszałem dwa czy trzy razy dźwięki organów, dochodzące z małego kościółka na przedmieściu, nie zatrzymywałem się tam zresztą. Gdy kolejnym razem przechodziłem obok, usłyszałem je ponownie i poznałem muzykę Bacha. Podeszedłem do bramy, którą znalazłem zamkniętą, a ponieważ uliczka była niemal wyludniona, usiadłem obok kościoła na kamieniu, podniosłem kołnierz płaszcza i słuchałem. Nie były to wielkie, lecz jednak dobre organy, a ktoś grał na nich osobliwie, ze swoistym i na wskroś osobistym wyrazem, z uporem i wytrwałością, które brzmiały jak modlitwa. Miałem uczucie, że człowiek, który tam gra, wie, iż w muzyce tej zamknięty jest jakiś skarb i kołacze oto, zabiega i stara się o skarb ten jak o własne życie. Pod względem techniki niezbyt się znam na muzyce, lecz od dziecka, instynktownie, pojmowałem właśnie ten wyraz ducha i czułem dźwięki muzyczne w sobie jako coś naturalnego.

Muzyk ów zagrał potem jeszcze coś współczesnego, może jakiś utwór Regera. Kościół był niemal całkiem ciemny, nikły tylko odblask światła przenikał przez najbliższe okno. Czekałem, aż muzyka się skończy, a potem jąłem chodzić tam i na powrót, aż zobaczyłem wychodzącego organistę. Był to człowiek jeszcze młody, choć starszy ode mnie, postury krępej i przysadzistej, i uciekł szybko mocnymi, jakby rozgniewanymi, krokami.

Odtąd niekiedy wieczorami siadałem przed tym kościołem lub przechadzałem się tam. Pewnego razu zastałem bramę otwartą i pół godziny, zmarznięty, choć szczęśliwy, przesiadziałem w ławce, podczas gdy na górze, przy skąpym, gazowym

świetle grał organista. W muzyce, którą odtwarzał, słyszałem nie tylko jego. Wszystko, co grał, wydawało mi się jakoś ze sobą spokrewnione, połączone tajemnym związkiem. Wszystko to było też pełne wiary, ufności i pobożności, lecz pobożności nie takiej, jaką odznaczają się wierni na nabożeństwie lub pastorzy, lecz takiej, jaką w średniowieczu przejawiali pielgrzymi i żebracy, pobożni w absolutnym oddaniu się uczuciom, górującym nad wszelkiego rodzaju wyznaniem. Pracowicie wygrywane były utwory kompozytorów sprzed czasów Bacha i dzieła starych Włochów. I wszyscy mówili to samo, wszyscy wyrażali to, co w duszy swojej miał także grający: tęsknotę, gorące umiłowanie świata i gwałtowne od niego się odrywanie, płomienne nasłuchiwanie poszeptów własnej, mrocznej duszy, upojenie oddaniem i głębokie zaciekawienie sprawami cudownymi. Gdy raz potajemnie ruszyłem śladem organisty po jego wyjściu z kościoła, zobaczyłem, że daleko, na krańcu miasta, wchodzi do małego szynku. Nie mogłem się oprzeć i poszedłem za nim. Po raz pierwszy zobaczyłem go tam wyraźnie. Siedział przy stole w kącie małej izby, w czarnym, filcowym kapeluszu na głowie, miał przed sobą szklanekę wina, a twarz jego była taka, jakiej się spodziewałem. Była brzydka, nieco dzika, poszukująca, zamknięta, uparta i pełna silnej woli, a przy tym – w okolicy ust – miękka i dziecinna. Wyraz męskości i siły mieścił się wyłącznie w oczach jego i czole, dolna partia twarzy natomiast była delikatna, jakby nie wykończona, nie opanowana i po części zniewieściała, broda o wyrazie chłopięcego niezdecydowania stanowiła jakby kontrast z czołem i spojrzeniem. Spodobały mi się jego czarne oczy, pełne dumy i wrogości.

W milczeniu usiadłem naprzeciw niego, prócz nas nie było w knajpie nikogo. Zmrużywszy oczy spojrzał na mnie tak, jakby chciał mnie przepędzić. Wytrzymałem to jednak i wpatrywałem się w niego uparcie, aż mruknął ze złością:

– Czegóż się pan, u diabła, tak na mnie gapi? Chce pan czego ode mnie?

– Nic od pana nie chcę – powiedziałem. – Ale wiele już od pana dostałem.

Zmarszczył czoło.

– Ach, tak, to pan jest wielbicielem muzyki? Uważam, że to ohydne, uwielbiać muzykę.

Nie dawałem się odstraszyć.

– Często już pana słuchałem, tam, w tym kościółku – powiedziałem. – Zresztą nie chcę się panu naprzykrzać. Myślałem tylko, że może u pana coś znajdzie, coś szczególnego, sam właściwie nie wiem co. Ale lepiej niech mnie pan wcale nie słucha! Ja mogę przecież słuchać pana w kościele.

— Przecież zawsze zamykam wszystko na klucz.

— Raz pan o tym zapomniał i siedziałem w środku. A zazwyczaj stoję na zewnątrz albo siedzę na kamieniu.

— Tak? Następnym razem może pan też wejść do środka, bo cieplej. Tylko musi pan zastukać do drzwi. Ale mocno i nie wtedy, kiedy gram. No, a teraz, jazda! Co to pan chciał powiedzieć? Jest pan całkiem młody, pewno uczeń, albo student. Czy pan jest muzykiem?

— Nie. Lubię słuchać muzyki, ale tylko takiej jak pańska, takiej nie uwarunkowanej, przy której się czuje, że jakiś człowiek dobija się w niej do nieba i do piekła. Bardzo lubię muzykę, myślę, że chyba dlatego, że tak mało jest moralna. Wszystko inne jest moralne, a ja szukam czegoś, co by takie nie było. Bo wskutek tych spraw moralnych zawsze tylko cierpiałem. Nie umiem się odpowiednio wysławiać. Wie pan, że musi istnieć Bóg, będący jednocześnie bogiem i szatanem? I podobno taki istnieje, słyszałem o tym.

Muzyk zsunął nieco z czoła swój szeroki kapelusz i strząsnął włosy z wielkiego swego czoła. Patrzył przy tym na mnie przenikliwie i przechylił ku mnie swoją twarz.

Zapytał cicho i z napięciem:

— Jak się nazywa ów bóg, o którym pan mówi?

— Nie wiem, niestety, o nim prawie nic, właściwie znam tylko jego imię. Nazywa się Abraxas.

Muzykant spojrział wokół siebie jakby z niedowierzaniem, tak jakby ktoś mógł nas podsłuchiwać. Potem przysunął się do mnie i powiedział szeptem:

— Tak sobie myślałem. Kim pan jest?

— Jestem uczniem gimnazjum.

— A skąd pan wie o Abraxasie?

— Przez przypadek.

Huknął w stół, aż się przelało wino z jego szklanki.

— Przypadek! Nie wygaduj za...nych bredni, młody człowieku! O Abraxasie nikt się nie dowiaduje przez przypadek, proszę to sobie zapamiętać. Opowiem panu o nim jeszcze więcej. Bo trochę o nim wiem.

Umilkł i odsunął się z krzesłem. Gdy spojrziałem na niego, pełen oczekiwania, wykrzywił twarz w grymasie:

— Nie tu! Innym razem. Masz, bierz pan!

Sięgnął przy tym do kieszeni swego płaszcza, którego nie zdjął, i wyciągnął kilka

pieczonych kasztanów, które mi rzucił.

Nic nie powiedziałem, wziąłem kasztany, jadłem je i byłem bardzo zadowolony.

— No, więc — szepnęła tamten po chwili. — Skąd pan wie... o nim?

Nie zwlekałem z odpowiedzią.

— Byłem samotny i bezradny — opowiadałem. — I przypomniał mi się wtedy przyjaciel z dawnych lat, który, jak sędzę, wiele wie. Namalowałem pewien obraz: ptaka wyłazącego z kuli ziemskiej. Ten obraz mu posłałem. Po pewnym czasie, gdy właściwie trudno mi już było w to uwierzyć, wpadł mi w ręce kawałek papieru, na którym było napisane: „Ptak wykluwa się z jajka. Jajkiem jest świat. Kto chce się narodzić, musi świat zniszczyć. Ptak leci do Boga. A imię Boga Abraxas.”

Nie odpowiedział nic, obejrzelśmy nasze kasztany i jedliśmy je do wina.

— Zamówimy jeszcze dzbanek? — zapytał.

— Nie, dziękuję. Nie bardzo lubię pić.

Roześmiał się, rozczarowany nieco.

— Jak pan chce! Ze mną jest inaczej. Ja tu jeszcze zostanę. A pan może sobie już iść!

Gdy następnym razem poszedłem razem z nim po organowym koncercie, nie był zbyt rozmowny. Wprowadził mnie przy starej uliczce do wnętrza starego, okazałego domu i zawiódł na samą górę, do wielkiego, nieco ponurego i zaniedbanego pokoju, gdzie poza pianinem nic nie wskazywało na muzyka, zaś wielka szafa z książkami i biurko nadawały całemu wnętrzu pewną atmosferę uczoności.

— Ileż pan ma książek! — wykrzyknąłem z podziwem.

— Część ich pochodzi z biblioteki mego ojca, u którego mieszkam. Tak, młody człowieku, mieszkam u ojca i matki, ale pana nie mogę im przedstawić, moi znajomi nie cieszą się nadmiernym uznaniem w tym domu. Jestem synem marnotrawnym, wie pan. Ojciec mój jest niesłychanie szanowanym człowiekiem, wybitnym duchownym i kaznodzieją w naszym mieście. A ja, żeby od razu pana zorientować, jestem jego utalentowanym i wielce obiecującym synem, który się jednak wykoleił i cokolwiek zwariował. Byłem teologiem i tuż przed dyplomem opuściłem ten pocziwy fakultet. Mimo iż właściwie nadal pozostałem przy tym samym fachu, jeśli chodzi o moje studia prywatne.

Najbardziej interesującą i ważną jest dla mnie nadal kwestia, jakich to bogów wynajdywali sobie ludzie w różnych czasach. A poza tym jestem teraz muzykiem i, jak się wydaje, zdobędę chyba niedługo skromne jakieś miejsce organisty. Wtedy znów

będę służył Kościołowi.

Popatrzyłem na grzbiety książek, znalazłem tytuły greckie, łacińskie, hebrajskie, o ile mogłem je rozeznąć w słabym świetle niedużej lampki, stojącej na stole. Mój znajomy położył się tymczasem po ciemku wzdłuż ściany, na podłodze, i czymś tam był zajęty:

— Chodź pan — zawołał po chwili — zajmijmy się teraz na chwilę filozofią, czyli zamknijmy gęby, połóżmy się na brzuchu i oddajmy rozmyślaniom.

Zapalił zapałkę i w kominku, przed którym leżał, podpalił papier i polana. Płomień wystrzelił wwyż, on zaś starannie a umiejętnie rozniecał i podsyczał ogień. Położyłem się obok niego na podniszczonym dywanie. Wpatrywał się w ogień, który jął urzekać i mnie, i leżeliśmy tak w milczeniu, na brzuchu, chyba przez całą godzinę, przed migocącym ogniem z drzewnych szczap, patrząc jak bucha i buzuje, jak zapada się i zwija, drga i migoce, a w końcu wśród cicho dogasającego żaru pełga w samej głębi paleniska.

— Adorowanie ognia nie było najgłupszym wynalazkiem — mruknął do siebie. Poza tym żaden z nas nie powiedział ani słowa. Nieruchomym wzrokiem wpatrzyłem się w płomienie, zatonałem w marzeniach i ciszy, widziałem postaci pośród dymu i obrazy wśród popiołów. Raz drgnąłem z przestachu. Towarzysz mój wrzucił do żaru kawałek żywicy, wystrzelił niewielki, smukły płomyk, a ja ujrzałem w nim ptaka o żółtej głowie krogulca. W dogasającym żarze kominka złote, płomienne nitki łączyły się w sieci, pojawiały się litery i obrazy, wspomnienia jakichś twarzy, zwierząt, roślin, robaków i węży. Gdy, ocknąwszy się, spojrzałem, co robi mój towarzysz, spostrzegłem, że wpatruje się, z brodą wspartą na pięściach i z fanatycznym oddaniem, w popioły.

— Muszę już iść — powiedziałem cicho.

— No to idź pan. Do widzenia!

Nie wstał, a ponieważ lampa była zgaszona, musiałem z trudem i po omacku znajdować drogę przez ciemny pokój, ciemne korytarze i schody, zanim wydostałem się wreszcie z tego zakłętego domu. Na ulicy zatrzymałem się i spojrzałem na to stare domostwo. W żadnym oknie nie było światła. Mały mosiężny szyldzik połyskiwał na drzwiach w świetle gazowej latarni.

— Pistorius, proboszcz — odczytałem.

Dopiero w domu, gdy po kolacji siedziałem sam w moim małym pokoju, przypomniało mi się, że nie dowiedziałem się od Pistoriusa nic o Abraxasie ani o czymkolwiek innym, że w ogóle nie zamieniliśmy chyba nawet dziesięciu słów. Ale

byłem niezmiernie zadowolony z mojej u niego wizyty. A na następny raz obiecał mi wspaniały utwór starej muzyki organowej: passacaglię Buxtehudego.

Organista Pistorius udzielił mi, choć nie wiedziałem o tym, pierwszej lekcji, gdy tak leżałem wraz z nim przed kominkiem na podłodze jego ponurego pokoju-pustelni. Patrzenie w ogień dobrze mi zrobiło, umocniło i potwierdziło we mnie skłonności, jakie miałem zawsze, lecz nigdy ich właściwie nie rozwijałem. Stopniowo zacząłem sobie to uświadamiać.

Już jako dziecko miałem zawsze skłonność do podziwiania osobliwych form w przyrodzie, nie obserwując, lecz w pełni ulegając ich swoistemu czarowi, ich niejasnej, a tak głębokiej wymowie. Długie, zdrewniałe korzenie drzew, kolorowe żyłki w kamieniach, plamy oliwy, pływające po wodzie, spękane szkło — wszystkie takie rzeczy wywierały swego czasu na mnie wielki urok, przede wszystkim zaś woda i ogień, dym, chmury, kurz, a także wirujące barwne plamy, które widziałem, gdy zamykałem oczy. W ciągu paru dni po pierwszej mojej wizycie u Pistoriusa zaczęło mi się to wszystko przypominać. Zauważyłem bowiem, że pewne pokrzepienie, radość i wzmożoną świadomość własnego istnienia, jakie odtąd odczuwałem, zawdzięczam wyłącznie długiemu wpatrywaniu się w otwarty ogień. Dziwną ulgę przynosiło i wzbogacało przeświadczenie, że można było to uczynić!

Do nielicznych doświadczeń, jakie uzbierałem dotychczas w drodze do właściwego celu mojego życia, dołączyło się oto nowe. Stwierdziłem, że przypatrywanie się takim twórcom, kontemplowanie takich irracjonalnych, niejasnych i dziwnych form natury budzi w nas uczucie zgodności naszego wnętrza z wolą, która twórcom takim kazała powstać — niebawem też doznajemy pokusy uważania ich za własne nasze kaprysy, własne nasze twory, widzimy, że granica pomiędzy nami i naturą drży i rozpływa się, i doświadczamy nastroju, w którym nie wiemy już, czy obrazy na naszej siatkówce pochodzą z wrażeń zewnętrznych, czy wewnętrznych. Nigdy też z równą łatwością i prostotą jak przy tym ćwiczeniu nie dokonujemy odkrycia, jak dalece jesteśmy twórcami, jak dalece dusza nasza nieustannie uczestniczy w nieustannym stwarzaniu świata. I w istocie to samo, niepodzielne bóstwo, działa w nas i w naturze, jeśliby zaś świat zewnętrzny miał zginąć, każdy z nas zdolny byłby go odtworzyć: zrekonstruować góry i rzeki, drzewa i liście, kwiaty i korzenie, gdyż wszystkie twory natury mają w nas swój prawzór, wywodzą się z duszy, której istotą jest wieczność, a

której to istoty z kolei nie znamy, lecz odczuwamy ją zazwyczaj jako siłę miłości i siłę twórczą.

Dopiero wiele lat później znalazłem potwierdzenie tej obserwacji w pewnej książce, mianowicie u Leonarda da Vinci, który mówi gdzieś o tym, jak dobrą i niezwykle podniecającą rzeczą jest przypatrywać się ścianie, na którą pluło wielu ludzi. Widok tych plam na wilgotnym murze budził w nim te same uczucia, jakich ja i Pistorius doznawaliśmy leżąc przed ogniem.

Przy następnym naszym spotkaniu organista udzielił mi pewnych wyjaśnień:

— Zawsze o wiele za ciasno wytyczamy granice własnej osobowości! Zaliczamy do swojej osoby zawsze jedynie to, co odróżniamy jako indywidualne i co uznajemy za odstępstwo. Stanowimy przecież jednak twór składający się ze wszystkiego, co przynależy do całego świata, każdy z nas, i podobnie jak ciało nasze nosi w sobie rodowody rozwoju stworzeń aż po ryby, a nawet znacznie dalej jeszcze, tak też i w duszy mamy wszystko, cokolwiek i kiedykolwiek w duszach ludzkich żyło. Wszyscy bogowie i szatani, jacy kiedykolwiek istnieli, czy to u Greków, czy u Chińczyków, czy u dzikich Zulusów, mieszkając w nas, istnieją jako możliwości, jako pragnienia, jako drogi wyjścia. I gdyby cała ludzkość wymarła poza jednym jedynym, niezbyt nawet utalentowanym, dzieckiem, które nigdy niczego się nie uczyło, dziecko to odnalazłoby bieg wszelkich rzeczy, byłoby w stanie tworzyć i produkować bogów i demonów, raje, nakazy i zakazy, stare i nowe testamenty — wszystko.

— No dobrze — przerwałem — ale na czym polega wtedy jeszcze wartość jednostki? Czemu dążymy wciąż dalej, skoro już wszystko nosimy gotowe w sobie?

— Stop! — wykrzyknął gwałtownie Pistorius. — To ogromna różnica, czy pan tylko nosi w sobie cały świat, czy też i wie pan o tym. Wariat może ujawniać myśli, przypominające Platona, a mały, pobożny uczeń w klasztorным internacie w twórczy sposób wyobrazić sobie potrafi głębokie, mitologiczne związki, jakie występują u gnostyków czy zoroastrów. Ale on nic o tym nie wie! Jest drzewem, jest kamieniem, w najlepszym razie zwierzęciem, dopóki o tym nic nie wie. Lecz gdy pierwsza iskierka owej świadomości w nim zaświta, wówczas staje się człowiekiem. Chyba nie zechce pan uważać wszelkich dwunogów, którzy tam oto biegają po ulicy, za ludzi dlatego tylko, że chodzą prosto i noszą swoje młode przez dziewięć miesięcy? Widzi pan przecież, ilu z nich jest rybami, baranami, robakami lub aniołami, ilu mrówkami, a ilu pszczołami! No cóż, w każdym z nich istnieją możliwości dla powstania człowieka, lecz dopiero wówczas, gdy taki stwór je przeczuje, gdy nawet po części nauczy się je

tworzyć, możliwości te naprawdę będą do niego należeć.

Takiego mniej więcej rodzaju były nasze rozmowy. Rzadko przynosiły mi one coś całkowicie nowego, coś absolutnie zdumiewającego. Wszystkie jednak, nawet najbardziej banalne, trafiały cichym, wytrwałym uderzeniem młotka w ten sam punkt we mnie, wszystkie pomagały mi się kształtować, wszystkie pomagały obdzierać mnie ze starych skór, rozbijać skorupy jajka, a z każdej wynurzając się, podnosiłem głowę nieco wyżej, nieco swobodniej, aż wreszcie żółty mój ptak całkowicie wydostał piękną swą głowę drapieźnika z rozbitych skorup świata.

Często też opowiadaliśmy sobie nawzajem swoje sny. Pistorius umiał je tłumaczyć. Przypominam sobie pewien osobliwy przykład. Śniło mi się, że umiem latać, w ten sposób jednak, że przez wielki jakiś napęd, nad którym władzy nie miałem, przierzucany jestem przez powietrze. Uczucie tego lotu było podniosłe, wkrótce jednak przekształcało się w lęk, gdy widziałem, że bezwolnie porwany zostaję na niebezpieczne wyżyny. I wówczas dokonałem zbawczego odkrycia, że wznoszenie się moje i opadanie regulować mogę przez wstrzymywanie i wypuszczanie oddechu.

Pistorius tak to skomentował:

— Pęd ów, który sprawia, że pan lata, to wielkie dobro ludzkości, które każdy posiada. Jest to bowiem uczucie połączenia z korzeniami wszelkiej siły, ale człowieka i strach niebawem na myśl o tym ogarnia! Bo to diablo niebezpieczne! Dlatego też większość chętnie rezygnuje z latania i woli, w zgodzie z przepisami prawa, grzecznie kroczyć po chodniku. Ale pan nie. Pan leci dalej, jak na porządnego faceta przystało. I oto dokonuje pan osobliwego odkrycia, że stopniowo zaczyna pan nad tym panować, że z tą wielką, ogólną siłą, która pana porywa, łączy się subtelna, nikła siła własna, pewien organ, pewien ster! To znakomicie. Bo bez tego musiałby człowiek bezwolnie wzbijać się w przestworza, co na przykład czynią szaleńcy. Pan miewa głębsze przecucia niż owi ludzie, grzecznie kroczący po chodniku, lecz oni do tych przecuć nie mają klucza ani steru, dlatego też spadają w przepaść bez dna. Natomiast pan, Sinclairze, pan da sobie radę! A jak? Nie wie pan tego jeszcze? Przy pomocy nowego organu, przy pomocy regulatora oddechu. I oto może się pan przekonać, jak mało „osobista” jest w głębi swojej pańska dusza. Ona bowiem tego regulatora nie wynajduje! On wcale nie jest nowy! Jest tylko zapożyczeniem, istnieje bowiem od tysięcy lat. Jest to organ równowagi u ryb: pęcherz pławny. I jeszcze dziś nawet istnieje kilka osobliwych a konserwatywnych gatunków ryb, u których pęcherz pławny jest jednocześnie czymś w rodzaju płuc i w pewnych okolicznościach naprawdę może



służyć do oddychania. Identyczne jest to więc z tymi płucami, którymi pan posługuje się we śnie jak pęcherzem do latania!

Przyniósł mi nawet tom zoologii i wskazał na nazwy i rysunki tych staroświeckich ryb. A ja z przedziwnym dreszczem poczułem w sobie ożywioną pewną funkcję z dawnych epok rozwoju.

## ***Walka Jakuba***

Nie zdołałem pokrótce opowiedzieć tego, czego dowiedziałem się od dziwnego muzyka Pistoriusa o Abraxasie. Lecz rzeczą najważniejszą, jakiej u niego się nauczyłem, było dokonanie następnego kroku na drodze do siebie samego. Byłem podówczas, mając lat prawie osiemnaście, niezwykłym młodzieńcem, w stu różnych sprawach przedwcześnie dojrzałym, w stu sprawach innych niezmiernie zapóźnionym i bezradnym. I gdy kiedykolwiek porównywałem siebie z innymi, czułem się często zarozumiały i dumny, lecz równie często przygnębiony i upokorzony. Czasami uważałem siebie za geniusza, czasami za półwariata. Nie potrafiłem uczestniczyć w radościach i życiu moich rówieśników, a często trawiły mnie wyrzuty sumienia i smutne myśli, że jestem beznadziejnie od nich oddzielony i życie przede mną jest zamknięte.

Pistorius, który sam był dorosłym już dziwakiem, nauczył mnie zachowania odwagi i szacunku względem samego siebie. Dawał mi przykład, znajdując zawsze w moich słowach, snach, fantazjach i myślach coś wartościowego.

— Mówił mi pan — twierdził — iż lubi pan muzykę dlatego, ponieważ nie jest moralna. No, dobrze. Ale sam również nie powinien pan być moralistą! Nie powinien pan porównywać siebie z innymi, i jeśli natura stworzyła pana w postaci nietoperza, nie powinien pan chcieć się przekształcić w strusia! Uważa się pan niekiedy za dziwaka i wyrzuca sobie, że obiera pan inne drogi niż większość ludzi. Musi się pan tego oduczyć. Niech pan patrzy w ogień, niech pan spogląda w chmury, a z chwilą gdy zbudzą się w panu przecucia, odzywać się zaczną głosy w pańskiej duszy, niech im pan zawierzy, nie zadając sobie uprzednio pytania, czy to się spodoba lub będzie miłe panu nauczycielowi, panu ojcu czy też jakiemuś panu Bogu! W ten sposób człowiek sam sobie wszystko psuje. W ten sposób wchodzi się tylko grzecznie na chodnik i przekształca się w mumię. Drogi Sinclairze, nasz Bóg zwie się Abraxas i jest Bogiem i szatanem jednocześnie, mieści w sobie świat jasności i mroku. Abraxas nie ma żadnych zastrzeżeń względem jakichkolwiek pańskich myśli ani pańskich snów. Niech pan o tym zawsze pamięta. Lecz opuści on pana z chwilą, gdy stanie się pan nienaganny i normalny. Wówczas porzuci pana i poszuka sobie nowego garnka, w

którym mógłby gotować swe idee.

Ze wszystkich moich snów najdroższy był mi ów mroczny sen miłosny. Śniłem go często, często wchodziłem przez bramę, nad którą trwał herbowy ptak, do starego naszego domu, chciałem przyciągnąć do siebie matkę, a zamiast niej obejmowałem wielką, na poły męską, na poły kobiecą postać, wobec której czułem lęk, a do której ciągnęło mnie jednak płomienne pożądanie. I tego snu nigdy nie potrafiłem opowiedzieć memu przyjacielowi. Zatajałem go, mimo iż otworzyłem przed nim wszelkie inne tajemnice. Był moim najskrytszym zakątkiem, sekretem i schronieniem.

Gdy czułem się przygnębiony, prosiłem Pistoriusa, żeby zagrał mi passacaglię starego Buxtehudego. Siadałem wtedy wieczorem w mrocznym kościele, zatracając się w tej osobliwej, przejmującej, w samej sobie zatopionej, samej siebie słuchającej muzyce, która za każdym razem przynosiła mi ulgę i nakłaniała do przyznania racji głosom duszy.

Czasami pozostawaliśmy jeszcze chwilę, gdy organy już brzmieć przestały, w kościele, patrząc na nikłe światło wpadające przez wysokie, ostrołukie okna i ginące w mroku.

— Zabawnie to brzmi — mówił Pistorius — że byłem niegdyś teologiem i omal nie zostałem duchownym. Ale w istocie popełniłem tutaj jedynie formalny błąd. Być kapłanem bowiem to moje powołanie i mój cel. Tylko że zbyt wcześnie poczułem się zadowolony i oddałem się do dyspozycji Jehowie, zanim jeszcze poznałem Abraxasa. Ach, każda religia jest piękna. Religia to dusza, niezależnie od tego, czy przystępuje się wówczas do komunii, czy odbywa pielgrzymkę do Mekki.

— Lecz w takim razie — pytałem — mógł pan właściwie zostać duchownym?

— Nie, Sinclairze, nie. Musiałbym wtedy kłamać. Religię naszą praktykuje się bowiem tak, jakby wcale nie była religią. Udaje ona tylko, że jest dziełem rozumu. Katolikiem mógłbym może jeszcze od biedy zostać, ale kapłanem protestanckim — nie! Tych kilku ludzi, którzy wierzą naprawdę — a znam takich — lubi trzymać się dosłownego brzmienia prawd wiary, im nie mógłbym powiedzieć, że na przykład Chrystus nie jest dla mnie osobą, lecz herosem, mitem, ogromnym cieniem, w postaci którego cała ludzkość widzi własny wizerunek, wymalowany na ścianie wieczności. A tym innym, co przychodzą do kościoła, żeby posłyszeć mądre jakieś słowo, by spełnić obowiązek, by nic nie pominąć i tak dalej — cóż mógłbym powiedzieć? Nawrócić ich może? Ależ ja tego wcale nie chcę. Kapłan nie pragnie nawracać, chce jedynie żyć pośród wiernych, pośród równych sobie, i stać się nosicielem i wyrazicielem tego

uczucia, z którego kształtujemy naszych bogów.

Przerwał. A potem mówił dalej:

— Nowa nasza wiara, dla której obraliśmy obecnie imię Abraxas, jest piękna, przyjacielu. To najlepsze, co posiadamy. Ale to jeszcze niemowlę! Skrzydła mu jeszcze nie wyrosły. Ach, taka samotna religia to też jeszcze nie to, o co w istocie chodzi. Musi stać się wspólna, musi posiadać kult, uniesienia, uroczystości i misteria...

Zamyślił się na chwilę.

— A czy nie można obchodzić misteriów także w samotności, lub w najmniejszym gronie? — zapytałem z wahaniem.

— Owszem, można — przytaknął. — Ja od dawna je tak obchodzę. Hołdowałem już sprawom, za które powinienem na wiele lat trafić do więzienia, gdyby się o tym dowiedziano. Lecz wiem, że i to jeszcze nie jest istotne.

Nagle trzepnął mnie w ramię, aż podskoczyłem:

— Chłopcze! — zawołał z przekonaniem — pan także posiada swe misteria. Wiem, że musi pan miewać sny, których mi pan nie opowiada. I nie chcę ich znać. Ale powiadam panu: przeżywaj pan owe sny, odgrywaj je i stawiaj im pan ołtarze! Nie jest to także jeszcze doskonałość, lecz jest to już droga. Czy zdołamy kiedyś — pan i ja, i paru innych — odnowić świat, to się dopiero okaże. Lecz w nas samych musimy odnawiać go codziennie, inaczej nic z nas nie będzie. Niech pan o tym pamięta! Pan ma osiemnaście lat, Sinclair, nie biega pan do dziewcząt ulicznych, lecz musi pan mieć sny miłosne, miłosne pragnienia. Może są one tego rodzaju, że pan ich się lęka. Niechże się pan nie lęka! To najlepsze ze wszystkiego, co pan posiada! Może mi pan wierzyć. Sam straciłem bardzo wiele wskutek tego, że w pańskim wieku pogwałciłem własne miłosne sny. Nie trzeba tego robić. I gdy wie się o Abraxasie, robić tego już nie wolno. Nie wolno lękać się niczego i uważać za zakazane czegokolwiek, czego pragnie w nas własna dusza.

Zaprotestowałem, przerażony:

— Ależ nie można robić wszystkiego, co komu przyjdzie do głowy! Nie wolno przecież zabijać człowieka tylko dlatego, że się go nie cierpi!

Przysunął się bliżej do mnie:

— W pewnych okolicznościach wolno także i to. Tylko że przeważnie okazuje się to pomyłką. Wcale też nie chciałem powiedzieć, że powinien pan robić po prostu wszystko, co przyjdzie panu do głowy. Nie, lecz nie powinien pan tych pomysłów, które mają sens, czynić szkodliwymi w ten sposób, że zacznie je pan odpędzać lub na

ich temat moralizować. Zamiast przybijać siebie lub kogoś innego do krzyża, można wśród podniosłych myśli pić wino z kielicha i rozpamiętywać przy tym misterium ofiary. Można również, nie wykonując żadnych takich czynności, traktować swe popędy i tak zwane ułomności z szacunkiem i miłością. Wtedy ujawnią swój sens, a wszystkie one mają sens. I gdy nawiedzi pana znowu jakaś istic szaleńcza czy grzeszna myśl, Sinclairze, gdy zechce pan kogoś zamordować lub popełnić gigantyczne jakieś bezeceństwo, niechże pan przez chwilę pomyśli o tym, że to Abraxas w panu tak fantazjuje! Człowiek, którego by pan chciał zabić, nigdy nie jestem panem X lub Y, z pewnością jest on maską jedynie. Bo z chwilą, gdy nienawidzimy jakiegoś człowieka, nienawidzimy w jego obrazie czegoś, co tkwi w nas samych. Nie oburza nas bowiem coś, czego w nas samych nie ma.

Nigdy dotąd nie powiedział mi Pistorius czegoś, co dotknęłoby tak głęboko najskrytszych moich tajemnic.

Nie mogłem mu odpowiedzieć. Najbardziej mnie jednak wzruszył i najdziwniejszy wydał się fakt, że słowa jego brzmiały identycznie jak słowa Demiana, które od tylu, tylu lat nosiłem już w sobie. Nic o sobie nawzajem nie wiedzieli, a obaj mówili mi to samo.

— Rzeczy, które widzimy — powiedział cicho Pistorius — to te same rzeczy, które istnieją w nas. I nie ma żadnej innej rzeczywistości prócz tej, jaką mamy w sobie. Dlatego też większość ludzi żyje tak nierealnie, ponieważ zewnętrzne obrazy uważają za rzeczywistość, a swego własnego świata wcale nie dopuszczają do głosu. Można być wtedy nawet szczęśliwym. Lecz z chwilą gdy pozna się już raz tamto, inne, nie ma się już wyboru i nie może iść drogą, którą obiera większość. Sinclairze, droga owej większości jest łatwa, a nasza trudna. Chodźmy.

Kilka dni później, po dwukrotnym nadaremnym oczekiwaniu na niego, spotkałem go oto późnym wieczorem na ulicy, jak samotny, wśród zimnego, nocnego wiatru, wytoczył się zza rogu, potykając się, kompletnie pijany. Nie chciałem go zawołać. Minął mnie nie widząc i wbijając przed siebie w przestrzeń płonące, pełne samotności spojrzenie, tak jakby szedł za tajemniczym jakimś wezwaniem z nieznanых sfer. Szedłem za nim jeszcze przez całą ulicę: sunął naprzód, jakby poruszany na niewidzialnym jakimś drucie, krokiem fanatycznym, choć bardzo chwiejnym, jak widmo. Smutny wróciłem do domu, do niewyzwolonych moich snów.

„W taki oto sposób odnawia on w sobie świat” — pomyślałem i w tejże chwili poczułem, że myśl ta jest niska i moralizatorska. Cóż wiedziałem o jego snach? Może

w oszołomieniu swoim kroczył znacznie pewniejszą drogą niż ja w mych lękach.

Podczas przerw pomiędzy lekcjami zdołałem zauważyć, iż niekiedy jeden z współuczniów, którego nigdy nie darzyłem uwagą, szukał mojej bliskości. Był to drobny, słabowicie wyglądający, wąty młodzieniaszek o rzadkich, rudawych włosach i nieco osobliwym spojrzeniu i sposobie bycia. Pewnego wieczoru, gdy wracałem do domu, zaczął się na mnie na ulicy, pozwolił mi przejść mimo, potem znów za mną pobiegł i zatrzymał się przed bramą mego domu.

— Chcesz czegoś ode mnie? — zapytałem.

— Chciałem tylko choć raz z tobą porozmawiać — powiedział nieśmiało. — Bądź tak dobry i przejdź się ze mną trochę.

Poszedłem z nim i wyczułem, że był niesłychanie podniecony i pełen oczekiwania. Ręce jego drżały.

— Czy ty jesteś spirytystą? — zapytał zupełnie nieoczekiwanie.

— Nie, Knauer — odparłem ze śmiechem. — Ani trochę. Skąd ci to przyszło na myśl?

— Ale teozofem jesteś?

— Też nie.

— Ach, nie kryj się tak ze wszystkim! Czuję przecież doskonale, że coś w tobie tkwi osobliwego. Masz to w oczach. I jestem przekonany, że obcujesz z duchami. Ja nie z ciekawości pytam, Sinclair, nie! Sam jestem poszukującym, wiesz, i tak bardzo jestem samotny.

— No to opowiadaj! — zachęciłem go. — Nic wprawdzie nie wiem o duchach, żyję we własnych snach, i to właśnie wyczułeś. A inni ludzie także żyją snami, lecz nie własnymi, i na tym polega cała różnica.

— Tak, może tak i jest — szepnął. — Chodzi tylko o to, jakiego rodzaju są sny, którymi się żyje. Czy słyszałeś już o białej magii?

Musiałem zaprzeczyć.

— To taka wiedza, dzięki której człowiek uczy się panować nad samym sobą. Można stać się nieśmiertelnym i dokonywać czarów. Nigdy nie robiłeś takich ćwiczeń?

Na moje pełne ciekawości pytanie o te ćwiczenia — robił najpierw tajemnicze miny, i dopiero gdy udałem, że chcę odejść, zaczął mówić:

— Na przykład kiedy chcę zasnąć albo skoncentrować się, wtedy robię takie ćwiczenia. Wyobrażam sobie coś w myśli, na przykład jakieś słowo, albo nazwę, albo

figurę geometryczną. I staram się potem wmyśleć to w siebie najmocniej jak tylko potrafię, usiłuję wyobrazić je sobie wewnątrz, w mej własnej głowie, dopóki nie poczuję, że już w niej tkwi. A później wmyślam je sobie w szyję i dalej, i jeszcze dalej, aż cały nim jestem wypełniony. Wtedy jestem już umocniony całkowicie i nic nie zdoła wytrącić mnie z równowagi.

Pojmowałem z grubsza, o co mu chodziło. Czułem jednak doskonale, że inne jeszcze sprawy ma na sercu, był bowiem dziwnie podniecony i mówił pospiesznie. Starłem się ułatwić mu zadawanie pytań i niebawem doszedł do najbardziej istotnej dla niego sprawy.

— Ty przecież także jesteś wstrzemięźliwy? — spytał bojaźliwie.

— Jak to rozumiesz? Pod względem płciowym?

— Tak, tak. Ja jestem teraz już wstrzemięźliwy od dwóch lat, odkąd wiem o tej nauce. Bo przedtem uprawiałem występne różne rzeczy, no, rozumiesz. Więc ty nigdy nie byłeś u żadnej kobiety?

— Nie — odparłem. — Nie znalazłem odpowiedniej.

— Ale gdybyś znalazł taką, o której pomyślisz, że jest odpowiednia, to spałbyś z nią?

— Tak, oczywiście. O ile ona nie miałaby nic przeciwko temu — powiedziałem nieco ironicznie.

— Och, ale w takim razie jesteś na błędnej drodze! Bo siły wewnętrzne można wykształcić tylko wtedy, gdy się jest absolutnie wstrzemięźliwym. I ja tak postępowałem przez całe dwa lata. Dwa lata i nieco więcej już niż jeden jeszcze miesiąc! A to tak trudno! I czasami nie mogę już wprost wytrzymać.

— Słuchaj, Knauer, nie wydaje mi się, żeby ta wstrzemięźliwość była tu tak strasznie ważna.

— Wiem, wiem — opędział się od moich słów. — Wszyscy tak mówią. Ale po tobie się tego nie spodziewałem. Bo przecież każdy, kto pragnie pójść tą wyższą, duchową drogą, musi pozostać czysty, koniecznie!

— No to pozostań! Tylko ciągle nie rozumiem, dlaczego ten, kto tłumi w sobie popęd płciowy, ma być „czystszy” od kogokolwiek innego. Czy może potrafisz wyłączyć także sprawy płci ze wszystkich snów i myśli?

Spojrzał na mnie z rozpaczą:

— Nie, właśnie że nie! O Boże, a to przecież konieczne. Nocą miewam sny, których nawet sam sobie nie mógłbym opowiedzieć! Straszliwe sny, wiesz?

Przypomniałem sobie to, co mówił mi Pistorius. Lecz choć sam uważałem jego słowa za całkowicie słuszne, nie potrafiłem przekazać ich dalej, nie mogłem udzielić rady, która nie opierałaby się na własnym moim doświadczeniu i do przestrzegania której sam jeszcze, jak czułem, nie dorosłem. Milczałem więc i czułem się upokorzony, że oto szuka u mnie rady ktoś, komu nic poradzić nie mogę.

— Wszystkiego już próbowałem! — lamentował Knauer u mego boku. — Robiłem wszystko, co tylko można, wypróbowałem zimną wodę i śnieg, gimnastykę i biegi, ale to wszystko nic nie pomaga. Co noc budzę się ze snów, o których nawet pomyśleć mi nie wolno. A najokropniejsze w tym wszystkim jest to, że wskutek tego stopniowo tracę znowu wszystko, co zdołałem pojąć w sferze ducha. Nigdy już prawie nie udaje mi się skoncentrować czy doprowadzić do zaśnięcia i często nie śpię przez całą noc. Długo już tego nie wytrzymam. A jeśli w końcu nie będę mógł przeprowadzić tej walki, jeśli ustąpię i znowu stanę się nieczysty, gorszy będę od wszystkich, którzy w ogóle nigdy nie walczyli. To przecież rozumiesz?

Skinałem głową, lecz nic na ten temat nie mogłem powiedzieć. Zaczynał mnie już nudzić i sam byłem sobą przerażony, że tak widoczna jego rozpacz i udręka nie wywołały we mnie głębszego wrażenia. Czułem jedynie: ja nie mogę ci pomóc.

— Więc nic mi nie możesz poradzić? — zapytał wreszcie, smutny i wyczerpany. — W ogóle nic? Musi przecież istnieć jakiś sposób. A jak ty sobie radzisz?

— Nic ci nie mogę powiedzieć, Knauer. W tych sprawach jeden drugiemu nie może pomóc. Mnie też nikt nie pomagał. Musisz zastanowić się nad sobą, a wówczas robić to, co istotnie jest zgodne z twoją naturą. Nic innego nie istnieje. Jeśli zaś sam siebie nie zdołasz znaleźć, wydaje mi się, że i duchów żadnych nie spotkasz.

Malec umilkł nagle, rozczarowany. A potem w oczach jego rozbłysła nagła nienawiść, wykrzywił twarz grymasem i wrzasnął ze złością:

— Ach, to taki z ciebie świętoszek! I ty oddajesz się występkom, wiem, wiem! Udajesz tylko mędrca, a potajemnie lgniesz do tych samych świństw co ja i wszyscy! Świnia z ciebie, świnia taka sama jak ja! Wszyscy jesteśmy świnie!

Odszedłem, zostawiając go. Pobiegł za mną kilka kroków, potem zatrzymał się, zawrócił i uciekł. Mdłości niemal doświadczałem od uczuć litości i wstrętu, których nie mogłem się pozbyć aż do chwili, gdy w domu, w małym moim pokoiku, ustawiłem wokół siebie kilka moich obrazków i z przejęciem oddawać się zacząłem własnym marzeniom. Powrócił wtedy natychmiast mój sen o bramie domu i herbie, matce i obcej kobiecie, a rysy owej kobiety widziałem z taką wyrazistością, że jeszcze tego



samego wieczoru jałem malować jej portret.

Gdy obraz ów był już po paru dniach gotów, kreślony jak gdyby nieświadomie w chwilach marzeń, zawiesiłem go wieczorem u siebie na ścianie, przysunąłem ku niemu lampę i stanąłem przed nim jak przed widziadłem, z którym stoczyć miałem decydującą walkę. Była to twarz podobna do tej, jaką malowałem wcześniej, podobna do przyjaciela mojego, Demiana, pod pewnymi względami podobna także i do mnie. Jedno oko umieszczone było wyraźnie wyżej od drugiego, nieruchome oczy, pełne zadumy, patrzyły ponad moją głową: — oczy losu.

Stałem przed tym obrazem i z wewnętrznego napięcia chłód przenikał mnie aż po samo serce. Zadawałem temu obrazowi pytania, oskarżałem go, pieściłem, modliłem się do niego; nazywałem go matką, nazywałem kochanką, kurwą i dziewczką, nazywałem go Abraxasem. A w tym wszystkim przypomniały mi się słowa Pistoriusa — czy może Demiana? — nie mogłem uzmysłwić sobie, kiedy wypowiedziane, lecz zdawało mi się, że słyszę je znowu. Były to słowa o walce Jakuba z aniołem bożym, te właśnie słowa: „Nie puszczę cię, aż mnie pobłogosławisz”.

Namalowana twarz zmieniała się w świetle lampy za każdym wezwaniem. Stawała się jasna i świetlista, stawała się czarna i mroczna, przysłaniała zamarłe oczy bladymi powiekami, otwierała je znowu, błyskając płomiennym spojrzeniem, stawała się kobietą, mężczyzną, dziewczyną, małym dzieckiem, zwierzęciem, rozplýwała w bezkształtną plamę i znów była wyrazista i wielka. Na koniec, pod wpływem silnego wewnętrznego impulsu zamknąłem oczy i ujrzałem wówczas ten obraz wewnątrz siebie, bardziej jeszcze mocny i potężny. Chciałem paść przed nim na kolana, lecz tak głęboko tkwił we mnie, że nie potrafiłem go już od siebie oddzielić, jakby przeistoczył się w tysięczne odbicia własnego mojego „ja”.

Posłyszałem wówczas mroczny, gwałtowny poszum, jakby burzy wiosennej, i zadrżałem pod wpływem nieopisanie nowego uczucia lęku, nowych przeżyć. Zawirowały przede mną gwiazdy i zgasły, przepływały koło mnie, skoncentrowane niesłychanie, wspomnienia sięgające aż ku najwcześniejszym, od dawna już zapomnianym czasom dzieciństwa, a nawet ku egzystencjom uprzednim i wczesnym stadiom stawania się. Lecz wspomnienia te, które zdawały się powtarzać całe moje życie aż po najgłębsze jego tajniki, nie kończyły się na dniu wczorajszym ani dzisiejszym, sięgały dalej, odzwierciedlały przyszłość, odrywały mnie od dnia dzisiejszego i wiodły ku nowym formom życia, których obrazy były niezwykle jasne, olśniewające, lecz z których żadnego nie mogłem sobie już potem właściwie dobrze

przypomnieć.

W nocy ocknąłem się z głębokiego snu, byłem całkowicie ubrany i leżałem w poprzek łóżka. Pojąłem, że muszę przypomnieć sobie ważne jakieś sprawy, nic jednak już nie wiedziałem o tym, co się ze mną przedtem działo. Zapaliłem światło i pamięć zaczęła mi stopniowo powracać. Poszukałem owego obrazu: nie wisiał już na ścianie, nie leżał także na stole. Wtedy odezwało się we mnie niejasne wspomnienie, że go spaliłem. Czy może i to było snem: że spaliłem go własnoręcznie i zjadłem jego popioły?

Gnał mnie jakiś wielki i pełen drżenia niepokój. Włożyłem kapelusz, wyszedłem z domu niby pod wpływem jakiegoś przymusu, biegłem przez ulice i place miasta, jakby mnie pędził wiatr, jałem nasłuchiwać przed ciemnym całkiem kościołem, gdzie grywał na organach mój przyjaciel, szukałem i szukałem pod wpływem nie wyjaśnionego absolutnie popędu i sam nie wiedząc czego. Dotarłem na przedmieście, gdzie znajdowały się domy publiczne, i tam widać było jeszcze tu i ówdzie światło. Dalej stały nowo wzniesione budynki i stosy cegieł, częściowo pokryte zszarzałym śniegiem. Gdy tak, niby lunatyk, pod wpływem obcego nacisku pędziłem przez to pustkowie, przypomniał mi się nowy ów budynek w rodzinnym mieście, w którym niegdyś mój dręczyciel Kromer po raz pierwszy przeprowadzał ze mną porachunki. Podobny budynek rysował się w mrokach nocy tutaj przede mną, rozdziawiając czarny otwór bramy. Ciągnęło mnie tam, chciałem ten dom minąć i potknąłem się o kupy piachu i gruzów — pociąg okazał się silniejszy, musiałem wejść.

Poprzez deski i kawałki połamanych cegieł przedostałem się do pustego pomieszczenia, wypełnionego mętnym zapachem wilgoci, chłodu i kamieni. Leżała tam, tworząc jasnoszarą plamę, kupa piachu, poza tym wszystko było ciemne.

I wtedy zawołał mnie pełen przerażenia głos:

— Na miłość boską, a ty skąd tu się wziąłeś, Sinclair?

I obok mnie wynurzył się z ciemności człowiek, mały i chudy chłopiec — jak duch, a ja, choć mi się włosy jeszcze jeżyły na głowie, poznałem w nim mego szkolnego kolegę, Knauera.

— Jak się tu znalazłeś? — zapytał, nieprzytomny niemal z przejęcia. — Jakże zdołałeś mnie znaleźć?

Nie rozumiałem.

— Ja ciebie nie szukałem — odparłem, oszołomiony, każde słowo sprawiało mi trudności i dobywało się z wysiłkiem z mych martwych, ciężkich, jakby zamrożonych

warg.

Spojrzał na mnie osłupiały:

— Nie szukałeś?

— Nie. Coś mnie tu ciągnęło. Czyś mnie wołał? Musiałeś mnie wołać. A co ty tu robisz? Przecież to noc.

Objął mnie kurczowym uściskiem swych chudych ramion.

— Tak, noc. Niedługo będzie ranek. O, Sinclair, żeś ty mnie nie zapomniał! Czyż możesz mi wybaczyć?

— A co?

— Ach, taki byłem wtedy wstrętny!

Teraz dopiero przypomniałem sobie naszą rozmowę. Czyż odbyła się ona dopiero przed czterema, pięcioma dniami? Mnie wydawało się, że od tej pory upłynęło już całe życie. Ale teraz wiedziałem nagle wszystko. Nie tylko to, co zdarzyło się między nami, lecz także dlaczego tutaj przyszedłem i co Knauer zamierzał zrobić na tym odludziu.

— Chciałeś więc odebrać sobie życie, Knauer?

Wzdrygnął się z zimna i ze strachu.

— Tak, chciałem. Choć nie wiem, czy byłbym się na to zdobył. Chciałem zaczekać, aż nadejdzie ranek.

Wyciągnąłem go na ulicę. Pierwsze, poziome, jasne smugi dnia prześwitywały w szarym powietrzu, niesłychanie chłodne i smutne.

Spory kawał drogi prowadziłem chłopaka za rękę. I coś mówiło przez moje usta:

— Teraz pójdziesz do domu i nikomu nie piśniesz ani słowa! Błędną obrałeś drogę, błędną! A my też nie jesteśmy świnię, jak myślałeś. My jesteśmy ludźmi. I my to właśnie tworzymy bogów i walczymy z nimi, a oni nas błogosławią.

W milczeniu kroczyliśmy dalej i wreszcie rozeszliśmy się. Gdy doszedłem do domu, był już dzień.

Najlepsze, co przyniósł mi jeszcze ów czas spędzony w St., stanowiły godziny z Pistoriusem przy organach lub przed ogniem płonącym na kominku. Czytaliśmy wspólnie pewien grecki tekst o Abraxasie, albo też on czytał mi fragmenty tłumaczenia księgi Vedów, czy też uczył wymawiać święte „Ora”. A przecież nie te uczoneści wcale pomagały mi rozwijać się wewnętrznie — raczej ich przeciwieństwo. Przyjemność sprawiało mi coraz lepsze rozeznawanie się w samym sobie, wzrastające zaufanie do własnych moich snów, marzeń, myśli i przeczuć, oraz rosnąca świadomość siły, jaką w sobie nosilem.

Z Pistoriusem rozumieliśmy się doskonale. Wystarczało mi tylko intensywnie o nim pomyśleć a już mogłem być pewien, że zjawi się u mnie lub otrzymam od niego wiadomość. Mogłem mu także, podobnie jak Demianowi, zadawać różne pytania, chociaż go przy tym nie było: wystarczało, że usilnie odtwarzałem jego postać we własnej wyobraźni i kierowałem ku niemu owe pytania jako intensywne myśli. Wówczas cała siła ducha, jaką w pytania te wkładałem, powracała do mnie jako odpowiedź. Tylko wyobrażałem sobie nie osobę Pistoriusa, ani nawet nie Maksa Demiana, lecz wyśniony i malowany przeze mnie obraz, męsko-żeński wizerunek mego demona ze snów — jego musiałem wzywać. Żył on bowiem teraz nie tylko już w moich snach i namalowany na papierze, lecz także we mnie samym, jako obraz mych pragnień, jako intensyfikacja mego własnego „ja”.

Osobliwe, a niekiedy i zabawne były stosunki, jakie nawiązał ze mną niedoszły samobójca Knauer. Od owej nocy, w której zostałem mu zesłany, przywiązał się do mnie niczym wierny sługa, albo psiak, usilnie próbował połączyć własne życie z moim i szedł za mną wszędzie na oślep. Przychodził do mnie z najdziwaczniejszymi pytaniami lub pragnieniami, chciał oglądać duchy, poznać Kabałę i nie chciał mi wierzyć, kiedy go zapewniałem, że nic się na tych wszystkich sprawach nie znam. Przypisywał mi wszelkiego rodzaju siły. Dziwne było jednak, że właśnie wówczas nachodził mnie z tymi swoimi dziwaczными i głupimi pytaniami, gdy we mnie samym trzeba było rozsypać jakiś węzeł, i że te wszystkie kapryśne jego prośby i pomysły często stawały się dla mnie hasłem lub impulsem dla rozwiązywania własnych spraw. Często mi się naprzykrzał i przepędzałem go władcym tonem, lecz mimo wszystko czułem, że i on został mi zesłany, że i z niego powracało wszystko, cokolwiek mu dawałem, podwojone z powrotem do mnie, że on także był mi przewodnikiem czy też przynajmniej drogą. Szaleńcze książki i pisma, jakie mi znosił i w których szukał dla siebie zbawienia, nauczyły mnie więcej, niż sam mogłem ocenić w danej chwili.

Ów Knauer zszedł później w niezauważalny jakiś sposób z mojej drogi. Z nim rozprawać się nie było potrzeby. Co innego Pistorius. Z tym moim przyjacielem przeżyłem jeszcze pod koniec mych szkolnych lat w St. pewną dziwną historię.

Nawet najbardziej łagodny człowiek nie uniknie wplątania się raz, albo i kilka razy w życiu, w konflikt z pięknymi cnotami pietyzmu i wdzięczności. Każdy musi kiedyś dokonać kroku, który odseparuje go od własnego ojca, od nauczycieli, każdy doświadczyć musi w pewnym stopniu ciężaru samotności, choć większość ludzi niezbyt wiele tego ciężaru unieść może i wkrótce znowu się poddaje. Z rodzicami

moimi i ich światem, tym „jasnym” światem mego pięknego dzieciństwa, nie rozstałem się w gwałtownej walce; powoli i niemal niepostrzeżenie oddalałem się od nich i stawałem im się obcy. Przykre mi to było, i podczas odwiedzin w domu przeżywałem często gorzkie chwile, lecz wszystko razem nie godziło mnie w samo serce i dawało się znieść.

Ale tam, gdzie nie z nawyku, lecz z najszczerzych własnych chęci przejawialiśmy miłość i szacunek, gdzie z głębi własnego serca stawaliśmy się uczniami lub przyjaciółmi — tam gorzka i straszliwa staje się chwila, w której nagle wydaje nam się, że dostrzegamy, jak rwący prąd w nas samych płynący, chce odwieść nas od ukochanej istoty. Wtedy każda myśl, odtrącająca przyjaciela czy nauczyciela, jadowitym kolcem zwraca się przeciw własnemu naszemu sercu, a każdy obronny cios trafia prosto we własną naszą twarz. Wtedy człowiekowi, który sądził, iż sam posiada powszechnie obowiązującą moralność, nazwy takie jak „niewierność” lub „niewdzięczność” wydają się haniebnymi okrzykami, wypalonymi piętnami, a przerażone, serce ucieka wtedy trwożnie do pięknych cnót dziecięcych, nie mogąc uwierzyć, że i ten przełom musi się dokonać, że i te więzy trzeba rozciąć.

I powoli, z czasem, jakieś uczucie we mnie poczęło protestować przeciwko tak absolutnemu uznawaniu mego przyjaciela Pistoriusa za przewodnika. Tym, co przeżyłem podczas najważniejszych miesięcy mojego młodzieńczego okresu była przyjaźń z nim, jego rada, jego pociecha, jego bliskość. Przez niego przemówił do mnie Bóg. Z jego ust powracały do mnie własne moje sny, wyjaśnione i wytłumaczone. On obdarzył mnie odwagą względem samego siebie. Ach, i oto czułem stopniowo narastające opory przeciwko niemu. W słowach jego słyszałem zbyt wiele pouczeń i miałem wrażenie, iż tylko po części mnie rozumie.

Nie było pomiędzy nami żadnej kłótni, żadnej sceny, żadnego zerwania, ani nawet żadnego obrachunku. Powiedziałem mu tylko jedno jedyne, w istocie absolutnie nieszkodliwe słowo — lecz była to właśnie owa chwila, w której pewne złudzenie rozsypało się pomiędzy nami na barwne okruchy.

Przecucie tej chwili dręczyło mnie już przez pewien czas, a stało się uczuciem wyraźnym w jedną z niedziel, w starej jego „jaskini mędrca”. Leżeliśmy na podłodze przed ogniem, on zaś mówił o misteriach i formach religii, które studiował, nad którymi rozmyślał i których przyszłe możliwości go interesowały. Mnie jednak wydało się to wszystko bardziej zajmujące jako teoria niż istotne dla życia, brzmiało mi jakoś uczenie, wydało mi się znużonym rozgrzebywaniem resztek dawnych światów. I nagle

poczułem wstręt do tego wszystkiego, do tego kultu mitologii i tego układania mozaiki z fragmentów tradycyjnych form religijnych.

— Pistorius — powiedziałem nagle, z jakąś mnie samego zaskakującą i niespodziewanie rozbudzoną złośliwością — powinien mi pan znowu opowiedzieć jakiś sen, taki prawdziwy sen, jaki się panu przyśnił w nocy. Bo to, co pan tu opowiada, jest takie jakieś... takie cholernie antykwaryczne!

Nigdy nie słyszał, żebym mówił coś podobnego, i ja sam w owej chwili pojąłem błyskawicznie z przerażeniem i wstydem, iż strzała, jaką w niego wypuściłem i która trafiła go prosto w serce, pochodziła z własnej jego zbrojowni, że wyrzuty, jakie sam niekiedy robił sobie ironicznym tonem, odrzucałem mu oto w złośliwie zaostrojonej postaci.

Wyczuł to natychmiast i zaraz umilkł. Spojrzałem na niego z lękiem i zobaczyłem, że straszliwie zbladł.

Po ciężkiej długiej pauzie dołożył nowe polana do ognia i powiedział cicho:

— Ma pan absolutną rację, Sinclair. Mądry z pana gość. I oszczędzę panu tych antykwarycznych wywodów.

Mówił bardzo spokojnie, lecz dostrzegłem, jak boleśnie został urażony. Cóż ja narobiłem!

Byłem bliski łez, chciałem serdecznie się do niego zwrócić, prosić go o przebaczenie, zapewnić o moim przywiązaniu i żywej wdzięczności. Przychodziły mi na myśl wzruszające słowa — lecz wypowiedzieć ich nie mogłem. Leżałem nadal, patrzyłem w ogień i milczałem. A on też milczał i tak leżeliśmy obaj, aż ogień przygasł, zapadał się i czułem, że z każdym z owych nienasyconych płomieni spopiela się i ulatuje coś bardzo pięknego i osobistego, co już nigdy powrócić nie zdoła.

— Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał — powiedziałem w końcu bardzo przygnębiony, oschłym, schrypniętym głosem. Głupie te i bezsensowne słowa przeszły mi przez usta machinalnie, tak jak gdybym wyczytał je z jakiegoś odcinka powieści drukowanej w gazecie.

— Rozumiem pana doskonale — powiedział cicho Pistorius. — Pan przecież ma rację. — Zaczekał. A potem wolno mówił dalej: — O tyle, oczywiście, o ile człowiek może mieć rację względem innego człowieka.

„Nie, nie — wołało coś we mnie — nie mam racji!” — ale powiedzieć nie mogłem nic. Wiedziałem, że tym moim jednym, niewielkim słówkiem zwróciłem mu uwagę na największą jego słabość, na mankament jego i ranę. Dotknąłem punktu, w którym on

sam musiał sobie nie ufać. Ideał jego był „antykwaryczny”, był on poszukiwaczem wstecz, był romantykiem. I nagle poczułem głęboko: tym właśnie, czym był Pistorius dla mnie i co mnie dał — nie mógł być dla siebie samego i nie mógł tego dać sobie. Poprowadził mnie drogą, która i jego, przewodnika, musiała przejść i opuścić.

Bóg wie, skąd biorą się takie słowa! Nic aż tak przykrego nie zamierzałem uczynić, nie miałem też przeczucia żadnej katastrofy. Wypowiedziałem coś, czego w chwili, gdy mówiłem, sam wcale sobie jeszcze nie uświadamiałem, uległem drobnej, trochę dowcipnej, a trochę złośliwej zachciance — i oto przekształciła się ona w los. Okazałem odrobinę bezmyślnej brutalności, a przekształciła się ona dla niego w sąd.

O, jak bardzo pragnąłem wówczas, żeby się rozgniewał, żeby się bronił, żeby zaczął na mnie krzyżeć! Ale nic takiego nie uczynił: wszystko to musiałem uczynić sam, w sobie. Uśmiechnąłby się, gdyby potrafił. A że nie potrafił — zrozumiałem, jak bardzo go dotknąłem. I z chwilą gdy Pistorius tak cicho przyjął ów cios ode mnie, od swego impertynenckiego i niewdzięcznego ucznia, z chwilą gdy milczał i przyznawał mi rację, z chwilą gdy uznał słowo moje za los, sprawił, że sam siebie znienawidziłem, uczynił nieroztropność moją tysiąckroć większą jeszcze. Uderzając sądziłem bowiem, że trafiam człowieka silnego i zdolnego do obrony — a oto był przede mną człowiek cichy, znoszący ciosy cierpliwie, bezbronny i poddający się w milczeniu.

Długo tak leżeliśmy przed przygasającym ogniem, w którym każdy żarzący się kształt i każda rozsypująca się grudka, popiołu budziły w mej pamięci wspomnienia pięknych, szczęśliwych i bogatych chwil, czyniąc dług mego zobowiązania względem Pistoriusa coraz większym i większym. Wstałem i odszedłem. Długo stałem przed jego drzwiami, długo na ciemnych schodach, długo czekałem jeszcze na ulicy, przed domem, czy może się pojawi, czy pójdzie za mną. Potem ruszyłem dalej i całymi godzinami wędrowałem jeszcze przez miasto i przedmieścia, park i las, aż do wieczora. I wówczas po raz pierwszy poczułem na swoim czole piętno Kaina.

Stopniowo dopiero jąłem się zastanawiać. Myśli moje zmierzały wszystkie do oskarżenia mnie i obrony Pistoriusa. Lecz wszystkie skończyły się czymś wręcz przeciwnym. Tysiąckroć gotów byłem żałować tego pospiesznie wypowiedzianego słowa i cofnąć je — lecz było ono jednak prawdą. Teraz dopiero udało mi się zrozumieć Pistoriusa, zrekonstruować sobie cały tok jego marzeń. Marzenia te polegały na tym, aby zostać kapłanem, głosić nową religię, dać nowe formy duchowego uniesienia, miłości i adoracji, ustalić nowe symbole. Lecz nie taka była jego siła, nie takie jego zadanie. Zbyt zadomowił się w tym, co było niegdyś, zbyt dobrze

znał dawne czasy, zbyt wiele wiedział o Egipcie, o Indii, o Mitrze, o Abraxasie. Miłość jego związana była z obrazami, które ziemia już oglądała, a w głębi samego siebie wiedział przecież, iż Nowe musi być inne, musi wyrosnąć ze świeżej gleby, a nie czerpać ze starych zbiorów i bibliotek. Zadanie jego polegało może i na tym, żeby ludziom pomagać w odnalezieniu samych siebie, tak jak uczynił ze mną. Lecz dać im rzecz niesłychaną, nowych bogów — nie było jego zadaniem.

I tutaj nagle przeniknęła mnie jak ostry płomień świadomość: Każdy ma jakieś „zadanie”, nikt jednak nie może sam go dla siebie wybrać, opisać, i wypełniać według własnej woli. Błędem było, absolutnym błędem nowych bogów, pragnienie obdarzenia świata czymkolwiek! Żaden, żaden, żaden obowiązek nie istniał dla ludzi przebudzonych, prócz tego jednego: szukać samego siebie, w sobie się umocnić, po omacku szukać własnej drogi naprzód, niezależnie od tego, dokąd ona wiedzie. Wstrząsnęło to mną głęboko i było dla mnie owocem owego przeżycia. Często igrałem z obrazami przyszłości, marzyłem o rolach, jakie można by mi było przyznać jako poecie lub może prorokowi, lub malarzowi, albo komuś innemu jeszcze. A wszystko to było niczym. Nie żyłem po to, aby układać wiersze czy wygłaszać kazania, czy malować, ani ja, ani żaden inny człowiek nie po to istniał. Wszystko to było jedynie uboczne. A prawdziwe powołanie każdego polegało na jednym tylko: na odnalezieniu samego siebie. I skończyć mógł jako poeta lub wariat, jako prorok lub zbrodniarz — nie jego to była sprawa i w końcu pozbawiona znaczenia. Jego sprawą było znaleźć własny los — nie byle jaki — i przeżyć go w pełni, całkowicie, bez załamania. Cała zaś reszta była połowiczna jedynie, była próbą ucieczki, była nawrotem do ideałów mas, adaptacją i lękiem przed własnym wnętrzem. Straszliwy i święty wynurzył się przede mną ów nowy obraz, przeczuwany po stokroć, często też może już wypowiedany, lecz teraz dopiero przeżyty. Byłem pociskiem natury, rzuconym na los szczęścia, może ku temu, co nowe, może ku nicości, a wyłącznym zadaniem moim było ukształtowanie biegu tego pocisku, z czeluści bytu, odczucie w sobie jego woli i całkowite uczynienie jej wolą własną. I tylko to!

Zakosztowałem już wiele samotności. Teraz przeczułem, że istnieje samotność głębsza jeszcze i że jest ona nieuchronna.

Nie podjąłem żadnej próby pogodzenia się z Pistoriusem. Pozostaliśmy przyjaciółmi, lecz nasz wzajemny stosunek się zmienił. Raz jeden tylko rozmawialiśmy na ten temat, czy też raczej on to uczynił. Powiedział: — Wie pan, że pragnę zostać kapłanem. Chciałem najbardziej stać się kapłanem nowej religii, na temat



której różne miewamy przeczucia. Lecz nigdy nie będę mógł nim zostać; wiem i wiedziałem o tym już od dawna, nie przyznając się całkowicie nawet przed sobą. Będę więc oddawał innego rodzaju usługi kapłańskie, może na organach, może jeszcze inaczej. Ale zawsze musi otaczać mnie coś, co uważam za piękne i święte: muzyka organowa i misteria, symbole i mity, potrzebuję tego, nie chcę się tego wyrzec. To moja słabość. Bo wiem czasami, Sinclairze, wiem i teraz, że nie powinienem mieć takich pragnień, że to luksus i dowód słabości. Lepiej i słuszniej byłoby, gdybym po prostu cały poddał się losowi, bez żadnych wymagań. Ale na to zdobyć się nie mogę, to jedyna rzecz, jakiej nie potrafię uczynić. Może pan będzie umiał tego kiedyś dokonać. To trudne, to doprawdy jedyna trudna rzecz, jaka istnieje, chłopcze. Często o tym marzyłem, ale nie mogę, wzdragam się przed tym: nie mogę stać tak całkowicie nagi i osamotniony, ja też jestem jedynie biednym, słabym psiskiem, które potrzebuje nieco ciepła i żarcia, a czasami bliskości sobie podobnych. Ten zaś, kto doprawdy nic więcej nie chce, prócz własnego losu, nie ma już sobie podobnych, stoi całkowicie sam i otoczony jest jedynie zimną, kosmiczną przestrzenią. Wie pan, taki był Jezus w ogrodzie Getsemani. Istnieli męczennicy, którzy chętnie godzili się na to, aby przybijano ich do krzyża, ale i oni nie byli bohaterami, nie byli wyzwoleni, chcieli także czegoś, co było im miłe, bliskie, znane, mieli swoje wzory, mieli ideały. Ten zaś, kto chce tylko losu, nie ma już ani wzorów, ani ideałów, nic co by kochał, co by go pocieszyło! I tą drogą należało by właśnie pójść. Ludzie tacy jak pan i ja są w zasadzie bardzo samotni, ale my mamy jeszcze siebie nawzajem i tajemną satysfakcję, że jesteśmy inni, zbuntowani, że chcemy czegoś niezwykłego. A to także musi zaniknąć, jeśli chce się do końca iść tamtą drogą. Taki człowiek nie może też chcieć zostać rewolucjonistą, ani przykładem, ani męczennikiem. To nie do pomyślenia...

Nie, to było rzeczywiście nie do pomyślenia. Lecz nadawało się do marzeń, do przeczuć, do emocjonalnych przeżyć. Kilkakrotnie czułem coś podobnego, gdy znajdowałem chwilę pełną ciszy. Wtedy spoglądałem w siebie i zaglądałem obrazowi własnego losu w jego otwarte, nieruchome oczy. Mogły one być pełne mądrości albo pełne szaleństwa, mogły promieniować miłością lub głęboką złośliwością — wszystko jedno. Nic z tego nie było można wybrać, nic nie wolno było chcieć. Można było chcieć jedynie siebie, jedynie własnego losu. I pod tym względem jeszcze przez pewien czas posłużył mi Pistorius jako przewodnik na mojej drodze.

W owych dniach biegałem po świecie jak ślepiec. Burza szalała we mnie, każdy krok groził niebezpieczeństwem. Nie widziałem przed sobą nic prócz bezdennej

ciemności, ku której biegły wszystkie dotychczasowe drogi i które w nią wpadały. A we własnym wnętrzu widziałem obraz przewodnika, podobnego do Demiana, w oczach którego wypisany był mój los.

Napisałem na papierze: „Przewodnik mnie opuścił. Stoję w absolutnej ciemności. Nie mogę ani kroku uczynić sam. Pomóż mi!”

Chciałem to posłać Demianowi. Lecz zaniechałem tej myśli: za każdym razem, gdy już miałem zamiar to uczynić, wydawało mi się to niezręczne i bezsensowne. Umiałem jednak tę niewielką modlitwę na pamięć i często ją sobie powtarzałem. Towarzyszyła mi o każdej porze. I zacząłem pojmować, czym jest modlitwa.

Okres mego pobytu w szkole skończył się. Miałem podczas wakacji odbyć podróż — tak sobie umyślił mój ojciec — a potem iść na uniwersytet. Na jaki wydział, tego jeszcze nie wiedziałem. Pozwolono mi przez jeden semestr uczęszczać na filozofię. Równie zadowolony czułbym się z wyboru innej dziedziny nauki.

*Pani Ewa*

Podczas wakacji poszedłem raz do domu, w którym przed laty mieszkał Maks Demian ze swoją matką. Jakaś stara kobieta spacerowała tam po ogrodzie, zagadnąłem ją i dowiedziałem się, że dom do niej należy. Zapytałem o rodzinę Demianów. Przypominała ją sobie dobrze. Nie wiedziała jednak, gdzie teraz mieszkają. Ponieważ wyczuła moje zainteresowanie, zabrała mnie ze sobą do domu, odszukała oprawiony w skórę album i pokazała mi fotografię matki Demiana. Ledwo ją sobie przypominałem. Lecz gdy spojrzałem na to małe zdjęcie, serce moje na chwilę przestało bić. To przecież był mój obraz ze snu! To była ona, ta wielka, niemal męska postać kobiety, podobnej do swego syna, w której splatały się cechy macierzyństwa, surowości i głębokiej namiętności, kobiety pięknej i pociągającej, pięknej i niedostępnej: demon i matka, los i kochanka. To była ona!

Cudem niewiarygodnym wydała mi się wiadomość, że ten mój obraz ze snu naprawdę żyje na ziemi! Istniała więc kobieta, która tak wygląda, nosząca cechy mojego losu! Gdzież ona była? Gdzie? A była to matka Demiana.

Wkrótce potem rozpocząłem moją podróż. Osobliwa to była podróż! Bez wytchnienia pędziłem z jednej miejscowości do drugiej, ulegając wszelkim pomysłom, nieustannie poszukując owej kobiety. Bywały dni, gdy spotykałem same takie postaci, które ją przypominały, o niej mówiły, do niej były podobne i które wiodły mnie przez ulice obcych miast, dworce, pociągi, niczym w splątanych jakichś snach. Bywały też dni inne, gdy pojmowałem, jak bezowocne są te moje poszukiwania; siadałem wtedy beczynnie w jakimś parku, ogrodzie hotelowym, dworcowej poczekalni, wpatrując się w siebie i usiłując ożywić w sobie ów obraz. Lecz stał się on teraz niewyraźny, ulotny. Nie mogłem sypiać, jedynie jadąc koleją, wśród nieznanym krajobrazów, potrafiłem drzemać chwilami. Pewnego razu, w Zurychu, jęła umizgać się do mnie jakaś kobieta: ładna, nieco wyzywająca. Ledwo na nią spojrzałem, zaraz poszedłem dalej, jakby była powietrzem, Gotów byłem raczej natychmiast umrzeć, niż obdarzyć zainteresowaniem jakąkolwiek inną kobietę — choćby przez godzinę.

Czułem, że wiedzie mnie mój los, czułem, że wypełnienie go jest już bliskie, szalejąc z niecierpliwości, że sam w żaden sposób nie mogę do niego się przyczynić.

Kiedyś znów na innym dworcu, chyba w Innsbrucku, zobaczyłem w oknie odjeżdżającego właśnie pociągu jakąś postać, która mi ją przypominała, i czułem się potem przez wiele dni nieszczęśliwy. I nagle postać ta zaczęła znów ukazywać mi się nieustannie nocą, we śnie: zbudziłem się z zawstydzającym uczuciem pustki i bezsensowności tego mojego polowania i pojechałem wprost do domu.

Kilka tygodni później zapisałem się na uniwersytet w H. Wszystko mnie rozczarowało. Wykłady z historii filozofii, których słuchałem, były równie konwencjonalne i pozbawione istotnej treści co zachowanie się studiujących młodzików. Wszystko było niesłychanie szablonowe, każdy robił to samo co inni, a gorączkowa niemal radość na tych chłopięcych twarzach wywierała przykre uczucie pustki i banału! Lecz byłem wolny, cały dzień miałem dla siebie, mieszkałem w pięknej i cichej okolicy, przy starych murach za miastem, a na stole moim leżało parę tomów Nietzchego. Nim żyłem, czułem samotność jego ducha i jego los, nieubłaganie zmuszający go do zdążania naprzód, cierpiałem wraz z nim i byłem szczęśliwy, że przecież istniał człowiek, który tak nieustępliwie kroczył własną drogą.

Późnym wieczorem wędrowałem kiedyś przez miasto w podmuchach jesiennego wiatru i słyszałem w gospodach śpiew studenckich korporacji. Z otwartych okien dobywały się kłęby tytoniowego dymu i dziarskie, donośne śpiewy, pozbawione jednak polotu, martwe i monotonne.

Przystanąłem na rogu ulicy i słuchałem: z dwóch knajp rozlegała się owa, tak punktualnie przejawiana pośród nocy, studencka wesołość. Wszędzie pospólność, wszędzie gromady, wszędzie próby pozbycia się ciężaru własnego losu i ucieczki w ciepłe poblizze stada!

Za mną przechodziło powoli dwóch mężczyzn. Usłyszałem fragment ich rozmowy.

— Czyż nie przypomina to absolutnie domu młodych mężczyzn w jakiejś murzyńskiej wiosce? — mówił jeden. — Wszystko się zgadza, nawet i tatuaż jeszcze modny. Widzi pan, to jest młoda Europa.

Głos ten wydawał mi się dziwny ostrzegawczy — znajomy. Ruszyłem śladem ich obu w ciemną ulicę. Jeden z nich był Japończykiem, drobnym i eleganckim, w świetle jakiejś latarni ujrzałem na chwilę jego żółtą, uśmiechniętą twarz.

Wtedy przemówił z kolei drugi:

— U was, w Japonii, też chyba nie lepiej. Ludzie, którzy nie biegną za stadem, wszędzie występują raczej rzadko. I tu jest takich paru.

Każde z tych słów przenikało mnie radosnym przerażeniem. Znałem tego, który je wypowiadał. Był to Demian.

Wśród wietrznej owej nocy szedłem za nim i za tym Japończykiem poprzez ciemne ulice, słuchałem ich rozmów i rozkoszowałem się dźwiękiem głosu Demiana. Zachował on dawne brzmienie, po dawnemu był piękny, pewny i spokojny, i miał nade mną władzę. Teraz już wszystko było dobrze. Odnalazłem go.

Przy końcu jakiejś uliczki na przedmieściu Japończyk pożegnał się i począł kluczem otwierać bramę domu. Demian wracał tą samą drogą, ja zaś zatrzymałem się i czekałem na niego pośrodku ulicy. Patrzyłem z biciem serca, jak zbliża się ku mnie, elastyczny, wyprostowany, w brązowym gumowym płaszczu, z cienką laseczką przewieszoną przez ramię. Podszedł, ani na chwilę nie zmieniając równego swojego kroku, tuż do mnie, zdjął kapelusz i ukazał mi dawną, jasną swoją twarz o zdecydowanym zarysie ust i dziwnie jaśniejącym, szerokim czole.

— Demian! — zawołałem.

Wyciągnął do mnie rękę:

— A więc jesteś, Sinclairze! Czekałem na ciebie.

— Wiedziałeś, że tu jestem?

— Dokładnie nie wiedziałem, lecz miałem nadzieję. Zobaczyłem cię dopiero dziś wieczór, cały czas szedłeś przecież za nami.

— Zaraz mnie więc poznałeś?

— Naturalnie. Zmieniłeś się wprawdzie. Ale masz przecież piętno.

— Piętno? Jakie piętno?

— Nazywaliśmy je przedtem piętnem Kaina, jeśli sobie jeszcze przypominasz. To nasz znak. Ty miałeś je zawsze i dlatego zostałem twoim przyjacielem. Ale teraz stało się ono wyraźniejsze.

— Nie wiedziałem. Choć właściwie... — chyba wiedziałem. Pewnego razu namalowałem twój portret, Demianie, i byłem zdumiony, że wykazuje on także podobieństwo ze mną. Czy to było owo piętno?

— Tak. I dobrze, że wreszcie jesteś! Matka moja również się ucieszy.

Przeraziłem się.

— Twoja matka? Czy ona tu jest? Wcale mnie przecież nie zna.

— O, ale wie o tobie. I pozna cię, nawet jeśli nie powiem jej, kim jesteś. Długo nie dawałeś o sobie znać.

— Och, często chciałem do ciebie napisać, ale nie mogłem. Od pewnego czasu

miałem przecucie, że wkrótce cię spotkam. Co dzień na to czekałem.

Wziął mnie pod ramię i poszliśmy dalej razem. Promieniował od niego spokój, który we mnie przenikał. Rozgadaliśmy się wkrótce tak jak dawniej. Wspominaliśmy szkolne czasy, lekcje religii przed konfirmacją, a także owo nieszczęsne spotkanie wówczas, podczas wakacji — jedynie o najwcześniejszym i najściślejszym pomiędzy nami kontakcie, o historii z Franzem Kromerem, i teraz także nie było mowy.

Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w trakcie osobliwej i pełnej przeczuć dyskusji. Nawiązując do rozmowy Demiana z owym Japończykiem mówiliśmy bowiem o życiu studenckim, przechodząc z kolei do innego tematu, który zdawał się bardzo od poprzedniego odległy, choć w słowach Demiana nabierał ścisłego z nim związku.

Mówił on o duchu Europy i cechach naszej epoki. Wszędzie — twierdził — panuje zbiorowość i tworzą się stada, nigdzie jednak nie ma swobody, ani miłości. I wszelkie rodzaje tej wspólnoty, od korporacji studenckich i związków śpiewaczych, aż po struktury państw, są tworem powstałymi z przymusu, wspólnotą zrodzoną z lęku, ze strachu, z trudnych sytuacji, we wnętrzu swoim przestarzałą już, przegniłą i bliską upadku.

— Wspólnota — mówił Demian — to piękna rzecz. Lecz wszystko, co wokół nas rozkwita, wcale wspólnotą nie jest. Powstanie ona na nowo z wzajemnej wiedzy o sobie jednostek i zdoła wtedy na chwilę przekształcić świat. Wszystko bowiem, co teraz istnieje jako wspólnota, jest tylko tworzeniem stada. Ludzie garną się ku sobie, ponieważ wzajemnie siebie się obawiają — osobno panowie, osobno robotnicy i osobno uczeni! A dlaczego się obawiają? Człowiek lęka się jedynie wtedy, gdy sam ze sobą nie żyje w zgodzie. Oni się boją, ponieważ nigdy nie opowiedzieli się za sobą, do siebie nie przyznali. Wspólnota, złożona z samych takich ludzi, którzy boją się tego, co w nich im nieznanne! Czują wszyscy, że granice ich życia już są niewłaściwe, że żyją według dawnych przykazań, ale ani ich religie, ani ich moralność nie odpowiadają już temu, czego nam potrzeba. Europa przez sto, a nawet więcej lat, wyłącznie tylko studiowała i budowała fabryki! I oni teraz wiedzą dokładnie, ile gramów prochu potrzeba na to, żeby zabić człowieka, ale nie wiedzą, jak modlić się należy do Boga, nie wiedzą nawet, jak można przez godzinę wesoło się bawić. Przyjrzyj się choćby takiej studenckiej knajpie! Albo nawet wypoczynkowej jakiejś miejscowości, gdzie przyjeżdżają bogaci ludzie! Beznadziejne! Sinclairze kochany, nic wesołego z tego wyniknąć nie może. Ci ludzie, którzy tak bojaźliwie skupiają się w stada, pełni są strachu i pełni złości, żaden z nich nie ufa drugiemu. Przywiązani są do ideałów, które

dawno już nimi być przestały, ale kamienują każdego, kto ukaże nowy ideał. Czuję, że nastąpią tu jakieś starcia. I nastąpią, wierz mi, nastąpią niedługo! Oczywiście nie „ulepszą” one świata. Bo niezależnie od tego, czy robotnicy wymordują swoich fabrykantów, czy też Rosjanie i Niemcy zaczną nawzajem do siebie strzelać, dokona się jedynie wymiana właścicieli. Ale bez rezultatów jednak to nie pozostanie. Ujawni się bowiem wówczas nicość dzisiejszych ideałów, zrobi się wreszcie porządek z tymi bożkami z czasów epoki kamiennej. Ten świat, taki, jaki istnieje obecnie, pragnie umrzeć, zginąć, i zginie.

— A co się przy tym stanie z nami? — zapytałem.

— Z nami? O, może i my wtedy zginiemy. I zabić każdego z nas także można. Tylko że w ten sposób nas się nie pozbędą. I wokół tego, co z nas pozostanie, czy wokół tych spośród nas, którzy to przeżyją skupi się cała wola przyszłości. Objawi się wola ludzkości, którą nasza Europa przez pewien czas zakrzykiwała tym swoim jarmarkiem nauki i techniki. I wtedy okaże się, że owa wola ludzkości nigdy i nigdzie nie jest zgodna z obecnymi wspólnotami państw i narodów, kościołów i zrzeczeń. I okaże się wtedy, że zamiary natury względem człowieka wypisane są w jednostkach, w ludziach poszczególnych, w tobie i we mnie. Istniały one w Jezusie, istniały w Nietzchem. I dla tych, jedynie istotnych, prądów, które oczywiście z każdym dniem przedstawiać się mogą inaczej, znajdzie się miejsce wtedy, gdy runą obecne wspólnoty.

Późną nocą zatrzymaliśmy się przy jakimś ogrodzie nad rzeką.

— Tu mieszkamy — powiedział Demian. — Wpadnij do nas niedługo. Bardzo będziemy na ciebie czekać.

Radośnie ruszyłem wśród chłodu nocy w daleką drogę do własnego mieszkania. Tu i ówdzie hałasowali i zataczali się jeszcze na mieście studenci. Często odczuwałem kontrast pomiędzy ich śmiesznym sposobem przejawiania wesołości i własnym, samotnym życiem, niekiedy z poczuciem pewnego niedosytu, niekiedy także z poczuciem ironii. Lecz nigdy dotąd jeszcze nie czułem tak mocno, pełen spokoju i utajonej siły, jak mało mnie to wszystko obchodzi, jak odległy i obcy jest dla mnie cały ów świat. Przypomniałem sobie paru urzędników z rodzinnego mojego miasta, którzy ze czcią wspominali o studenckich swoich pijatykach niczym o reliktach rajskiej szczęśliwości i takim kultem otaczali utraconą już „wolność” swych młodych lat, jakim zazwyczaj tylko poeci czy inni romantycy otaczają lata dzieciństwa. Wszędzie to samo! Wszędzie szukali ludzie „wolności” oraz „szczęścia” gdzieś poza sobą, wyłącznie ze

strachu, że przypomną im o własnej ich odpowiedzialności, o własnej ich drodze. Przez parę lat piło się więc i hulało, a potem nadchodził czas wmieszania się w cizbę ludzką i przekształcenia w poważnego urzędnika w służbie państwowej. Tak, zgniłe, przegniłe było u nas wszystko, a te głupie, studenckie hulanki były mniej głupie i mniej szkodliwe od setek innych.

Gdy jednak dotarłem do dalekiego mego mieszkania i znalazłem się we własnym łóżku, wszystkie te myśli ulotniły się, a ja cały skoncentrowałem się na wielkiej obietnicy, jaką mi przyniósł ten dzień. Gdy tylko zechcę, jutro już będę mógł zobaczyć matkę Demiana. Niech tam sobie studenci nadal odprawiają swoje pijatyki i szramami ozdabiają twarze, niech sobie świat będzie zgniły i czeka własnej zagłady — cóż mnie to obchodzi! Czekałem jedynie na chwilę, w której los mój ujawni się w nowej postaci.

Spałem mocno do późnego ranka. Nowy dzień rozpoczął się dla mnie jako święto tak uroczyste, jakiego nie przeżywałem już od dni Bożego Narodzenia za moich lat chłopięcych. Pełen byłem głębokiego wewnętrznego niepokoju, lecz nie czułem ani odrobiny strachu. Wierzyłem, że rozpoczyna się oto ważny dla mnie dzień, świat dokoła wydawał mi się przeistoczony, wyczekujący, uroczysty i pełen obietnic, i nawet cicho szemrzący jesienny deszcz był piękny, łagodny, odświętny, pełen poważnej a pogodnej muzyki. Po raz pierwszy świat zewnętrzny łączył się w czystej harmonii z wewnętrznym moim światem — a taki dzień jest świętem duszy, w taki dzień do-  
prawdy warto żyć. Na ulicy nie przeszkadzał mi żaden dom, żadna twarz, żadna wystawa, wszystko było właśnie takie, jak być powinno, nie miało jednak nijakiego oblicza dni powszednich i zwyczajnych, lecz stanowiło naturę pełną oczekiwania i z szacunkiem gotową na przyjęcie losu. Tak właśnie widziałem świat jako mały chłopiec w poranki wielkich świąt, Gwiazdki lub Wielkanocy. Nie wiedziałem, że świat ten potrafi być jeszcze taki piękny. Przywykłem do wewnętrznego jedynie, własnego życia i pogodziłem się już z tą myślą, że utraciłem w istocie zdolność odczuwania życia zewnętrznego, że utrata tych połyskliwych barw łączy się nieuchronnie z utratą dzieciństwa, a swobodę i męską dojrzałość własnej duszy okupić trzeba niejako rezygnacją z owych blasków i uroków. Lecz teraz stwierdzałem z zachwytem, iż wszystko to było jedynie przez pewien czas przytłoczone i przyciemnione, że można oto jako wyzwolony i rezygnujący z dziecięcego szczęścia oglądać promienny świat i przeżywać jeszcze raz wzruszenia lat dziecięcych.

Nadeszła godzina, gdy odnalazłem ów ogród na przedmieściu, przy którym



pożegnałem się ostatniej nocy z Maksem Demianem. Ukryty za wysokimi, szarymi od deszczu drzewami stał tam mały, jasny i miły domek: za wielką, oszkloną ścianą rosły wysokie, kwitnące rośliny, przez połyskujące szyby widać było ciemne ściany pokoju, obrazy i rzędy książek na półkach. Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do niewielkiego, ogrzanego hallu, stara, milcząca służąca w czarnej sukni i białym fartuchu wprowadziła mnie i odebrała ode mnie płaszcz.

Zostawiła mnie w hallu samego. Obejrzałem się i natychmiast powrócił dawny mój sen. U góry, na ciemnej boazerii, nad drzwiami, wisiał pod szkłem, w czarnych ramach dobrze mi znany obraz: mój ptak o złocisto-żółtej głowie krogulca, wydobywający się ze skorupy kuli ziemskiej. Przystanąłem przejęty; tak radośnie i tęskno było mi na sercu, jakby w tej chwili powracało do mnie wszystko, cokolwiek kiedy czyniłem czy przeżyłem — jako odpowiedź, jako spełnienie. Błyskawicznie pojawiło się mnóstwo obrazów przed oczami mojej duszy: dom rodzinny ze starym, kamiennym herbem nad łukiem bramy, chłopiec-Demian rysujący ów herb, ja sam jako chłopiec pełen lęku, uwikłany w złe konszachty z wrogiem moim, Kromerem, a potem ja jako młodzieniec, w uczniowskim moim pokoiku, malujący w ciszy, przy stole, tego ptaka mojej tęsknoty, gdy dusza moja wplątana była we własne sieci — wszystko, wszystko co wydarzyło się do tej chwili odezwało się teraz we mnie znowu, uzyskało aprobatę, odpowiedź, potwierdzenie.

Zwilgotniałymi oczami wpatrywałem się w ów obraz i czytałem jednocześnie w sobie. Lecz oto wzrok mój przesunął się niżej: pod obrazem ptaka, w otwartych drzwiach stała wysoka kobieta w ciemnej sukni. To była ona.

Nie mogłem powiedzieć ani słowa. Na twarzy tej kobiety, która podobnie jak twarz jej syna zdawała się pozbawiona wpływów wieku i czasu, pełnej uduchowionej woli, pięknej, pełnej także godności, pojawił się uśmiech, którym mnie życzliwie powitała. Spojrzenie jej było spełnieniem, jej powitanie — powrotem do domu. W milczeniu wyciągnąłem ku niej obie ręce. Schwyciła je obie swymi mocnymi, ciepłymi dłońmi.

— Pan jest Sinclair. Zaraz pana poznałam. Witam pana.

Głos miała głęboki, ciepły, piłem go jak słodkie wino. A teraz podniosłem wzrok i spojrzałem na jej łagodną twarz, w jej czarne, niezgłębione oczy, na jej świeże, dojrzałe usta i swobodne, królewskie czoło, noszące piętno.

— Jakże się cieszę! — powiedziałem, całując jej ręce. — Mam wrażenie, że przez całe życie nieustannie byłem w drodze, a teraz oto wróciłem do domu.

Uśmiechnęła się macierzyńsko:

— Do domu nie wraca się nigdy — powiedziała zyczliwie. — Ale tam, gdzie zbiegają się przyjazne drogi, cały świat przez chwilę wydaje się domem.

Wypowiedziała to właśnie, co czułem, idąc do niej. Głos jej, a nawet słowa podobne były bardzo do słów i głosu syna, a jednak całkiem inne. Wszystko było dojrzałe, cieplejsze, bardziej oczywiste. Lecz podobnie jak przed laty Maks na nikim nie sprawiał wrażenia chłopca, tak też i jego matka wcale nie wyglądała na matkę dorosłego już syna, tak młoda i pełna wdzięku była jej twarz, włosy, tak napięta, bez śladu zmarszczek jej złocista skóra, tak kwitnące jej usta. Bardziej jeszcze królewska niż w moim śnie, stała teraz przede mną, a bliskość jej była miłosnym szczęściem, spojrzenie jej oczu — spełnieniem.

Taka oto była nowa postać, w jakiej objawił mi się mój los, nie surowy i nie skazujący już na samotność, lecz pełen radości! Nie podejmowałem żadnych decyzji, nie składałem żadnego ślubowania — dotarłem do celu, do wyżyny na mojej drodze, skąd widać było drogę dalszą, rozległą i wspaniałą, ku ziemiom obiecany zmierzającą, osłoniętą cieniem bliskiego szczęścia, ochłodzoną pobliżem ogrodów wszelkiej rozkoszy. Wszystko jedno, co dalej mnie spotkać miało: byłem szczęśliwy świadomością, że ta kobieta doprawdy istnieje na świecie, że chłonę jej głos i oddycham jej bliskością. Niechby stała się dla mnie matką, kochanką, boginią — byleby tylko istniała! Byle tylko droga moja bliska była jej drogi!

Wskazała wzwyż, na malowany przeze mnie obraz krogulca.

— Nigdy nie sprawił pan większej radości naszemu Maksowi niż tym obrazem — powiedziała w zamyśleniu. — I mnie również. Czekaliśmy na pana, a gdy przyszedł ten obraz, wiedzieliśmy, że jest pan już w drodze do nas. Gdy był pan jeszcze małym chłopcem, Sinclairze, syn mój przyszedł pewnego dnia ze szkoły i powiedział: „Jest tam u nas jeden chłopak, który ma piętno na czole, on musi zostać moim przyjacielem”. I to był pan. Nielatwo panu było, ale oboje ufaliśmy panu. A pewnego razu, gdy przyjechał pan na wakacje do domu, spotkał się pan znowu z Maksem. Miał pan wtedy szesnaście lat. Maks opowiadał mi o tym...

— O, że też opowiedział pani i o tym! — przerwałem. — Był to najgorszy mój okres!

— Tak. Maks powiedział mi: „Teraz ma Sinclair najtrudniejszy okres przed sobą. Raz jeszcze podejmuje próbę ucieczki we wspólnotę, stał się nawet kompanem pijackich zabaw, ale to mu się nie uda. Piętno jego jest przysłonięte, lecz pali go

potajemnie." Czy tak było?

— O, tak, właśnie, dokładnie tak było. A potem znalazłem Beatrice, a potem wreszcie znów przyszedł do mnie przewodnik. Nazywał się Pistorius. I wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego chłopięce moje lata tak mocno związane były z Maksem, dlaczego nie mogłem się od niego oderwać. Droga pani, droga matko, często wydawało mi się wówczas, że muszę odebrać sobie życie. Czyż ta droga jest dla każdego taka trudna?

Ruchem ręki lekkim jak powietrze przesunęła po moich włosach:

— Narodzić się jest zawsze trudno. Wie pan, że ptak z wysiłkiem musi dobywać się z jajka. Niechże się pan cofnie myślami i zada sobie pytanie: czy istotnie ta droga była taka trudna? Tylko trudna? Czy nie była także i piękna? Czy znalazłby pan inną, piękniejszą i łatwiejszą?

Potrząsnąłem głową.

— Była trudna — powiedziałem w zamyśleniu — była trudna aż do chwili, w której pojawił się sen.

Skinęła i spojrzała na mnie przenikliwie.

— Tak, trzeba znaleźć swój sen, wtedy droga staje się łatwa. Ale nie istnieją sny trwające stale, każdy zostaje zastąpiony nowym, a żadnego nie trzeba chcieć zatrzymywać.

Przeraziłem się głęboko. Czyż było to już ostrzeżenie? Już obrona? Ach, wszystko jedno, gotów byłem, mimo wszystko, dać się jej prowadzić i nie pytać o cel.

— Nie wiem — odparłem — jak długo trwać ma ten mój sen. Pragnąłbym, aby trwał wiecznie. Pod obrazem ptaka przyjął mnie mój los: jak matka i jak kochanka. I do niego należę, a więcej do nikogo.

— Dopóki ów sen jest pańskim losem, powinien mu pan pozostać wierny — potwierdziła z powagą.

Przeniknął mnie smutek i gorące życzenie, aby móc umrzeć w tej właśnie, zaczarowanej chwili. Poczułem łzy — jakże nieskończenie długo już nie płakałem! — niepowstrzymanie we mnie wzbierające, obezwładniające mnie. Odwróciłem się od niej gwałtownie, podszedłem do okna i ośleplonymi oczami usiłowałem patrzeć na kwiaty rosnące tam w doniczkach.

Usłyszałem za sobą jej głos, opanowany w brzmieniu, a przecież przepiękny czułością niby kielich po brzegi nalany winem.

— Dziecko z pana, Sinclair! Los pański kocha przecież pana. I kiedyś będzie do

pana należeć całkowicie, tak jak sobie pan to wyśnił, jeśli pozostanie mu pan wierny.

Opanowałem się wreszcie i znowu odwróciłem się twarzą do niej. Podała mi rękę.

— Mam paru przyjaciół — powiedziała z uśmiechem — kilku bardzo nielicznych, bardzo bliskich przyjaciół, którzy mówią do mnie „pani Ewo”. I pan może mnie tak nazywać, jeśli pan chce.

Podprowadziła mnie do drzwi, otworzyła je i wskazała na ogród:

— Znajdzie pan Maksa tam dalej.

Stałem pod wysokimi drzewami oszołomiony i wstrząśnięty, bardziej czuwający czy też bardziej niż kiedykolwiek we snach pogrążony — tego już nie wiedziałem. Krople deszczu spokojnie kapały z gałęzi. Poszedłem z wolna w głąb ogrodu, rozciągającego się daleko wzdłuż brzegu rzeki. W końcu znalazłem Demiana. Stał, rozebrany do pasa, w głębi otwartego ogrodowego pawilonu i ćwiczył boks na wiszącym worku z piaskiem.

Zatrzymałem się zdumiony. Demian wyglądał wspaniale: szeroka pierś, mocna męska głowa, silne i wydatne ramiona o napiętych mięśniach; ruchy jego bioder, pleców, stawów łokciowych były płynne jak rzeka.

— Demian — zawołałem. — Co ty tam robisz?

Zaśmiał się wesoło:

— Ćwiczę. Przyrzekłem temu małemu Japończykowi, że stoczę z nim walkę, a to chłop zwinny jak kot i, oczywiście, równie podstępny. Ale mnie nie da rady. To takie malutkie upokorzenie, jakie mu chcę zaaplikować.

Włożył koszulę i marynarkę.

— Byłeś już u mojej matki? — zapytał.

— Tak. Jakąż ty masz wspaniałą matkę, Demianie! Pani Ewa! To imię pasuje do niej doskonale, wydaje się jakby matką wszelkich stworzeń.

Przyglądał mi się chwilę w zadumie.

— Znasz już jej imię? To możesz być dumny, chłopcze! Jesteś pierwszy, któremu je powiedziała już w pierwszej chwili.

Od owego dnia utrzymywałem stały kontakt z tym domem, jak syn, jak brat, lecz także jak kochanek. Z chwilą, gdy zamykała się za mną furтка, a nawet gdy już z daleka dostrzegałem wysokie drzewa w ogrodzie, czułem się bogaty i szczęśliwy. Na zewnątrz istniała „rzeczywistość”, na zewnątrz znajdowały się ulice i domy, ludzie i urzędnicy, biblioteki i sale wykładowe — tu jednak, wewnątrz, istniała miłość i dusza, tu żyła baśń i sen. A mimo to nie żyliśmy wcale odseparowani od świata, w

myślach i rozmowach naszych znajdowaliśmy się często w samym centrum wydarzeń, tyle tylko, że na innym polu, oddzieleni od większości ludzi nie granicami, lecz tylko innym sposobem widzenia. Zadanie nasze polegało na tym, aby świat ukazać jako wyspę, może jako wzór, w każdym razie jednak jako zapowiedź innej możliwości życia. Nauczyłem się, ja, człowiek od tak dawna samotny, cieszyć wspólnotą, która możliwa jest pomiędzy ludźmi, którzy zakosztowali już samotności absolutnej. Nigdy też nie pragnąłem już powrócić do stołów tamtych szczęśliwców, do zabaw tamtych weselników, nigdy nie doznawałem uczuć zazdrości lub tęsknoty, gdy widziałem wspólnoty innych. I stopniowo wciągałem się w tajemnicę tych, którzy nosili na sobie „piętno”.

My, napiętnowani, słusznie mogliśmy uchodzić w oczach świata za dziwaków, a nawet szaleńców i ludzi niebezpiecznych. Byliśmy obudzeni, czy też budzący się, a dążyliśmy do coraz bardziej doskonałego przebudzenia, podczas gdy dążenia i poszukiwanie szczęścia innych zmierzały ku temu, aby przekonania ich, ideały, obowiązki, życie i szczęście coraz ciaśniej powiązać z życiem stada. Oni także przejawiali dążenia, także mieli wielkość swoją i siłę. Lecz z chwilą gdy my – jak sądziliśmy – przejawialiśmy dążenie natury do jednostkowości, do przyszłości, tamci żyli wolą przetrwania. Dla nich ludzkość – którą tak jak i my kochali – była czymś już gotowym, co trzeba jedynie zachować i ochraniać. Dla nas ludzkość była daleką przyszłością, ku której dążyliśmy wszyscy, której obrazu nie znał nikt, której prawa nigdzie nie były zapisane.

Poza panią Ewą, Maksem i mną należało do naszego grona jeszcze sporo – bliższych lub dalszych – „poszukujących”, nader różnego rodzaju. Niektórzy z nich kroczyli osobliwymi ścieżkami, wytknęli sobie specjalne cele, przywiązani byli do specyficznych poglądów czy obowiązków; znajdowali się pośród nich astrologowie i kabaliści, nawet jakiś zwolennik Tołstoja, różni ludzie nieśmiali, urażliwi, zwolennicy nowych sekt, wykonawcy ćwiczeń hinduskich, jarosze i inni. W istocie nic nas duchowo z nimi wszystkimi nie łączyło prócz szacunku, jaki każdy okazywał tajemnym snom innego o życiu. Niektórzy jednak byli bliżsi nas, ci mianowicie, którzy śledzili poszukiwania przez ludzkość nowych bogów i nowych pragnień czy marzeń w przeszłości, a których studia często przypominały mi mojego Pistoriusa. Przynosili ze sobą książki, tłumaczyli dla nas teksty ze starych języków, pokazywali nam wizerunki starych symboli i rytów, uczyli nas dostrzegać, jak cała zdobycz dotychczasowej ludzkości składa się z ideałów, wywodzących się ze snów i marzeń nieświadomej

duszy, w których ludzkość po omacku, wierząc jedynie swym przecuciom, szukała przyszych dla siebie możliwości. Tak przebiegliśmy przez cudowny, tysiącglowy labirynt bóstw i bogów starożytnego świata, aż po zarysowujące się granice chrystianizmu. Poznaliśmy wyznania świętych samotników i przemiany wszelkich religii w poszczególnych narodach. A ze wszystkiego, co uzbieraliśmy, wynikała dla nas krytyka naszej epoki i obecnej Europy, która z niesłychanym wysiłkiem stworzyła ludzkość nową i potężną broń, w końcu jednak popadła w głęboką, a ostatnio wręcz tragiczną duchową pustkę. Zyskała bowiem cały świat, lecz zatraciła wskutek tego swoją duszę.

I tu także istnieli wierzący i wyznawcy pewnych określonych nadziei czy nauk o zbawieniu. Istnieli buddyści, pragnący nawrócić Europę, uczniowie Tołstoja i adherenci innych wyznań. My, w węższym gronie, przysłuchiwalismy się im i żadnej z tych nauk nie uważalismy za cokolwiek innego niż symbol. Do nas, napiętnowanych, nie należała bowiem troska o ukształtowanie przyszłości. Nam każde wyznanie, każda nauka o zbawieniu wydawały się już z góry martwe i bezużyteczne. I jedno tylko wydawało się nam obowiązkiem i losem: aby każdy z nas stał się w pełni samym sobą i tak całkowicie żył w zgodzie z istniejącym w nim załączkiem natury i jej wola, iżby niepewna przyszłość znalazła nas gotowymi na wszystko, cokolwiek nam przyniesie.

Jedno bowiem — wypowiedane i nie wypowiedane — wyraźnie czulismy wszyscy: że bliskie, wyczuwalne już, są nowe narodziny i upadek obecnej epoki.

Demian mówił mi niekiedy: „To, co nadejdzie, jest niewyobrażalne. Dusza Europy jest zwierzęciem, które przez nieskończenie długi czas leżało związane. Z chwilą, gdy stanie się ono wolne, pierwsze jego odruchy nie będą najprzyjemniejsze. Lecz drogi proste czy okólne nie są istotne, jeśli tylko ujawni się prawdziwa nędza duszy, którą od tak dawna stale i nieustannie zaklamuje się i usypia. Wtedy nadejdzie nasz dzień, wtedy będą nas potrzebować, nie jako przywódców czy nowych prawodawców, bo nowych praw już nie dożyjemy, lecz raczej jako ochotników, jako tych, co gotowi iść razem i stanąć tam, gdzie los ich powoła. Patrz, wszyscy ludzie gotowi są do czynów wręcz niewiarygodnych z chwilą, gdy zagrożone zostaną ich ideały. Ale nie ma nikogo, gdy do wrót zastuka nowy ideał, nowy — może nawet niebezpieczny albo niesamowity przejaw rozwoju. I tymi nielicznymi, którzy wówczas, będą na miejscu i pójdą dalej, będziemy my. Dlatego jesteśmy napiętnowani, tak jak i Kain w tym celu był napiętnowany, aby budzić lęk i nienawiść i ludzkość ówczesną z ciasnej idylli wypędzić na niebezpieczne, lecz rozległe przestrzenie. Wszyscy ludzie, którzy wpłynęli

na bieg losów ludzkości, wszyscy bez wyjątku, dlatego tylko byli do tego zdolni i mogli cokolwiek zdziałać, ponieważ gotowi byli na przyjęcie losu. Można to powiedzieć o Mojżeszu i Buddzie, a także o Napoleonie i Bismarcku. Nie można bowiem wybierać, jakiej fali człowiek będzie służyć i z jakiego bieguna będzie kierowany. Gdyby Bismarck rozumiał socjaldemokratów i na nich się orientował, byłby sobie mądrym panem, lecz nie byłby mężem opatrnościowym. I tak było z Napoleonem, z Cezarem, z Loyolą, ze wszystkimi! Zawsze trzeba sobie wyobrażać to wszystko w oparciu o biologię i rozwój historii! Gdy wielkie przewroty na powierzchni ziemi rzuciły stworzenia wodne na ląd, a lądowe do wody — właśnie te gotowe na przyjęcie losu egzemplarze zdołały dokonać rzeczy nowej, a niesłychanej, i uratować swój gatunek przez nowe przystosowania. A czy były to te same egzemplarze, które przedtem odznaczały się wśród swego gatunku jako konserwatywne i zachowawcze, czy też raczej jako dziwaki i rewolucjoniści, tego nie wiemy. Były gotowe, i tylko dlatego zdołały ocalić swój gatunek w nowych formach rozwoju. To wiemy. I dlatego chcemy też być gotowi.

Pani Ewa często była obecna przy takich rozmowach, ale w podobny sposób udziału w nich nie brała. Dla każdego z nas, kto wypowiadał swoje myśli, była słuchaczem i echem, pełnym zaufania, pełnym zrozumienia i wydawało się, jakby wszystkie te myśli z niej płynęły i do niej powracały. Siedzieć w pobliżu niej, słyszeć niekiedy jej głos, móc uczestniczyć w tej atmosferze dojrzałości i duchowości, jaka ją otaczała, było dla mnie szczęściem.

Czuła też od razu, gdy odbywała się we mnie jakaś zmiana, jakieś zakłócenie czy odnowa. Wydawało mi się, że nawet moje sny za jej powstawały przyczyną. Często jej o nich opowiadałem, a były dla niej naturalne i zrozumiałe, umiała pojąć własnym uczuciem największe ich zawiloci. Przez pewien czas miewałem sny, będące jakby odtworzeniem naszych rozmów za dnia. Śniłem, że cały świat ogarnięty został buntem i że ja — sam, lub z Demianem — czekam z napięciem na wielki los. Los ten był zasłonięty, miał jednocześnie jednak jakby rysy pani Ewy — być przez nią wybranym lub odrzuconym — to właśnie był los.

Niekiedy mówiła z uśmiechem:

— Sen pana jest niepełny, Sinclairze, o najlepszym w nim pan zapomniał — i zdarzało się, że wtedy znów sobie tę część przypominałem, a nawet pojąć nie potrafiłem, jak mogłem ją zapomnieć.

Z czasem stałem się niezadowolony i zaczęły mnie dręczyć żądze. Zdawało mi się,

że nie wytrzymam patrzenia na nią, gdy siedzi tak koło mnie, nie porywając jej w ramiona. Natychmiast i to zauważyła. Gdy raz przez parę dni nie przychodziłem, a potem wróciłem, zmieszany, odciągnęła mnie. na bok i rzekła:

— Nie powinien pan oddawać się pragnieniom, w które pan nie wierzy. Wiem, czego pan pragnie. Musi pan albo umieć z tych pragnień zrezygnować, albo pragnąć ich całkowicie i prawdziwie. Jeśli zdoła pan raz prosić tak, że w samym sobie będzie pan pewien spełnienia tej prośby, spełni się ona. Ale pan pragnie, a potem znowu żałuje i lęka się przy tym. A to wszystko trzeba przezwyciężyć. Opowiem panu bajkę.

I opowiedziała mi bajkę o młodzieńcu, który zakochał się w gwiazdzie. Stał nad morzem, wyciągał ramiona i czcił ową gwiazdę, śnił o niej i myśli swoje ku niej kierował. Ale wiedział, lub wydawało mu się, że wie, iż gwiazda nie może znaleźć się w objęciach człowieka. Uznał więc za swoje przeznaczenie, bez nadziei spełnienia kochać musi gwiazdę i w oparciu o tę myśl skonstruował cały poemat o życiu pełnym rezygnacji i milczącego, choć wiernego cierpienia, które miało go ulepszyć i oczyścić. Lecz wszystkie jego marzenia zmierzały ku owej gwiazdzie. Pewnego razu znowu stał nocą nad morzem, na wysokim brzegu i patrzył na tę gwiazdę, i płonął ku niej miłością. I w chwili największej tęsknoty skoczył i rzucił się w pustkę, gwiazdzie tej naprzeciw. Lecz w momencie skoku pomyślał jeszcze błyskawicznie: to przecież niemożliwe! I oto leżał już na dole, na piasku — roztrzaskany. Nie umiał kochać. Gdyby w chwili owego skoku miał dość siły ducha, aby mocno i nieugięcie wierzyć w spełnienie, uleciałby wzwyż i połączyłby się z ową gwiazdą.

— Miłość nie powinna prosić — mówiła — ani żądać. Miłość musi posiadać siłę, dzięki której dojdzie sama w sobie do pewności. I wtedy nie ją cokolwiek ciągnąć będzie, lecz ona zacznie przyciągać. Sinclairze, miłość u pana ciągnięta jest przeze mnie. A jeśli ona kiedykolwiek mnie pociągnie, wówczas przyjdę. Nie chcę jednak dawać prezentów, chcę zostać zdobyta.

Lecz innym razem opowiedziała mi inną bajkę. Był raz pewien człowiek, który kochał bez nadziei. Wycofał się całkowicie w głąb własnej duszy i zdawało mu się, że spłonie z miłości. Stracił świat cały z oczu, nie widział już ani błękitu nieba, ani zieleni lasu, strumień mu nie szumiał, harfa mu nie dźwięczała, wszystko zapadło, a on stał się nieszczęśliwy i biedny. Lecz miłość jego wzrastała i chciał raczej umrzeć i szczeznąć, niż zrezygnować z pozyskania pięknej kobiety, którą kochał. I wtedy poczuł, że jego miłość spaliła w nim wszystko inne, stała się potężna i ogromna, jęła przyciągać i przyciągać, aż owa piękna kobieta musiała jej posłuchać i nadeszła, a on stał z



wyciągniętymi ramionami, gotów ją do siebie przytulić. Lecz gdy stanęła przed nim, była całkowicie przeistoczona, on zaś wzdrygając się, pojął i ujrzał, że przyciągnął do siebie cały utracony już świat. Stał przed nim, oddał się mu — niebo, i las, i strumień — wszystko wybiegło w nowych barwach, świeże i wspaniałe, jemu naprzeciw, do niego należało, mówiło jego językiem. I zamiast zyskać jedną tylko kobietę — miał oto cały świat w sercu, a każda gwiazda na niebie płonęła także w nim i rozkoszą przenikała jego duszę. Pokochał i przy tym odnalazł samego siebie. Większość ludzi jednak kocha po to, żeby siebie przy tym zatracić.

Miłość moja do pani Ewy wydawała mi się jedyną treścią mego życia. Lecz z każdym dniem wyglądała ona inaczej. Niekiedy czułem, że to nie ku jej osobie dążę całą moją istotą, lecz że jest ona jedynie symbolem mego wnętrza i pragnie tylko wprowadzić mnie głębiej wewnątrz samego siebie. Często słyszałem od niej słowa, które brzmiały jako odpowiedzi mej świadomości na przejmujące mnie właśnie i palące pytania. Bywały także chwile, w których płonąłem w jej pobliżu zmysłowym pożądaniem i całowałem przedmioty, których dotykała. I stopniowo ta zmysłowa i niezmysłowa miłość, rzeczywistość i symbole ze sobą się połączyły. Wtedy bywało, że myślałem o niej w domu, w swoim pokoju, ze spokojną serdecznością i wydawało mi się, że czuję jej rękę w mojej i jej wargi na własnych wargach. Albo też byłem u niej, patrzyłem na jej twarz, rozmawiałem z nią, słyszałem jej głos i jednak nie byłem pewny, czy jest realna, czy nie jest snem tylko. Zaczynałem przeczuwać, w jaki sposób można kochać stale, nieśmiertelnie. Przy czytaniu pewnej książki zrozumiałem jedną nową myśl, i było to uczucie takie samo jak pocałunek pani Ewy. Głaskała moje włosy, obdarzała mnie uśmiechem i wonnym ciepłem swej dojrzałości, a ja doznawałem uczucia, jakby we mnie samym dokonał się jakiś postęp. Wszystko, co było ważne, co było mi przeznaczone, przybrać mogło jej postać. Mogła przekształcić się w każdą moją myśl, a każda myśl moja w nią.

Świąt Bożego Narodzenia, podczas których byłem u rodziców, obawiałem się, gdyż wydawało mi się, że przeżycie dwóch tygodni z dala od pani Ewy okaże się udręką. Nie była to jednak udręka, wspaniałe nawet czułem się będąc w domu i myśląc o niej. Gdy powróciłem do H., przez dwa dni jeszcze trzymałem się z dala od jej domu, aby rozkoszować się tą pewnością i niezależnością od zmysłowej jej obecności. Miałem też sny, w których moje z nią połączenie dokonywało się w nowy, symboliczny sposób. Ona była morzem, do którego ja wpływałem jako rzeka. Ona była gwiazdą, a ja — sam też będąc gwiazdą — ku niej wędrowałem i spotykaliśmy się,

czuliśmy pociąg ku sobie, pozostawialiśmy razem i pełni szczęścia obracaliśmy się już na wieki wokół siebie w bliskich, harmonijnie dźwięczących kręgach.

Ten sen opowiedziałem jej, gdy po raz pierwszy odwiedziłem ją znowu.

— To piękny sen — powiedziała cicho. — Niech go pan urzeczywistni!

W okresie przedwiośnia nadszedł dzień, którego dotąd nie zapomniałem. Wszedłem do hallu, jedno z okien było otwarte i ciepły powiew niósł ciężki zapach hiacyntów. Ponieważ nikogo nie było widać, wszedłem po schodach do gabinetu Maksa Demiana. Lekko zapukałem do drzwi i wszedłem, nie czekając na wezwanie, jak zwykle.

Pokój był ciemny, zasłony zaciągnięte. Drzwi do małego pokoiku obok, gdzie Maks urządził sobie chemiczne laboratorium, stały otworem. Stamtąd dobywało się jasne, białe światło wiosennego słońca, przezierającego poprzez deszczowe chmury. Wydawało mi się, że nikogo nie ma i odsunąłem jedną z zasłon.

I wtedy zobaczyłem siedzącego na stołku, tuż przy zasłoniętym oknie, Maksa Demiana, skulonego i przedziwnie zmienionego, i błyskawicznie doznałem uczucia: „raz już to przeżywałeś"! Ramiona jego zwisały nieruchomo, ręce złożone były na kolanach, twarz, wychylona nieco do przodu, o otwartych, pozbawionych spojrzenia oczach, była zamarała, w tęczęwce oka martwo odbijał się niewielki, jaskrawy błysk światła, niczym w kawałku szkła. Błada jego twarz zatopiona była niejako w sobie, pozbawiona wszelkiego wyrazu prócz niezwyklej sztywności, wyglądała jak prastara maska zwierzęca na portalu świątyni. Zdawał się nie oddychać.

Wspomnienia przeniknęły mnie dreszczem — takim, właśnie takim widziałem go już raz, przed wielu laty, gdy sam byłem jeszcze małym chłopcem. Tak patrzyły wtedy jego oczy: do wewnątrz, tak martwo leżały obok siebie jego ręce, mucha łaziła mu wtedy po twarzy. I wtedy także, przed może sześciu laty, wyglądał tak samo ponadczasowo, bez wieku, ani jedna zmarszczka nie była dzisiaj inna w jego twarzy.

Przejęty lękiem, cicho wymknąłem się z pokoju i zszedłem po schodach. W hallu spotkałem panią Ewę. Była blada i wydawała się zmęczona, czego dotąd u niej nie spotykałem, przez okno wleciał jakiś cień, jaskrawe, białe słońce nagle znikło.

— Byłem u Maksa — szepnąłem szybko. — Czy coś się stało? On śpi, czy może pograżył się w myślach, nie wiem, kiedyś, dawniej, już go tak widziałem.

— Ale pan go nie zbudził? — zapytała szybko.

— Nie. Nie słyszał mnie. Zaraz wyszedłem. Pani Ewo, niechże mi pani powie, co mu jest?

Grzbietem ręki przesunęła po własnym czole.

— Niech pan się uspokoi, Sinclairze, nic mu się nie stanie. Wycofał się tylko. Ale to nie potrwa długo.

Wstała i wyszła do ogrodu, mimo iż właśnie zaczęło padać. Wyczułem, że nie powinienem iść za nią. Chodziłem więc tam i na powrót po hallu, wachając oszołamiająco pachnące hiacynty, wpatrywałem się w obraz mojego ptaka nad drzwiami, wdychałem z niepokojem ów dziwny cień, którym dom ten wypełnił się tego ranka. Co to było? Co się stało?

Pani Ewa niebawem wróciła. W ciemnych włosach lśniły kropelki deszczu. Usiadła w swoim fotelu. Miała wyraz zmęczony. Stałem obok niej, schyliłem się nad nią i scałowywałem kropelki z jej włosów. Oczy jej były jasne i ciche, ale te krople miały dla mnie smak łez.

— Czy mam do niego zajrzeć? — zapytałem szeptem.

Uśmiechnęła się słabo.

— Niechże pan nie będzie małym chłopaczkiem, Sinclairze — upomniała mnie głośno, jakby chcąc rozerwać wokół siebie jakiś zaczarowany krąg. — Niech pan teraz idzie i potem wróci. Teraz nie mogę z panem rozmawiać.

Wyszedłem i udałem się daleko od domu tego i miasta, w stronę gór, a rzadki, ukośnie zacinający deszcz biegł mi naprzeciw, chmury ciągnęły nisko, obciążone ogromnie, jakby strachem. Dołem czuło się ledwo lekki powiew, wysoko w górach zdawała się szaleć wichura, kilkakrotnie na chwilę tylko przedzierało się blade, jaskrawe słońce przez stalową szarzystą chmur.

I nagle pędem ruszyła po niebie luźna, żółta chmura, naparła na szarą ścianę, a wiatr w kilka sekund stworzył z tej żółci i błękitu obraz ogromnego ptaka, który wyrwał się z błękitnej zamieci i wielkimi uderzeniami skrzydeł skrył się w głębi nieba. Potem słyhać już było burzę, deszcz pomieszany z gradem bębnił o ziemię. Krótki, nieprawdopodobny i groźnie grzmiący piorun trzasnął nad chłostaną ziemią, zaraz potem znów wyjrzało na chwilę słońce, a na pobliskich górach, nad brunatnym lasem lśnił biały śnieg, poszarzały, nierzeczywisty.

Gdy przemoczony i przewiany wichurą wróciłem po wielu godzinach, Demian sam otworzył mi drzwi.

Zabrał mnie na górę, do swego pokoju, w laboratorium płonął gazowy płomyk, dokoła leżały papiery, wyglądało na to, że pracował.

— Siadaj — zaprosił — zmęczonyś pewnie, ohydna była pogoda, widać, że niezły

zrobiłeś spacer. Zaraz będzie herbata.

— Coś się dzisiaj dzieje — zacząłem z wahaniem. — Nie może to być tylko chwilka burzy.

Przyjrzał mi się badawczo.

— Czy coś widziałeś?

— Tak. Przez chwilę widziałem wyraźnie w chmurach pewien obraz.

— Jaki obraz?

— To był ptak.

— Krogulec? Tak? Ten twój ptak ze snu?

— Tak, to był mój krogulec. Był żółty i ogromny i wleciał w głąb czarnoblękitnego nieba.

Demian głęboko zaczerpnął tchu. Zapukano do drzwi. Stara służąca przyniosła herbatę.

— Weź, Sinclair, proszę. Wydaje mi się, że nie przypadkiem zobaczyłeś tego ptaka?

— Przypadkiem? Czyż takie rzeczy widzi się przypadkowo?

— Dobrze. Nie. On coś znaczy. A wiesz co?

— Nie. Wiem tylko, że oznacza jakiś wstrząs, zapowiada jakiś dalszy krok w losach. I wydaje mi się, że dotyczy to nas wszystkich.

Demian gwałtownie chodził po pokoju.

— Przemiana losu! — zawołał głośno. — To samo śniło się mnie dzisiejszej nocy, a matka moja miała wczoraj podobne przeczucie. Mnie się śniło, że wchodzę na drabinę, opartą o pień drzewa czy wieżę. A gdy znalazłem się na górze, ujrzałem cały kraj, wielką równinę, pełną miast i wsi, objętą pożarem. Nie mogę tego dokładnie opowiedzieć, bo dla mnie samego nie wszystko jeszcze jasne.

— Sądysz, że ten sen dotyczy ciebie? — zapytałem.

— Czy sądzę? Oczywiście. Nikt nie ma snów, które jego nie dotyczą. Ale dotyczy on nie tylko mnie jednego, w tym względzie masz rację. Ja dość wyraźnie odróżniam sny, wyjawiające mi poruszenia własnej mojej duszy, i te inne, bardzo rzadkie, w których zarysowują się losy całej ludzkości. Niewiele miałem takich snów, a nigdy takiego, o którym mógłbym powiedzieć, że był proroctwem, które się spełniło. Wyjaśnianie owych snów jest zbyt niepewne. Ale dziś wiem z pewnością, że śniło mi się coś, co nie tylko mnie samego dotyczy. Bo sen ten należy do innych, dawniejszych, jakie już miewałem, i stanowi dalszy ich ciąg. Te sny, Sinclairze, to właśnie podstawa

owych przeczuć, o których ci już mówiłem. Że świat nasz jest raczej przegniły, wiemy sami, i to nie byłoby jeszcze powodem do przepowiadania jego zagłady czy czegoś podobnego. Ale ja od wielu lat miewałem sny, z których wnioskuje, czy czuję, czy jak to tam nazwiesz — no, niech będzie, że czuję, iż zbliża się kres starego świata. Początkowo były to tylko bardzo słabe, dalekie przeczucia, ale zaczęły się stawać coraz bardziej wyraźne i silne. Nie wiem jeszcze nic więcej ponad to, że zbliża się coś wielkiego i strasznego, co i mnie dotyczy. Sinclairze, my przeżyjemy to, o czym niekiedy mówiliśmy! Świat się odnowi. Czuć bowiem zapach śmierci. A bez śmierci nie pojawia się nic nowego. To okropniejsze niż przypuszczałem.

Patrzyłem na niego ze strachem.

— A nie możesz opowiedzieć mi reszty swego snu? — poprosiłem nieśmiało.

Potrząsnął głową:

— Nie.

Otworzyły się drzwi, weszła pani Ewa.

— Razem tutaj siedzicie! Chłopcy, chyba nie jesteście smutni?

Wyglądała świeżo i wcale już nie wydawała się zmęczona. Demian uśmiechnął się do niej, a ona podeszła do nas jak matka do przestraszonych dzieci.

— Smutni nie jesteśmy, matko, usiłowaliśmy tylko odgadywać ów nowy znak. Ale to przecież nieważne. Nagle pojawi się to, co ma nadejść, a my też dowiemy się wówczas tego, co trzeba nam wiedzieć.

Mnie jednak było źle, a gdy się pożegnałem i sam szedłem przez hall, zapach hiacyntów wydał mi się zwiędły, mdły i trupi. Padł na nas jakiś cień.

### ***Początek końca***

Wymogłem na rodzicach, że jeszcze przez letni semestr będę mógł pozostać w H. Zamiast w domu przebywaliśmy obecnie niemal ciągle w ogrodzie nad rzeką. Japończyk, który zresztą naprawdę przegrał był wówczas zapaśniczą walkę, wyjechał, wyznawcy Tolstoja także brakowało. Demian miał konia i jeździł na nim wytrwale dzień w dzień. Ja często przebywałem sam z jego matką.

Niekiedy dziwiłem się, że tak spokojne było moje życie. Od tak dawna przywykłem do samotności, do rezygnacji, do męczących zmagania z własnymi udrękami, że te miesiące w H. wydawały mi się jakby jakąś wyspą ze snów, na której wolno mi było żyć wygodnie, jako istocie zaczarowanej, wśród samych tylko przyjemnych i pięknych przedmiotów i uczuć. Przeczuwałem, że jest to zapowiedź tej nowej, wyższego rodzaju wspólnoty, o której myśleliśmy. I chwilami ogarniał mnie z powodu tego szczęścia głęboki smutek, wiedziałem bowiem doskonale, że trwać ono długo nie może. Nie było mi przeznaczone oddychać pełnią i błogością, potrzebowałem pośpiechu i udręki. I czułem: pewnego dnia zbudzę się z tych pięknych scen miłości i znowu stać będę samotny, zupełnie sam, w owym zimnym świecie tamtych, innych, gdzie czekała mnie jedynie samotność albo walka, lecz żaden już spokój, żaden współudział w cudzym życiu.

I wtedy ze zdwojoną czułością wtulałem się w poblizę pani Ewy, uszczęśliwiony, że los mój nadal jeszcze posiada te same piękne i spokojne rysy.

Tygodnie lata mijają lekko i szybko, wykłady już się kończyły. Zbliżało się pożegnanie, nie mogłem jednak o nim myśleć i wcale też nie myślałem, tylko czepiałem się tych pięknych dni jak motyl kwiatu, pełnego słodyczy. Był to okres mojego szczęścia, pierwsze spełnienie mego życia i przyjęcie moje do przymierza — a co nastąpi? Znowu będę musiał walczyć, torując sobie drogę, znosić tęsknotę, miewać sny i być samotny.

W jeden z takich dni przecucie to ogarnęło mnie z taką siłą, że miłość moja do pani Ewy zapłonęła znowu nagle i boleśnie. Mój Boże, jeszcze chwila, a już jej nie zobaczę, nie będę słyszał jej dobrych, mocnych kroków w całym domu, ani widywał jej kwiatów u siebie na stole! A cóż zdołałem osiągnąć? Marzyłem tylko i kołysałem się w

szczęściu, zamiast usiłować ją zdobyć, zamiast o nią walczyć i na zawsze przyciągnąć do siebie! Przypomniało mi się wszystko, cokolwiek mówiła mi kiedyś na temat prawdziwej miłości, setki jej subtelnych i ostrzegawczych słów, setki ukrytych pokus, może nawet obietnic — cóż z tego wykorzystałem? Nic! Nic!

Stałem na samym środku mego pokoju, skupiłem całą swoją świadomość i zacząłem myśleć o Ewie. Chciałem zebrać wszystkie siły mojej duszy, aby sprawić, że odczuje moją miłość, aby przyciągnąć ją do siebie. Musiała tu przyjść i zapragnąć mego uścisku, a nienasycone moje pocałunki wpić się musiały w jej dojrzałe, miłosne usta.

Stałem skoncentrowany w tak wielkim napięciu, że aż chłód jął ogarniać czubki moich palców i stopy. Czułem, że emanuje ze mnie siła. Na parę chwil poczułem, że coś mocno i ciasno zwija się jakby we mnie: coś jasnego, chłodnego, przez moment miałem wrażenie, że mam w sercu kryształ i wiedziałem, że było nim własne moje „ja”. Chłód podchodził we mnie aż do piersi.

Gdy ocknąłem się z tego straszliwego napięcia, poczułem, że coś musi się stać. Wyczerpany byłem śmiertelnie, lecz gotów na widok Ewy, wchodzącej do pokoju, rozplamionej i zachwyconej.

Tętent końskich kopyt rozległ się teraz na długiej mojej ulicy, przybliżał się wyraźnie i nagle ustał. Skoczyłem do okna. Na dole Demian zsiadał z konia. Zbiegłem po schodach.

— Co się stało, Demian? Chyba nic nie jest twojej matce?

Nie słuchał tego, co mówiłem. Był bardzo blady i pot spływał mu z czoła po obu policzkach. Przywiązał cugle zgrzanego swojego konia do ogrodzenia, wziął mnie za ramię i szedł ze mną w dół ulicy:

— Wiesz już coś?

Nie wiedziałem nic.

Demian uściskał moje ramię i zwrócił ku mnie swą twarz o mrocznym, dziwnym, pełnym współczucia spojrzeniu.

— No, chłopcze, zaczyna się. Wiedziałeś, jak bardzo napięte są stosunki z Rosją...

— Co? Będzie wojna? Nigdy w to nie wierzyłem.

Mówił cicho, choć w pobliżu nie było nikogo:

— Jeszcze jej nie wypowiedziano. Ale będzie wojna. Wierz mi. Od tamtej chwili nie chciałem cię już tym nudzić, lecz widziałem trzykrotnie jeszcze nowe zapowiedzi. Nie będzie więc końca świata, ani trzęsienia ziemi, ani rewolucji. Będzie wojna.

Zobaczysz, jaki to da efekt! Ludziom sprawi to rozkosz, już teraz każdy się cieszy na początek boju. Tak mdłe stało się dla nich życie. Ale przekonasz się, Sinclairze, że to dopiero początek. Będzie może wielka, może bardzo wielka wojna. Ale i ona to także tylko początek. Rozpoczyna się nowe, a to nowe okaże się straszliwe dla wszystkich, którzy przywiązani są do starego. A co ty zrobisz?

Byłem oszołomiony, wszystko to brzmiało mi jeszcze obco, niewiarygodnie.

— Nie wiem, a ty?

Wzruszył ramionami.

— Z chwilą gdy ogłoszą mobilizację, zgłoszę się. Jestem porucznikiem.

— Ty? Nie miałem o tym pojęcia.

— Tak, to był jeden z moich sposobów dostosowania się. Wiesz, że na zewnątrz nigdy nie lubiłem zwracać na siebie uwagi i zawsze robiłem nawet raczej za wiele, aby tylko okazać się w porządku. Wydaje mi się, że za jaki tydzień będę już na froncie...

— Na miłość boską...

— No, chłopcze, nie traktuj tego sentymentalnie. W zasadzie nie sprawi mi przyjemności wydawanie rozkazów, które skierują ogień karabinów na żywych ludzi, ale to będzie kwestią uboczną. Każdy z nas zostanie teraz wpleciony w to wielkie koło. Ty także. Dopadną cię z pewnością.

— A twoja matka, Demianie?

Teraz dopiero przypomniałem sobie to, co działo się zaledwie przed kwadransiem. Jakże zmienił się świat! Skupiłem oto wszystkie swoje siły, pragnąc zakłębem przywołać najśłodszy obraz, a oto los nagle ukazał mi swoją nową, groźną i straszliwą maskę.

— Moja matka? Ach, o nią nie musimy się martwić. Ona jest bezpieczna, bardziej bezpieczna, niż ktokolwiek inny dzisiaj na całym świecie. Tak bardzo ją kochasz?

— Wiedziałeś o tym, Demianie?

Roześmiał się wesoło, już całkiem swobodnie.

— Chłopcze, chłopcze! Oczywiście, że wiedziałem. Nikt jeszcze nie mówił do mojej matki „pani Ewo”, nie kochając jej. Ale zaraz, czekaj, jak to było? Wołałeś dzisiaj ją, albo mnie, prawda?

— Tak, wołałem... Wołałem panią Ewę.

— Wyczuła to. Nagle wysłała mnie, kazała mi jechać do ciebie. Opowiedziałem jej wtedy właśnie te wiadomości o Rosji.

Zawróciliśmy, niewiele już rozmawiając, on odwiązał konia i wsiadł.



Dopiero na górze, w moim pokoju, poczułem, jak bardzo jestem wyczerpany wiadomościami, jakie przywiózł Demian, i bardziej jeszcze uprzednim moim napięciem. Ale pani Ewa mnie usłyszała! Dotarłem moimi myślami do jej serca. I przyszłaby sama, gdyby... Jakże dziwne było to wszystko i jak piękne właściwie! A teraz miała być wojna. Teraz miało się zacząć to, o czym tak często mówiliśmy. I Demian tyle już naprzód o tym wiedział. Jak dziwne, że oto teraz wielki nurt świata nie miał już przepływać gdzieś obok nas, że płynął nagle przez sam środek naszych serc, że wzywała nas przygoda, niespodziewany los, że teraz właśnie, czy już wkrótce, nadejść miała chwila, w której świat będzie nas potrzebował, w której będzie chciał się przekształcić. Demian miał rację: sentymentalnie nie należało traktować tych spraw. Osobliwe wydawało się jedynie, iż oto tę tak indywidualną sprawę „losu” przeżywać miałem z tak wielu innymi, z całym światem. No... dobrze!

Byłem gotów. Wieczorem, gdy szedłem przez miasto, wszystko wokół dygotało ogromnym podnieceniem. I wszędzie powtarzano jedno słowo: „wojna”!

Poszedłem do domu pani Ewy, zjedliśmy kolację w owym domku w ogrodzie. Byłem jedynym gościem. Nikt ani słowa nie mówił o wojnie. Tylko późnym wieczorem, na krótko przed moim odejściem, powiedziała pani Ewa:

— Drogi Sinclairze, wołał mnie pan dzisiaj. Wie pan, dlaczego nie przyszłam sama. Ale niech pan pamięta: zna pan już teraz to wezwanie i kiedykolwiek potrzebny panu będzie ktoś,znaczony naszym piętnem, niechaj pan woła znowu!

Wstała i przodem poszła przed nami przez zmierzch, zalegający ogród. Wysoka i królewska szła ona, Tajemnicza, pod milczącymi drzewami, a nad jej głową migotały drobne i nikłe, liczne gwiazdy.

Dochodzę do końca. Sprawy potoczyły się szybko. Niebawem wybuchła wojna i Demian, dziwnie obcy w mundurze, w srebrzystoszarym płaszczu, odjechał. Odprowadziłem do domu jego matkę. Wkrótce i ja z nią się żegnałem. Pocałowała mnie w usta i na chwilę przycisnęła do piersi, a wielkie jej oczy wpatrzyły się we mnie płomiennym, bliskim i mocnym spojrzeniem.

I wszyscy ludzie wydawali się złączeni więzami braterstwa. Myśleli o honorze i ojczyźnie. Lecz w istocie zbliżył ich los, którego nie osłonięte już oblicze wszyscy teraz przez chwilę oglądali. Młodzi ludzie wychodzili z koszar, wsiadali do pociągów, a na wielu twarzach widziałem piętno — nie nasze — ale piękne i pełne godności piętno,

które oznaczało miłość i śmierć. I mnie także ściskali ludzie, których nigdy przedtem nie widziałem na oczy, a ja to rozumiałem i chętnie odpowiadałem na ów uścisk. Czynili tak w upojeniu, nie była to gotowość na przyjęcie losu, lecz upojenie to było święte, wywodziło się bowiem stąd, że wszyscy oni w owych krótkich, wstrząsających chwilach zdołali spojrzeć w oczy losowi.

Była już niemal zima, gdy znalazłem się na froncie.

Początkowo, mimo całą sensację strzelaniny, byłem przede wszystkim rozczarowany. Dawniej wiele się zastanawiałem nad tym, dlaczego człowiek tak bardzo rzadko potrafi żyć dla jakiegoś ideału. Teraz zobaczyłem natomiast, że wielu, a nawet że wszyscy ludzie zdolni są umierać w imię ideału. Tylko nie mógł to być ideał osobisty, swobodnie wybrany, lecz musiał być wspólny, oparty na tradycji.

Z czasem przekonałem się, że nie doceniałem ludzi. Choć służba i wspólne niebezpieczeństwo nadawały im dość jednolity wyraz, widziałem przecież wielu, żywych i umierających, którzy w sposób wspaniały zbliżali się do gotowości na przyjęcie losu. I wielu, bardzo wielu miało nie tylko podczas ataku, lecz o każdej porze zdecydowane, dalekie, po trochu jakby opętane spojrzenie, nie świadome żadnych celów i będące dowodem pełnego podporządkowania się straszliwej potędze. Wierzyć i myśleć mogli ci ludzie cokolwiek chcieli — lecz byli gotowi, byli zdolni i z nich można było ukształtować przyszłość. Im bardziej zaś świat wydawał się nastawiony na wojnę i bohaterstwo, honor i wszelkie dawne ideały, im bardziej wszelki głos pozornie tylko ludzki wydawał się odległy i nieprawdopodobny, tym bardziej okazywało się to wszystko tylko powierzchnią, podobnie jak i kwestia zewnętrznych i politycznych celów wojny pozostawała na powierzchni jedynie. W głębi coś się tworzyło. Coś, co wydawało się nową ludzkością. Wielu bowiem widziałem, a niejednen z nich umierał u mego boku, którzy zdołali przeczuć i pojąć, że nienawiść i wściekłość, niszczenie i mordowanie nie były związane z obiektami. Nie, obiekty, podobne jak i cele, były absolutnie przypadkowe. Uczucia pierwotne, nawet najdziksze, nie odnosiły się do nieprzyjaciela, krwawe ich dzieło było jedynie rezultatem promieniowania od wewnątrz, przejawem rozdwojonej duszy, która pragnęła oto szaleć, zabijać, niszczyć i umierać, aby móc zrodzić się na nowo. Ogromny ptak z trudem dobywał się z jajka, a jajem tym był świat, i świat musiał rozpaść się w gruzy:

Przed chłopskim obejściem, które zajęliśmy, stałem pewnej nocy przedwiosennej na warcie. Lekki wiatr nadlatywał kapryśnymi falami, po wysokim flandryjskim niebie przeciągały tabuny chmur, gdzieś za nimi można było wyczuć istnienie

księżycą. Już przez cały ten dzień byłem niespokojny, dręczyła mnie jakaś troska. Teraz, w ciemności, na mym posterunku, rozpamiętywałem z przejęciem obrazy dotychczasowego mojego życia, myślałem o pani Ewie, o Demianie. Stałem oparty o topolę, wpatrując się w pełne ruchu niebo, na którym wśród utajonych błysków jasności chmury układać zaczęły się wkrótce w szeregi wielkich, skłębionych obrazów. Zorientowałem się z mego osobiście osłabionego pulsu i braku wrażliwości mojej skóry na deszcz i wiatr, ze stanu wewnętrznego, roziskrzonego napięcia, że zbliża się do mnie jakiś przewodnik.

W chmurach widać było wielkie miasto, z którego wychodziły miliony ludzi: całe ich roje rozbiegły się w rozległym krajobrazie. I nagle pojawiła się pośród nich postać potężnego bóstwa: gwiazdy migotały w jej włosach — postać ogromna jak góra, postać o rysach pani Ewy. Bogini przycupnęła na ziemi, jasno zamigotało piętno na jej czole. Sen jakiś nią owładnął, zamknęła oczy, a wielkie jej oblicze wykrzywiło się boleśnie. Nagle wydała donośny krzyk i z czoła jej wytrysnęły gwiazdy, tysiące świetlistych gwiazd, które wspaniałymi łukami i półkolami rozsypały się po czarnym niebie.

Jedna z tych gwiazd pędziła z przejmującym dźwiękiem wprost na mnie, zdawała się mnie szukać. I nagle z rykiem rozpadła się na tysiąc iskier, porwała mnie w górę i znowu rzuciła o ziemię, świat pośród grzmotów zamknął się nade mną.

Znaleziono mnie w pobliżu owej topoli, zasypanego ziemią, bardzo poranionego.

Leżałem w jakiejś piwnicy, nade mną huczały działa. Leżałem potem na wozie, trząsałem się jadąc poprzez puste pola. Przeważnie spałem lub traciłem przytomność. Im głębiej jednak spałem, tym gwałtowniej czułem, że coś mnie ciągnie, że idę za jakąś siłą, która panuje nade mną.

Znalazłem się w jakiejś stajni na słomie, było ciemno, ktoś nastąpił mi na rękę. Lecz we wnętrzu własnym pragnąłem iść dalej, coś coraz silniej ciągnęło mnie stąd. Więc znowu leżałem na wozie, a potem na noszach, lub na drabinie i coraz mocniej czułem, że gdzieś mi każą iść, wreszcie nie zostało już nic prócz pragnienia, żeby wreszcie tam dotrzeć.

I oto byłem już u celu. Nastąpiła noc, przytomność wróciła mi całkowicie i czułem właśnie jeszcze w sobie to potężne pragnienie i dążenie. Teraz leżałem w jakiejś sali, na podłodze, w przekonaniu, że znajduję się tam, dokąd mnie wołano. Rozejrzałem się wokół, tuż obok mojego materaca leżał inny, a na nim ktoś, kto wychylił się i spojrział na mnie. Na czole miał piętno. To był Maks Demian.

Nie mogłem mówić, on także mówić nie mógł, czy nie chciał. Patrzył na mnie

tylko. Na jego twarzy jaśniał poblask lampy, wiszącej nad nim na ścianie. Uśmiechał się do mnie.

Przez nieskończenie długi czas patrzył mi ciągle prosto w oczy. Powoli przesunął swoją twarz bliżej ku mnie, tak iż dotykaliśmy się niemal.

— Sinclair! — powiedział szeptem.

Oczami dałem mu znak, że go rozumiem.

Uśmiechnął się znowu, prawie jakby ze współczuciem.

— Chłopcze! — powiedział z uśmiechem.

Usta jego znajdowały się tuż obok moich. Cicho mówił dalej:

— Możesz sobie jeszcze przypomnieć Franza Kromera? — zapytał.

Mrugnąłem do niego i zdołałem także się uśmiechnąć.

— Mały Sinclairze, uważaj! Będę musiał stąd odejść. A ty możesz mnie znowu kiedyś potrzebować, przeciw Kromerowi, lub w ogóle. A jeśli mnie wtedy zawołasz, nie przybędę tak materialnie, na koniu czy koleją. Musisz wówczas wsłuchiwać się w samego siebie i wtedy się przekonasz, że jestem w tobie. Rozumiesz? I jeszcze jedno! Pani Ewa powiedziała, że jeśli ci kiedy będzie źle, to mam przekazać ci od niej pocałunek, który dała mi dla ciebie... Zamknij oczy, Sinclairze!

Posłusznie zamknąłem oczy i poczułem lekki pocałunek na moich wargach, na których zawsze pienilo się nieco krwi, a nigdy nie chciało jej jakoś ubywać. A potem zasnąłem.

Z rana obudzono mnie, miano nałożyć mi opatrunki. Gdy wreszcie całkiem się ocknąłem, odwróciłem się szybko w stronę sąsiedniego materaca. Leżał na nim obcy jakiś człowiek, którego nie widziałem nigdy w życiu.

Opatrunek był bolesny. Wszystko, co od tej chwili ze mną się działo, było bolesne. Lecz czasami, gdy odnajduję klucz i potrafię zejść całkowicie w głąb siebie, tam, gdzie w ciemnym lustrze drzemią wizerunki losu, wystarczy mi się schylić nad owym ciemnym lustrem i widzę mój własny obraz, który teraz oto podobny jest całkiem do Niego — do Niego — mego przewodnika i przyjaciela.